

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



La Fayette

KSIĘŻNA DE CLEVES

Tytuł oryginału

„LA PRINCESSE DE CLÈVES”

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

OD TŁUMACZA

Jest coś, co otacza panią de la Fayette¹, zarówno jej osobę, życie, jak działalność pisarską; mianowicie d y s k r e c j a. Rozdając pewnego dnia przyjacielskie przydomki, bliscy nazwali ją le brouillard, mgła; i nazwa ta dobrze charakteryzuje zarówno ów cień dyskrecji, jak również owo coś przygaszonego, melancholijnego, co jest w jej osobie. Mało stosunkowo wiemy o jej przygodach, jeszcze mniej o życiu wewnętrznym: powściągliwa, wybredna, niełatwo pozwalająca wejrzeć w siebie. Listy nawet – w owym tak rozpisanyim świecie! – pisywała rzadko i niechętnie. Zażywała ogromnego wpływu, była jedną z wyroczni Paryża, ale też dyskretnie. Toż samo jej działalność pisarska. Jestem pewien, że ten i ów znający nieźle – bodaj ze słyszenia – literaturę francuską, nie zna nawet jej nazwiska. Kobieta-autorka ukryła się w cieniu: kiedy umiera, „Mercure Galant” poświęca jej kilkanaście wierszy w „rubryce towarzyskiej” i kończy dyskretnie: „Utrzymują, że miała udział w niektórych utworach, czytanych przez publiczność z przyjemnością i zachwytem.” Notatka „Mercure Galant” tłumaczy się tym, że pani de la Fayette, jak wielka dama, ogłaszała swoje nieliczne zresztą utwory bezimiennie albo pod obcym nazwiskiem. Bo pani de la Fayette była wielką damą. Nie z urodzenia, ojciec jej był ze skromnej szlachty, matka, Elżbieta Pena, bodaj z mieszczaństwa; za to chrzestni rodzice błyszczą arystokratycznymi nazwiskami, odbłaskiem dworu. Jeżeli pani de la Fayette stała się wcześniej jedną z najwybitniejszych figur w Paryżu, zawdzięcza to samej sobie. Bo ta cicha osoba doskonale umiała kierować życiem swoim i swoich bliskich. „Ma sto rąk” – mówiła o niej pani de Sevigné.

Ojciec jej, Marek Pioche de la Vergne, długi czas skromny oficer, ceniony dla swych talentów wojskowych, zaszedł później dość wysoko; był nauczycielem bratanków kardynała Richelieu, umarł jako marszałek polny. Przyszła pani de la Fayette miała wówczas lat piętnaście. Matka, kobiecina podobno sprytna a głupia, wychodzi rychło potem za mąż za jednego z rycerzy niezaszczytnej Frondy, niespokojnego kawalera de Sevigné, wuja słynnej później

¹ 1634 – 1692

swą korespondencją markizy: stąd stosunki między dwiema młodymi kobietami, Marią de la Vergne a panią de Sevigné, stosunki, które miały się przełożyć w dozągoną przyjaźń. Bo panna de la Vergne otrzymuje staranne wychowanie; nauczycielem jej jest sam Menage, jeden z najuczestniejszych ludzi i największych pedantów swego czasu, ten, którego Molier nieśmiertelnie ośmieszył jako Wadiusa w *Uczonych białogłowach* i który miał zwyczaj kochać się w swych uczennicach. Już wówczas pani de la Fayette dała miarę swego kunsztu dyplomatycznego i umiejętności wyzyskania ludzi; umiała prowadzić swojego nauczyciela na nitce, tak że słowami i piórem głosił jej sławę. Liczą około czterdziestu znanych poemacików Menage'a na cześć panny de la Vergne. Taka reklama była dla niezamożnej młodej panny nie do pogardzenia.

Bo panna Maria nie była zamożna, i to, jak również nieustalona pozycja rodziców, życie na wół wędrownie, jakie pędzili, utrudniało jej zapewne wyjście za mąż. Doszła dwudziestu jeden lat – na owe czasy wieku bardzo późnego – nie znalazła przyzwoitej partii. Znalazła ją tam, gdzie by się najmniej mogła tego spodziewać. W czasie pobytu w klasztorze zaprzyjaźniła się z przełożoną, która zaswatała jej swego brata, hrabiego de la Fayette. Hrabia, starszy od niej o jakieś lat dwadzieścia, wielkiego rodu, ale zasiedziały na wsi, był to – zdaje się – poczciwy człowiek zagrzebany w gospodarstwie, a zwłaszcza w procesach. Słowem, małżeństwo z rozsądku. Co na nie mówiło serce? Nie wiemy o tym nic. Posadzają pannę de la Vergne, że powtórne zamęście matki było dla niej zawodem; szesnastoletnia dziewczyna myślała podobno, że interesujący kawaler de Sevigné bywa tak często w domu dla niej samej, kiedy nagle gruchły zaręczyny z jej matką. Ale to są domysły, plotki... Powiedzmy po prostu, że nie wiemy nic.

Maria udaje się z mężem na wieś; z najlepszą wolą wchodzi w jego życie, interesuje się gospodarstwem, procesami; wpada na znakomitą myśl, aby ich pilnować w Paryżu za pomocą swego wiernego łacinnika Menage'a. Menage biega, drepce, obchodzi sędziów. Ale co to było mieć wówczas proces, kilka, kilkanaście procesów! Konieczność czuwania nad nimi każe państwu de la Fayette udać się do Paryża; z czasem pani przenosi się tam na stałe, mąż dojeżdża co jakiś czas, w końcu ginie z jej życia tak dokładnie, że historycy literatury myśleli, że umarł, dopóki jakiś znaleziony dokument nie wyjaśnił, że bądź co bądź pani de la Fayette przeżyła w małżeństwie dwadzieścia osiem lat. Powiedzmy od razu, że miała dwóch synów, dla których była troskliwą i zabiegliwą o ich karierę matką.

Oprócz Menage'a, który ją nauczył sporo łaciny, dobrze po włosku, ba, nawet trochę po hebrajsku, nie zdołał zaś jej zarazić swoim brakiem smaku i pedantyzmem, młoda hrabina de la Fayette przechodziła inne szkoły. Jedną był słynny pałac de Rambouillet, siedziba „wykwintniś”, wówczas co prawda już na schyłku swej glorii. Ze swoim niezawodnym zmysłem pani de la Fayette wzięła z tej szkoły to, co dobre, odrzucając to, co było mdłe i śmieszne w epigonkach wykwintniś. Wreszcie dwór, najlepsza wówczas szkoła życia i smaku, ów dwór młodego Ludwika XIV, pełen blasku, skupiający wszystko, co najświetniejsze, bawiony komedią Moliera, porywany tragedią Racine'a i upojony muzyką Luliego. Pani de la Fayette zajęła tam pozycję jak dla tej cichej obserwatorce życia najkorzystniejszą. Niegdyś okazała wiele sympatii młodziutkiej Henryce Angielskiej, wówczas gdy ta była biedną wygnanką,

skazaną na życie w klasztorze; zostawszy księżną Orleańską, bratową króla Henryka, nie zapomniała o dawnej przyjaciółce. Pani de la Fayette należy do jej najściślejszego kółka, pędzi życie na dworze niemal jako faworyta księżnej, nie szukając zresztą tytułów i godności. To życie dworu, czynne a puste, pełne intryg, małostek i ambicji, nie pociąga jej; pozostaje zawsze na dworze raczej widzem niż aktorem. Zresztą kochała szczerze Henrykę, swoją młodszą o lat dziesięć królewską przyjaciółkę. Henryka umarła na jej rękach; pani de la Fayette była świadkiem tej bolesnej chwili, jedynej podobno, w której Ludwik XIV płakał; i mimo że usunęła się odtąd ze dworu zupełnie, pamięć tych przeżyć zachowała jej na zawsze względy króla i wpływ, z którego zresztą korzystała przeważnie dla swoich przyjaciół.

Odtąd pani de la Fayette żyje najwięcej u siebie w domu, na co ją zresztą skazywał stan jej zdrowia. Ta kobieta jest ciągle chora, co wyciska na jej usposobieniu piętno melancholii. Umie wypełnić sobie to zacisze; dom jej, otoczony wspaniałym ogrodem, staje się jednym z ośrodków literackich. Mieszka w nim w charakterze sekretarza poeta Segrais; codziennym gościem jest Huet, późniejszy biskup w Avranches, człowiek o tak rozległej skali zainteresowań, że w jego spuściźnie literackiej znajduje się przekład *Dafnis i Chloe*, dwutomowa *Demonstratio evangelica*, *Historia handlu i żeglugi u starożytnych* i *Rozprawa o miejscu Raju ziemskiego!* Codziennym gościem jest pani de Sevigné, bywa La Fontaine; czasem Molier, Boileau czytują tam swoje nowe utwory. Ale najważniejszą chwałę znajdzie ten salon w przyjaźni, jaka związała z panią de la Fayette jednego z największych panów Francji, interesującego autora *Maksym*, księcia de la Rochefoucauld.

Owa przyjaźń, mająca wszelkie cechy miłości i trwająca blisko dwadzieścia lat, aż do śmierci księcia, napsuła sporo krwi historykom literatury. B y ł o c z y n i e b y ł o? Kwestia ta zaprzętała ich mocno. Oni, przywykli wszystko wiedzieć, tu nie umieją znaleźć słowa zagadki. Bardziej niż kiedykolwiek – mgła. Raczej skłaniają się ku temu, że nie było; że przyjaźń ta czy miłość pozostaje na diecie platonicznej. Chętnie wyobrażają sobie podobną scenę jak ta, która kończy Księżnę de Clèves, z tą różnicą, że zamiast rozłączenia nastąpiło po niej raczej połączenie losów w przyjaznym stosunku.

Kiedy się zbliżyli, ona miała lat około trzydziestu, książę dobiegał pięćdziesiątki. Przeszłość miał co się zowie burzliwą; brał udział w romantycznych i rycerskich przygodach, wojował, wicherzył, miał wielkie ambicje, które los zawiódł, kochał się w najpiękniejszych kobietach swego czasu, które go zdradziły; wreszcie na wół oślepy od postrzału, jaki dostał w bitwie, znękany podagrą, zgorzkniały, wyleczony z ambitnych nadziei, leniwie i z pańska bawi się literaturą. Jego *Maksymy*², zanim je jeszcze wydano drukiem, obiegają salony, budząc zgorszenie swym pesymizmem i ostrością wzroku, a zachwyty świetnością formy.

Pani de la Fayette czytała *Maksymy* w rękopisie, zanim jeszcze bliższe stosunki złączyły ją z autorem. Jest przerażona:

„Ach, pani – pisze do pani de Sablé – jakże muszą być skażone umysł i serce, które są w stanie wyroić to wszystko. Jestem tym tak przerażona, iż zapewniam panią, że gdyby żart był rzeczą poważną, tego rodzaju *Maksymy* bardziej popsowałyby interesy księcia niż...” etc.

² Por. Boy – Żeleński *Mózg i pleć*.

Co za interesy? W jej sercu? Tak przypuszczają biografowie. Mimo to nie zepsuły. Zaprzyjaźnili się czy pokochali głęboko. Te dwie niepospolite, a tak różne indywidualności zespoliły się, aby nawzajem wyrzucić na siebie wpływ. „On rozszerzył moją inteligencję, ja uleczyłam jego serce” – określiła ten wpływ pani de la Fayette. I w związku z tym pierwszym „przerażeniem” ciekawe jest zestawienie noty, jakie kreśli na egzemplarzu *Maksym* pani de la Fayette już bliska śmierci i od kilkunastu lat owdowiała po swoim przyjacielu.

Ten stosunek staje się przełomową datą w życiu pani de la Fayette. Książę jest w jej domu codziennym gościem, spędza tam niemal całe dni. Te dwie choroby, dwa rozczarowania, dwa ciekawe sprawy ludzkich umysły odpowiadają sobie doskonale. Często bywa tam jako trzecia pani de Sevigné i inne godne tej trójki towarzystwo, czas schodzi na rozmowach, na czytaniu *Astrei*, za którą autor *Maksym* przepadał całe życie, na studiowaniu mapy „krainy czułości”, na szlifowaniu *Maksym* (których, jak twierdzą, „złagodzenia” w dalszych wydaniach są ustępstwem księcia na rzecz pobłażliwej dobroci pani de la Fayette), na owej analizie serca ludzkiego, która była najulubieńszą pasją czy zabawą wieku. I owocem tego współżycia będzie arcydzieło pani de la Fayette: *Księżna de Clèves*. Nie jest to jej pierwszy utwór. Wydała poprzednio dwie rzeczy: opowiadanie pt. *Księżna de Montpensier* i romans *Zaida, czyli historia hiszpańska*. Wyszła owa *Zaida* pod nazwiskiem Segrais'a, który zresztą niewątpliwie współpracował w tym utworze. Krytyka różniczuje nawet tę współpracę przypisując zawodowemu literatowi to, co gorsze, a pani de la Fayette to, co lepsze.

Bo *Zaida* jest jeszcze bardzo dzieckiem swojej epoki, jednym z owych niezliczonych romansów, które urodziły się ze słynnej *Astrei*. I aby zrozumieć rolę – wciąż dyskretną, ale znaczącą – jaką pani de la Fayette odegrała w dziejach francuskiej powieści, trzeba bodaj w kilku słowach nakreślić stan tej powieści we Francji w XVII wieku.

Astrea, ów romans pasterski w dziesiątku tomów (pióra Honoriusza d'Urfé), natchniony ładnym mitem o duszach „namagnesowanych” (*aimanteés*), zyskała nieprawdopodobny sukces. Nie tylko kobiety rozkoszowały się tą sentymentalną bajką, ale najpoważniejsi ludzie z Bossuetem na czele. *Astrea* wykreśliła na pół wieku bieg powieści, rodząc mnóstwo naśladowców, z których największy sukces zyskały romanse panny de Scudéry. Wytworzył się szablon. Dzieją się te sprawy na lądzie i na morzu, w Hiszpanii i w Afryce; każda z figur opowiada swoją historię, która stanowi powieść w powieści, przeciągając w nieskończoność bieg akcji. Romans miewa po dziesięć tomów; między wydaniem jednej a drugiej części upływa po parę lat, w ciągu których publiczność cierpliwie czeka na dalszy ciąg losu bohaterów. Porwania, pojedynki, pozorne śmierci, rozbicie okrętów, zemdlone księżniczki cudnej piękności znalezione nad brzegiem morza, niewola u piratów, cudowne rozpoznanie porwanych dzieci, niezwykle podobieństwa, czarne zemsty, wykradzenia – oto przepisowy niemal bieg powieści w owej epoce. Był to nowy zalew romanowości, który czekał swego *Don Kiszota*. Jakoż nastąpiła reakcja. W swoim *Pasterzu pomylonym* Sorel wydrwił tę ckliwą literaturę. Jak gdyby na przekór tym nieprzerwanym wzniosłościom, nie liczącym się ani z życiem, ani z uczuciami ludzkimi, powstaje powieść nawiązująca do tradycji średniowiecza i Rabelais'go, groteska, bufonada, czerpiąca swe obrazy w najgrubszej rzeczywistości. Taką jest np. *Historia komiczna Francjona* tegoż Sorela, tłumaczona

na wszystkie języki; dalej *Romans komiczny* Scarrona, opowiadający dzieje wędrownych aktorów, wreszcie *Romans mieszczkański* Furetière'a. Oto dwa bieguny powieści ówczesnej; pomiędzy nimi było miejsce na powieść malującą istotne uczucia i istotne życie warstwy, która była niemal całym społeczeństwem, „godnych ludzi” (*honnetes gens*) grzejących się w promieniach dworu, wydelikacowanych kulturą i smakiem. To miejsce wypełni, wespół od niechęci, pani de la Fayette, torując powieści francuskiej nowe drogi. Ale dopiero *Księżną de Clèves*.

Zaida, jak rzekliśmy, jest jeszcze romanssem swojej epoki. Być może, że jest to sprawa imię Segrais, który podjął się „dyspozycji” romansu i czuwał zapewne, aby wszystko było zgodne z prawidłami sztuki. I to właśnie, te arabskie awantury, znowuż te porwania, omdlenia, te doskonałości etc., to zabija dziś tę książkę. Bądź co bądź jest w niej już coś, co odróżnia *Zaidę* od współczesnych płodów, bodaj od ulubionych powieści panny de Scudéry, i to „coś” jest z pewnością wkładem pani de la Fayette do tej spółki autorskiej; mianowicie finezja i prawda psychologii miłosnej. I także, mimo wszelkich konwencjonalizmów, odmienne pojęcie miłości. Nie jest to już owo dobroczynne bóstwo pastersko – rycerskich sielanek, dające bohaterom wszystkie cnoty i wieńczące szczęściem ich wytrwanie: to raczej groźna i niszcząca siła. Ta reakcja, to rozczarowanie, które później tak silnie zaakcentują się w *Księżną de Clèves*, jest jak gdyby symbolem wieku, który z upojeniem rzucił się w kult miłości, a skończył na dewocji.

Pomiędzy pierwszymi utworami a *Księżną de Clèves* upłynęło kilka lat. Nie przeszły one dla autorki bez śladu. Przez ten czas poznała bliżej życie dworu. Uroczą Henryka Angielska mianowała ją swoją „historiografką”; co wieczór dyktowała jej płocze dzieje życia dworskiego, historie swoich flirtów, a pani de la Fayette spisywała je i przynosiła księżniczce nazajutrz do aprobaty. Nie lada to była szkoła dla finezji języka i stylu redagować te rzeczy tak, aby nie obrażały ani prawdy, ani obyczajności.

Przeszła i druga, surowsza. Był to autor *Maksym*, tępicieł fałszu i zdawkości w sądach o człowieku, szlifierz stylu, poszukiwacz prawdy, nie obawiający się spojrzeć w oczy nawet najsurowszej. Nie podobna, aby to codzienne obcowanie nie oddziało na panią de la Fayette, aby nie otworzyło jej oczu na niejedno, aby nie wyostrzyło wrodzonego zmysłu analizy.

Utrwaliło się podanie, że La Rochefoucauld był tu czymś więcej, że był współpracownikiem tej powieści. W jakiej mierze? Nie wiadomo. Można by się tu dopatrzeć partii pomyślanych lub napisanych przez niego, mających nieco odmienne zabarwienie od całości, jak np. ów zabawny i ironiczny epizod człowieka, który równocześnie dowiedział się o śmierci kochanki i o jej niewierności i który nie może uporządkować swoich uczuć. Ale nie trzeba przeceniać tego udziału. To zdaje się pewne, że sama istota księżniczki, jej kobiece delikatności, jej skryta namiętność, należą do pani de la Fayette. I również to, że w ciągu kilku lat, przez które książka była „na warsztacie” (są poszlaki, że zaczęto ją w r. 1672, ukazała się zaś w druku w r. 1678), musiała być przedmiotem wspólnych dyskusji, że każde drgnienie serca jej bohaterów poddane było wspólnej analizie.

Wspomniałem o dominującej nucie charakteru pani de la Fayette, dyskrekcji. Trudno w dyskretniejszy sposób jakiemuś utworowi być arcydziełem; i więcej jeszcze: rewolucją literacką. Tak, rewolucją. Jeszcze raz uprzytomnij-

my sobie na chwilę *Księżną de Clèves* na tle epoki, aby zrozumieć, do jakiego stopnia wszystko jest w niej nowe i śmiałe.

Wszystko wyróżnia tę książeczkę i czyni z niej datę w dziejach powieści we Francji. Choćby sam rozmiar. Przed nią powieści są olbrzymie, mają dziesiątki tomów: tu – jeden mały tomik. Żadnych cudowności; potoczne życie zwyczajnych ludzi. Bo trzeba zauważyć, że to, co dziś jest dla nas w owym życiu rycerskiego, błyszczącego, to było wówczas potocznym życiem dworskim. Ot, ploteczki, intryżki tego gromadnego życia, na tym tle najzwyczajniejsza historia kobiecego serca, taka, jaka mogłaby się zdarzyć wszędzie. Jest to – zważmy dalej – pierwsza powieść o mężatce; odkrycie – na dwa wieki przed Balzakiem! – że małżeństwo, przynajmniej dla kobiety, nie jest końcem, ale początkiem powieści czy dramatu życia. Jeszcze kilka lat wprzód Furetière kończy swoją *Powieść mieszczańską* słowami: „Czy żyli z sobą dobrze czy nie, dowiecie się może kiedyś, jeżeli przyjdzie moda opisywać życie kobiet zameężnych”; jak Magdusia w *Pociesznych wykwintnisiach* Moliera mówi: „Ładna by to była rzecz w istocie, gdyby Cyrus na samym początku zaślubił Mandane, a Aroncjusz z miejsca połączył się z Klelią!” Romans kobiety zameężnej, miłość występna, oto czym była na ów czas książeczka, która dziś wydaje nam się cnotliwa i niewinna. Pani de la Fayette szła po krawędzi nieobyczajności. I po krawędzi – jakże niebezpiecznej – komizmu! M a ż! Ta ośmieszona niewdzięczna figura, która jest tematem wszystkich drwinek, bohaterem wszystkich fars, tutaj pierwszy raz pojęta jest serio, szlachetnie; nieszczęście jego – co za tryumf autorki! – nie ma nic komizmu. Zrywa z szablonem, wedle którego nie kochany mąż musiał być stary, skąpy i głupi; ba, czyni jeszcze więcej, mąż ów, pan de Clèves, jest tu bardziej interesującą z dwóch męskich postaci, gdy kochanek nie wyszedł poza konwencjonalizm „pierwszego amanta”. A samo rozwiązanie jakże jest śmiałe, jak dalekie od banalnego optymizmu romansopisarzy, który dziś jeszcze znajduje wyraz w obowiązkowo „szczęśliwym” zakończeniu amerykańskich filmów.

Jeden rys może objaśnić, do jakiego stopnia *Księżną de Clèves* zaskakiwała wszystkie konwencjonalizmy epoki; mianowicie zarzut krytyki, że pierwsze spotkanie pana de Clèves z przyszłą żoną odbyło się w sklepie jubilerskim, a nie w kościele. Znów przypomina się molierowska Magdusia: „Zrazu bądź to w świątyni, bądź na przechadzce, bądź na publicznym igrzysku ujrzy po raz pierwszy tę, która mu jest przeznaczona...” Ale pokochać w sklepie jubilera! Cóż za naturalizm!

Tak więc z panią de la Fayette powieść, z bajki przeznaczonej dla zabawy czytelnika, z krainy fantazji, wkracza – jakże nieśmiało jeszcze – w życie: staje się studium duszy ludzkiej, analizą codziennych dramatów. Zamiast urojonych porwań i korsarzy maluje walkę człowieka z własnym sercem, z namiętnością.

I nie powinna nas tu mylić antyczność tła. Pani de la Fayette nie mogła wziąć swoich bohaterów wprost z współczesnego dworu; to by już nadto urażało ówczesne pojęcia o przyzwoitości. Wzięła dwór Henryka II, ten dwór turniejów, zabaw i plotek, dość podobny do młodego dworu Ludwika XIV. Prawda powieści – dla współczesnych – nie straciła na tym; a i my nie skarżymy się również. Ta przeszłość odbita w przeszłości, ta podwójna – jeżeli wolno się tak wyrazić —”myszka” ma dziś swój szczególny wdzięk. Kanwa opowiadania, nawet niektóre szczegóły, jak śmierć Henryka, amory księżnej de Valentinois

i królowej Katarzyny, nawet poniekąd owa słynna scena tańca pani de Clèves, wszystko to zaczerpnięte jest z Brantome'a.³ I widzimy tu niezmiernie ciekawe przeobrażenie. W tym życiu dworskim XVI wieku – któremu wiek XVII przeciwstawi salon – gromadnym, stłoczonym, niedyskretnym, czyniącym kobietę mimo wszystko niewolnicą, miłość mogła się wyrazić w dwojaki sposób: albo w brutalnej kradzieży chwil pospolitego użycia, albo też w rozwijających się nieśmiało kwiatach marzenia i egzaltacji. U Brantome'a widzimy najczęściej ową pierwszą formę: pani de la Fayette wydobywa ten drugi element. Tam gdzie dworak – jowialista znajduje temat do jurnych konceptów, tam subtelna pisarka widzi tragizm losu kobiety wydanej za męża dzieckiem, bez możliwości wyboru, bez świadomości tego, co czyni, rzuconej bez obrony w pokusy świata. Ileż takich pań de Clèves śmiercią w owych czasach przypłaciło przebudzenie swego serca!

Kiedy się czyta tę książkę, podziwiać trzeba, ile z pozornej monotonii autorka wydobywa różnaitości. Wciąż inne odcienie uczuć, tak delikatne, że mogłyby się wydać niemal rozszczepieniem włosa na czworo, niemal „prustyżmem”, ale zrozumiałe dla owego XVII wieku, tak ćwiczonego w psychologii. Coraz to nowy rys zmienia sytuację wewnętrzną dwojga ludzi. Czasem ta subtelna a ścisła analiza staje się niby nieskończonym odbiciem obrazów w przeciwległych lustrach; inne np. będzie uczucie kobiety, która kocha bez świadomości o tym ukochanego człowieka, inne, kiedy ona wie, że on wie, inne znowuż, kiedy ona wie, że on wie, że ona wie, że on wie itd. Wszystkie sprzeczności uczuć, co do których człowiek się łudzi lub bodaj chciałby się łudzić, rozterka wewnętrzna, kiedy czegoś chce, a mimo to doznaje żalu i zawodu, gdy jego chęci się spełniają, wszystkie mistyfikacje i ciuciubabki, w jakie serce, zwłaszcza tak niedoświadczone, gra samo ze sobą, znajdują tutaj wyraz. A ileż wdzięku dodaje tej analizie to, że odbywa się ona na dziewiczym sercu, które z przerażeniem i zdumieniem śledzi objawy, o których nie miało pojęcia. Nas, którzy mamy inne kłopoty, niecierpliwi czasem ta księżna, to prawda; ale to niesłusznie; raczej powinna by nas wzruszać bohaterska dziewczyna, która sama musi sobie szukać drogi w zamęcie uczuć. I wzruszające doprawdy jest owo słynne wyznanie, które wywołało współcześnie taką burzę krytyki i zgorszenia! Sama ta koncepcja zawiązania dramatu między trojgiem osób jednako szlchetnych, niemal bez winy, była głęboko oryginalna, nieskończenie – powtarzam – odbiegająca od powieści współczesnych.

Raczej można by odnaleźć jej natchnienie we współczesnym teatrze: analiza bezwolnej namiętności, z którą walczy *Fedra*, a bardziej tryumf, jaki w tragediach Corneille'a odnosi imperatyw woli nad porywem serca, oto wspomniałe zdobycze ówczesnego teatru. Bo teatr w owej epoce nieskończenie wyprzedził powieść, tak jak dwa wieki później, w epoce Balzaka, powieść wyprzedzi nieskończenie teatr. Śmiałością pani de la Fayette jest, że umiała wyzyskać w powieści zdobycze teatru; i tam też należy szukać jej natchnień i jej poprzedników. Umiała patos tragedii zniżyć do życia codziennego. Tam też może trzeba szukać tajemnicy zwięzłości tej książki, tak odbiegającej od obyczaju powieści; zwięzłość ta, jednolitość akcji są na wskroś dramatyczne. Tak

³ W książeczce *La véritable princesse de Clèves* p. Valentine Poizat wywodzi, na podstawie Brantôme'a, kto był pierwowzorem bohaterki; mianowicie Anna d'Este.

więc widzimy, iż ta skromna książeczka czerpała soki ze wszystkich zdobyczy swego wieku. Jest w niej przenikliwa analiza Racine'a, wyostrzona jeszcze spojrzeniem autora *Maksym*. Jest zwłaszcza wysokie corneille'owskie pojęcie ideału życia. Są w niej wszystkie wyrafinowania dwornej miłości, jakie przyniósł pałac Rambouillet, ale wolne od mizdrzenia „wykwintniś”. Owa część kobieca, owa *gloire*, chwała, z której „wykwintnisie” uczyniły nieraz czczą parodię, tutaj znajduje najszlachetniejszy wyraz. I czemuż nie mielibyśmy jej rozumieć? Jeśli rozumiemy męski „punkt honoru”, dla którego poświęcają – nieraz w mało wartej sprawie – życie, czemuż nie mielibyśmy rozumieć kobiety, która swój kobiecy punkt honoru stawia wyżej niż samo szczęście? Oczywiście miesza się tu i element dumy: kobieta, którą miłość postawi na takim piedestale, niełatwo decyduje się zstąpić do rzędu kobiet „pospolitych”; tu wchodzi w grę kobieca ambicja. I w tym stanie duszy (pomijając skrupuł sumienia) małżeństwo, nawet szczęśliwe na pozór, będzie abdykacją. Pani de Clèves wie – zbyt wcześnie może – że nic nie zatrzyma cudnego mirażu w jej tak wyegzaltowanej miłości, że żadna rzeczywistość sprostać mu nie zdoła. I woli ze swoim marzeniem uciec od życia niż zstąpić do rzeczywistości takiej, jaką widzi naokoło. Ta ucieczka od życia jest częstym objawem w owym XVII wieku u kobiet: panna de la Fayette, która kochała Ludwika XIII, panna de la Valière, pani de Sablière i tyle innych, które schroniły się na łono religii.

Religia... Interesującym jest stosunek do niej w tej powieści. Wyobraźmy sobie tę książkę w innej epoce; jaką rolę odgrywałaby w niej spowiedź, kościół, modlitwa. Tu ani śladu tego wszystkiego; kończy klasztorem, ale ani razu nie wymienia imienia Boga. Aby ta walka była naprawdę tragiczna, człowiek – tutaj słabe młode kobieciątko – musi być zdany sam sobie, musi stoczyć tę walkę o swoich siłach, w imię obowiązków, które sam sobie nałożył. Jest tu corneille'owski znowuż stoicyzm, jest też ów element pogaństwa, jaki od czasu klasycznego Odrodzenia tak znaczny jest w kulturze oświeconej Francji.

A jednak czuć tutaj oddźwięk prądów religijnych epoki. Sam jej stosunek do życia, głęboko pesymistyczne poczucie niemocy człowieka, któremu nawet najprawdziwsza cnota nie wystarczy, aby się obronić spustoszeniom namiętności, wszystko to przypomina, że pani de la Fayette, gorąca wielbicielka Pascala, żyła w kółkach zbliżonych bardzo do jansenistycznego Port – Royalu. I ten więc wielki prąd epoki znalazł wyraz w jej małej książeczce.

Oto widzimy, jak bardzo poziomem moralnym, wagą, głębią odbiega ta powiastka od wszystkiego, czego współcześni zwykli byli szukać w powieści. Wrażenie też, jakie uczyniła, było ogromne. Fontenelle pisze do „*Mercure Galant*”: „Łatwo osądzić, że geometra taki jak ja, cały pełen miar i proporcji, nie porzuca Euklidesa dla odczytania cztery razy z rzędu miłosnej powiastki, gdyby nie miała uroków dość silnych, aby przemówić nawet do matematyków...” Rozmawiają o *Księżną de Clèves* wszędzie, komentują, dyskutują. Mimo że wyszła bezimiennie (1678), nikt nie mylił się co do autorstwa; stała się ukoronowaniem stanowiska pani de la Fayette w intelektualnym świecie Paryża. Ale jeden punkt zwłaszcza poruszył wszystkich i stał się przedmiotem dyskusji żywych, a dość charakterystycznych, aby je przytoczyć. Mamy złudzenie, że wynajdujemy wszystko; tymczasem raz po raz zdarza się nam odkryć, że coś istniało dawno przed nami. I tak na przykład ankieta dziennikarska w jakiejś kwestii etyczno-życiowej. Parę lat temu jedno z naszych

„czerwonych” pism ogłosiło ankietę z okazji jakiegoś pana Michała X, który zapytał redakcji, co ma uczynić wobec tego, że ukochana narzeczona przyznała mu się przed ślubem, iż miała „przeszłość”. Podobną ankietę ogłosiło z okazji *Księżnej de Clèves* pismo „*Mercurie Galant*”, mianowicie w sprawie wyznania, jakie księżna de Clèves, szukając obrony przeciw samej sobie, czyni mężowi. Ta scena przechodziła imaginację współczesnych; mimo iż dyskutowano z zapalem wszystkie zagadnienia miłości, to nie przyszło nikomu na myśl! Toteż niemal wszystkie odpowiedzi wypadają tu ujemnie. W żadnym wypadku kobieta nie powinna czynić mężowi podobnych wyznań, oto głos niemal powszechny. „Żadna z naszych pasterek nie zechce jej naśladować” – pisze żartobliwie jakiś korespondent, kryjący się pod pseudonimem pasterza. Inni powołują się na historię, na ojców Kościoła. „Kobieta – powiada pani de Grammont – musi dobrze zważyć usposobienie męża, zanim się puści na tak niebezpieczne zwierzenia. Cezar, człowiek o porywczym charakterze, wpadłby w furję. Katon z Utyki, przeciwnie, który żonę swoją oddał przyjacielowi i wziął ją z powrotem po jego śmierci, przyjąłby to z pogodnym czołem.”

Dyskusja ta świadczy, jak bardzo owa scena wyznań odbiegała od pojęć tego wieku i tego świata; niemniej jednak scena ta była dla powieści pani de la Fayette zasadniczą; kto wie, może cała powieść była dla niej napisana? Bo autorka powraca w innym utworze do tego motywu, i to jeszcze śmieiej: w opowiadaniu *Hrabina de Tende* bohaterka, zaszedłszy z kochankiem w ciążę, wyznaje to swemu mężowi! Mimo że utwór ten napisany jest dość szkicowo i mimo że pani de la Fayette ułatwiła sobie zadanie każąc przy urodzeniu dziecka umrzeć i matce, i dziecku, niemniej jednak sam ten pomysł, na tle „idealizmu” współczesnych powieści, robi wrażenie śmiałości wręcz brutalnej.

Jeszcze na jeden szczegół, na pozór drobny, chciałbym zwrócić uwagę. Jest tam mianowicie takie rzucone mimochodem zdanie: „Pani de Clèves, będąc w wieku, w którym nie wierzy się, aby kobieta mająca więcej niż dwadzieścia pięć lat mogła być kochana, patrzyła z nadzwyczajnym zdumieniem na przywiązanie króla do tej księżnej, która była babką i która właśnie wydała za mąż wnuczkę...” Dziś wydaje się to nic, ale wówczas, na dwa wieki przed *Kobietą trzydziestoletnią* Balzaka, w epoce gdy w romansie panowały niepodzielnie konwencjonalne dziewice cudnej piękności, podobne rysy dowodzą wielkiej śmiałości i samodzielności spojrzenia.

Bo – jak z tego widać – panią de la Fayette wciąż nękało zagadnienie szczerości w życiu. Musiała ta potrzeba tkwić głęboko w jej naturze, skoro La Rochefoucauld dla określenia jej charakteru wymyślił nowe wyrażenie: *vraie*, prawdziwa, i nazywa ją „najprawdziwszą kobietą, jaką widział w życiu”. I także interesującym dokumentem człowieka jest, że właśnie ta najprawdziwsza kobieta została dla potomnych zagadką. „Moim zdaniem – powiada Anatol France – ta kobieta, tak szczerą, jest nieprzenikniona. Cnotliwa, pobożna, dobrze widziana na dworze... mimo to podejrzewałbym ją niemal, że wątpiła o cnotcie, mało wierzyła w Boga i – co najosobliwsze w owej epoce – nienawdziła króla.

Najbliżsi przyjaciele nie znali jej. Uważali ją za opieszalą; ona sama mawiała, że pławi się w lenistwie, a prowadziła interesy z niezłomną wytrwałością. Nie robię jej z tego zarzutu – powiada France – ale nie sądzę, aby istniała kobieta bardziej tajemnicza.”

Ale wróćmy do sporów o księżnę de Clèves i jej osobliwe wyznanie.

Któryś korespondent przedstawił graficznie, na synoptycznej tabeli, wszystkie szanse postępu księżnej, korzyści i ujemne strony zwierzenia i milczenia, i co może dobrego wynikać z nich obu. Gdzieś na zapadłej prowincji omal nie zerwało się narzeczeństwo, ponieważ narzeczeni pokłócili się z tego powodu. „Lepiej jest dla mężczyzny być zdradzonym bez swej wiedzy niż stać się powiernikiem żony nienawidzącej go najcnotliwiej w świecie” – oto najlapidarniejsze może sformułowanie powszechnej opinii. Trzeźwość XVII wieku stawała dęba wobec romantyzmu tej książeczki; bo nie ulega wątpliwości, że będąc reakcją przeciw sztucznemu romantyzmowi awantur, była ona romantyczna w znaczeniu pewnej egzaltacji duszy. Gdyby ją, nie zmieniając nic w treści, przetłumaczyć na język romantyków, sądzę, iż wystąpiłoby to bardzo dobitnie.

To nas prowadzi do ostatnich uwag dotyczących stylu. Bo, jak każdą starą książkę, trzeba się nauczyć ją czytać poprzez konwenans epoki. Język wieku XVII nie miał jeszcze kolorów, którymi operuje nowoczesna proza; uczucia określa uświęconymi wyrażeniami, nie szuka rzadkiego i celnego epitetu, zadawała się ogólnikiem. Trzeba nam podkładać cyfry pod tę algebrę. Trzeba się oswoić z tym stylem, tak samo jak ze stylem Racine'a, który dla nas gładki, dworny i blady, współczesnych porwał swym ogniem i przerażał brutalnością I tutaj pod tym wstydliwym umiarkowaniem pulsuje namiętność. Parę słów ledwo, które mają kolor:

owe wierzby np., pod którymi pan de Nemours szuka samotności i daje upust łzom, to temat, który jakże rozwinąłby pisarz w dobie romantyzmu.

Bo też nie o to wówczas autorowi chodziło. Jego główna uwaga była zwrócona nie na dekorację, nie na to, co różni jednego człowieka od drugiego i charakteryzuje go niejako, ale na to, co duszy ludzkiej jest wspólne we wszystkich miejscach i we wszystkich wiekach, na jej wiekuisty mechanizm. Nienaganna analiza duszy kobiecej, historia jednego uczucia we wszystkich jej fazach, oto co z księżnej de Clèves czyni młodszą a jakże uroczą siostrzyczkę wielkiej męczennicy miłości, Fedry.

I pod tym względem zresztą powieść pani de la Fayette była nowatorską. Wspomniałem o reformie rozmiarów romansu. Nie tylko przez wyeliminowanie dygresji i rozwlekłości; każde zdanie jest tu wynikiem pracy nad ścisłym wyrażeniem myśli, dążeniem do zwięzłości, do czystości. Cytują powiedzenie pani de la Fayette, że „okres usunięty wart jest ludwika, a słowo dwadzieścia su”.

Pozostałoby jeszcze ostatnie pytanie: ile pierwiastku osobistego weszło w ten utwór. Pytanie – czuję to – niedyskretne i wobec autorki, i wobec owego XVII wieku, tak powściągliwego, wstydliwego niemal w wyrażaniu osobistych uczuć. Mimo to zadawano sobie to pytanie niekiedy. I nie ulega wątpliwości, że w zestawieniu z innymi powieściami epoki powieść ta jest o wiele więcej „liryczna”, że jest to spowiedź zbolalej i zawiedzionej duszy kobiecej. Musiało w nią wejść i coś z przeżyć zimnego małżeństwa samej autorki, i coś z melancholii zbyt późno znalezionej wielkiego uczucia. Ale rozprowadzić te domysły byłoby nietaktem. Niech autorka pozostanie dla nas tym, do czego ją przyrównali, delikatną m g ł a.

Utwory literackie mają swoją hossę i besę, zależnie od ustosunkowania się epoki do nich. Zaznaczmy tedy, że akcje pani de la Fayette notowane są we Francji obecnie wysoko i że szczególnie często w ostatnich czasach była

mowa o jej arcydziele, zwłaszcza z okazji owego *Bal du comte d'Orgel*, utworu tak wcześnie zmarłego Radigueta. Interesującym jest, że ten najmłodszy z najmłodszych postawił sobie za zadanie sparafrazować niejako w nowoczesnej postaci tę przyblakłą, ale pełną wstydlwego wdzięku księżnę de Clèves. Może to była ostatnia perwersja młodziutkiego autora *Diable au corps*?

BOY

Warszawa, w listopadzie 1927 roku.

Po klasycznych już studiach o pani de la Fayette, pióra Sainte – Beuve'a, Taine'a, hr. d'Haussonville i in., wiele nowych faktów i dokumentów przyniosły w ostatnich latach prace Emila Magne, który ze szczególnym umiłowaniem poświęcił się badaniu całej tej epoki. (*Mme de la Fayette en ménage, Le coeur et l'esprit de Mme de la Fayette, Le vrai visage de la Rochefoucauld, Ninon de Lenclos, Scarron et son milieu etc.*)

KSIĘŻNA DE CLÈVES

C Z Ę Ś Ć P I E R W S Z A

Nigdy przepych i dworność nie objawiły się we Francji w takim blasku jak w ostatnich latach panowania Henryka II. Monarcha ten był dworny, urodziwy i zakochany, a jakkolwiek miłość jego do Diany de Poitiers, księżnej de Valentinois, trwała już przeszło od lat dwudziestu, nie straciła nic na sile i objawiała się niemniej wspaniale. Nadzwyczaj zręczny we wszystkich ćwiczeniach ciała, król oddawał się im z zapalem. Co dzień polowanie i gra w piłkę, balety, gonitwy do pierścienia i podobne rozrywki; barwy i cyfry pani de Valentinois widniały wszędzie, ona zaś sama pojawiała się w stroju, jaki mogłaby nosić panna de la Marck, jej wnuczka, wówczas na wydaniu.

Udział królowej uprawniał jej obecność. Królowa była piękna, mimo iż pierwszą młodość miała już za sobą; kochała się w wielkości, w przepychu i w uciechach. Król zaślubił ją, gdy był jeszcze księciem Orleańskim i kiedy dziedzicem tronu był jego starszy brat zmarły w Tournon; książę, który, tak z urodzenia, jak dla swych wielkich przymiotów, miał być godnym następcą swego ojca, Franciszka I.

Królowa była ambitna, znajdowała wielką słodycz w królowaniu: na pozór zносиła bez przykrości przywiązanie króla do księżnej de Valentinois i nie okazywała zazdrości; ale posiadała ona tak głęboką sztukę obłudy, iż trudno było sądzić o jej uczuciach, polityka zaś nakazywała jej trzymać blisko siebie księżną, aby mieć blisko i króla. Monarcha ten lubił towarzystwo kobiet, nawet tych, w których się nie kochał; przesiadywał codziennie u królowej w godzinach zebrań, na których zjawiało się wszystko, co było najpiękniejszego i najdorodniejszego obojej płci.

Nigdy nie było na dworze tylu pięknych kobiet i mężczyzn wspaniałej postawy; rzeklibyście, iż natura uczyniła sobie rozkosz, aby pomieścić wszystkie swoje wdzięki w największych księżniczkach i największych książętach. Pani Elżbieta Francuska, późniejsza królowa Hiszpanii, zaczynała objawiać ów zadziwiający dowcip i ową niezrównaną piękność, która jej później była tak złowroga. Maria Stuart, królowa Szkocji, która zaślubiła Delfina i którą nazywano królewicową, była to osoba wyborna duszą i ciałem. Wychowana na dworze francuskim, przyswoiła sobie całą jego grzeczność, urodziła się zaś z takim umiłowaniem wszystkich pięknych rzeczy, że mimo swej młodości lubiła je i znała się na nich lepiej niż ktokolwiek. Królowa, teściowa jej, i Jejmość, siostra królewska, kochały się także w wierszach, komedii i muzyce. Upodobanie, jakie król Franciszek I znajdował w poezji i książkach, wła-

dało jeszcze we Francji; że zaś król, jego syn, kochał się w ćwiczeniach ciała, wszystkie rozkosze mieszkali razem na dworze. Ale szczególnie pięknym i majestatycznym czyniła ten dwór niezliczona ilość książąt i panów niezwykłych przymiotów. Ci, których wymienię, byli na rozmaity sposób ozdobą i podziwem swego wieku.

Król Nawarry budził szacunek u wszystkich dostojnością swego stanu oraz tym, które widniało w jego osobie. Celował w rzemiosło wojennym, książę zaś de Guise podsycił jego współzawodnictwo, tak iż nieraz rzucił swoje miejsce wodza, aby walczyć obok niego jak prosty żołnierz, tam gdzie było najniebezpieczniej. Prawda, że ów książę dał dowody tak cudownego męstwa i odniósł takie sukcesy, że nie było wielkiego rycerza, który by nań patrzył bez zazdrości. Dzielność jego wspierały wszystkie inne przymioty: umysł miał rozległy i głęboki, duszę szlachetną i górną, jednaką wreszcie zdatność do wojny, co do polityki. Brat jego, kardynał lotaryński, miał z urodzenia bezgraniczną ambicję, żywy dowcip i cudowną wymowę: pomnożył je z głęboką wiedzą, którą się wspomagał jako obrońca religii katolickiej, wówczas już nieco zagrożonej. Kawaler de Guise, którego nazywano później Wielkim Priorem, był to książę ukochany przez wszystkich, urodziwy, bystry, zręczny, męstwo jego wielbiła cała Europa. Książę de Condé, w małym ciele niezbyt obdarzonym przez naturę, posiadał duszę wielką i wyniosłą oraz dowcip, który go czynił lubym nawet w oczach najpiękniejszych kobiet. Książę de Nevers, wsławiony wojną oraz wielkimi godnościami, jakie piastował, mimo że nieco pochylony wiekiem, był rozkoszą dworu. Miał trzech synów wielce urodziwych: drugi z rzędu, którego zwano księciem de Clèves, godny był podtrzymać chwałę swego nazwiska; był dzielny i wspaniały oraz roztropny ponad swój młody wiek. Widam de Chartres, potomek owego starożytnego domu Vendôme, którego imienia książęta krwi nie poczytywali sobie za ujmę nosić, był równie świetny w wojnie, jak w miłości. Był piękny, dorodny, dzielny, śmiały, hojny; wszystkie te przymioty jaśniały tak żywo, iż on jeden godzien był, aby go porównać z księciem de Nemours, o ile kogokolwiek można z nim było porównać.

Ale ten książę to było arcydzieło przyrody. Najmniej godnym było w nim jeszcze to, że był mężczyzną najpiękniejszym i najkształtniejszym w świecie; ale co stawiało go ponad wszystkich innych, to nieporównana dzielność oraz wdzięk dowcipu, oblicza i postępów, spotykany tylko w nim jednym. Wesołość, równie luba mężczyznom i kobietom, nadzwyczajna zręczność we wszystkich ćwiczeniach, sposób ubierania się naśladowany przez wszystkich, ale nadaremnie, słowem było coś w całej jego osobie, co sprawiało, że gdziekolwiek się pojawił, widziało się tylko jego. Nie było damy na dworze, dla której nie byłoby zaszczytem zyskać jego względy; mało która z wyróżnionych przezeń mogła się chlubić, że mu się oparła; a nawet niejedna, której nie okazał chęci, mimo to zapłonęła do niego. Miał tyle słodczy i tak był skłonny do miłości, że nie umiał odmówić nieco względów tym, które starały mu się podobać; miał też wiele kochanek, ale trudno było zgadnąć, którą kochał prawdziwie. Zachodził często do królewicowej; piękność tej księżniczki, jej słodczy, uprzejmość dla wszystkich oraz szczególny szacunek, jaki okazywała temu księciu, wszystko to pozwalało mniemać, że on podnosił oczy aż do niej. Panowie de Guise, których była siostrzenicą, wspomogli znacznie swój wpływ i swoje uważanie jej małżeństwem: ambicja parła ich ku temu, aby się

zrównać z książętami krwi i podzielić władzę z konetabłem de Montmorency. Król zdał na niego przeważną część rządów, księcia zaś de Guise i marszałka de Saint – Andre miał za swoich ulubieńców. Ale ci, których łaska albo sprawy zbliżyły do jego osoby, mogli się utrzymać jedynie nadskakując księżnej de Valentinois; nie posiadając już miłości ani urody, władała królem tak absolutnie, iż, można rzec, była panią i jego, i państwa.

Król lubił zawsze konetabla; skoro tylko objął rządy, odwołał go z wygnania, na które posłał go Franciszek I. Dwór dzielił się między panów de Guise i konetabla, którego popierali książęta krwi. I jedna, i druga partia wciąż starała się pozyskać księżnę de Valentinois. Książę Aumale, brat księcia de Guise, zaślubił jej córkę; konetabl marzył o takim samym związku. Nie zadowolwał się tym, że ożenił starszego syna z panną Dianą, córką króla oraz pewnej damy piemonckiej, która wstąpiła do klasztoru, skoro tylko powiła tę córkę. Małżeństwo to spotkało się z wieloma trudnościami z powodu obietnic, jakie pan de Montmorency uczynił pannie de Piennes, jednej z panien dworu; i mimo że król przewyciężył je z przedziwną dobrocią i cierpliwością, konetabl nie czuł się jeszcze dość bezpieczny, póki nie zapewni sobie pani de Valentinois i póki jej nie oderwie od panów de Guise, których wpływy zaczynały niepokoić księżnę. Opóźniła, ile tylko mogła, małżeństwo królowica z królową szkocką: piękność i dowcip młodej królowej oraz splendor, jakiego ten związek przydawał panom de Guise, były jej nie do zniesienia. Nienawidziła zwłaszcza kardynała lotaryńskiego, który odzywał się do niej cierpko, a nawet ze wzgardą. Widziała, że się kuma z królową; tak iż konetabl znalazł grunt sposobny do przymierza i do spowinowacenia się z panią de Valentinois w drodze małżeństwa jej wnuczki, panny de la Marck, z panem d'Anville, jego drugim synem, który odziedziczył po nim później szarżę za panowania Karola IX. Konetabl nie lękał się natrafić u pana d'Anville na uprzedzenia takie jak u pana de Montmorency, ale mimo że przyczyny były mu nie znane, trudności okazały się nie mniejsze. Pan d'Anville zakochany był .bez pamięci w królewicowej i mimo że ta miłość była niemal beznadziejna, nie mógł się zdobyć na to, aby przyjąć więzy , które by dzieliły jego serce.

Marszałek de Saint – Andre był jedynym na dworze, który nie przystał do żadnego stronnictwa. Był jednym z faworytów i łaska jego związała się tylko z jego osobą. Król kochał go jeszcze z czasów, gdy był królewiczem, i później zrobił go marszałkiem Francji, w wieku, w którym zazwyczaj nie rości się praw ani do najmniejszych godności. Łaska jego dawała mu blask, który podtrzymał zaletami i urokiem swojej osoby, wielką dbałością o stół i sprzęty oraz największą wspaniałością, jaką kiedykolwiek widziano u prywatnej osoby. Hojność króla dostarczała środków na te wydatki. Monarcha ów posuwał się aż do rozrzutności dla tych, których kochał; nie miał on wszystkich wielkich przymiotów, ale miał ich wiele, zwłaszcza zaś ten, że kochał wojnę i znał się na niej; toteż odniósł znaczne sukcesy i, jeżeli wyłączyć bitwę pod Saint – Quentin, panowanie jego było jednym ciągiem zwycięstw. Wygrał własną osobą bitwę pod Renty; zdobyto Piemont, wygnano Anglików z Francji, a cesarz Karol V ujrzał zmierzch swojej gwiazdy pod Metzem, który daremnie oblegał ze wszystkimi siłami cesarstwa i Hiszpanii. Mimo to – ile że klęska pod Saint – Quentin zważyła nadzieje naszych podbojów i odtąd fortuna dzieliła się niejako między tych dwóch królów – okazali się bardziej skłonni do pokoju.

Księżna – wdowa lotaryńska zaczęła robić propozycję w porze małżeństwa królewica: od tego czasu wciąż toczyły się jakieś tajemne rokowania. Wybrano wreszcie Cercamp w prowincji Artois jako miejsce, gdzie miano się zebrać. Kardynał lotaryński, konetabl de Montmorency i marszałek de Saint – Andre przybyli tam imieniem króla; ksiązę Alba i ksiązę Orański imieniem Filipa II; oboje księstwo lotaryńscy byli mediatorami. Główne punkty to było małżeństwo pani Elżbiety Francuskiej z don Karlosem, infantem hiszpańskim, oraz małżeństwo siostry króla z panem Sabaudzkim.

Król pozostał wszakże na granicy i tam otrzymał wiadomość o śmierci Marii, królowej angielskiej. Wysłał hrabiego Randan do Elżbiety, aby jej złożył życzenia z powodu wstąpienia na tron: przyjęła go z radością. Prawa te były tak niepewne, iż wiele jej znaczyło uznanie naszego króla. Hrabia ujrzał, iż dobrze zna sprawy dworu francuskiego i zalety tych, którzy go składają; ale zwłaszcza przejęta była reputacją diuka de Nemours. Tyle razy wspomniała mu o tym księciu i z takim zapalem, że kiedy pan de Randan wrócił i zdał królowi sprawę ze swej podróży, powiedział mu, że nie ma rzeczy, o którą pan de Nemours nie mógłby się zabiegać u tej królowej, i że nie wątpi, iż byłaby zdolna go zaślubić. Król wspomniał o tym księciu jeszcze tego wieczora; kazał panu de Randan, aby powtórzył wszystkie swoje rozmowy z Elżbietą, i radził księciu pokusić się o ten wielki los. Pan de Nemours sądził zrazu, że król sobie dworuje: kiedy wszakże spostrzegł, że jest inaczej:

– Przynajmniej, królu – rzekł – jeśli się puszczę na tak chimeryczne przedsięwzięcie za radą i dla służby Waszej Królewskiej Mości, błagam ją o dochowanie mi sekretu aż do chwili, w której powodzenie usprawiedliwi mnie w oczach ogółu. Nie chcę uchodzić za człowieka tak próżnego, aby mniemać, że królowa, która mnie nigdy nie widziała, chce mnie zaślubić z miłości.

Król przyrzekł, że powie jeno samemu konetablowi o tym zamiarze; uważał nawet, że tajemnica potrzebna jest dla powodzenia. Randan poradził panu de Nemours, aby się udał do Anglii pod pozorem zwykłej podróży; ale ksiązę nie mógł się na to zdecydować. Wysłał Lignerola, bardzo sprytnego młodego człowieka, swego oblubieńca, aby wybadał uczucia królowej i starał się coś nawiązać. Oczekując wyniku tej podróży, wybrał się w odwiedzin do księcia Sabaudzkiego, który był wówczas w Brukseli z królem hiszpańskim. Śmierć Marii Angielskiej stała się wielką przeszkodą dla pokoju; zjazd rozbił się z końcem listopada i król wrócił do Paryża. Pojawiła się wówczas na dworze piękność, która ściągnęła oczy wszystkich, a można wnosić, że to była piękność doskonała, skoro obudziła podziw w otoczeniu tak nawykłym widywać piękne osoby. Była z tego samego domu co widam de Chartres, jedna z najbogatszych dziedziczek we Francji. Ojciec jej umarł młodo i zostawił ją pod opieką pani de Chartres, swojej żony, osoby wielkich cnót, zalet i majątku. Straciwszy męża, spędziła wiele lat nie pojawiając się na dworze. W czasie tej nieobecności poświęcała się z wielkim staraniem wychowaniu córki; ale nie tylko pracowała nad tym, aby rozwinąć jej dowcip i urodę: starała się też wszczepić cnotę i jej umiłowanie. Większość matek wyobraża sobie, że wystarczy nigdy przy młodej osobie nie mówić o miłostkach, aby ją od nich oddalić. Pani de Chartres była przeciwnego zdania; często kreśliła córce obrazy miłości, podnosiła wszystko, co w niej lubego, aby łatwiej ją przekonać o tych niebezpieczeństwach. Opowiadała o fałszu mężczyzn, o ich oszukaństwach i niewierności, o nieszczęściach domowych, w które wtrącają miłost-

ki; z drugiej strony ukazywała spokój, jaki towarzyszy życiu uczciwej kobiety; mówiła, ile blasku i wspaniałości przydaje cnota osobie posiadającej piękność i urodzenie. Ale ukazywała także, jak trudno jest zachować tę cnotę; a można ją zachować jedynie przez wielką nieufność do samej siebie oraz przez wielką pilność w przywiązaniu się do tego, co jedynie może być szczęściem kobiety, to znaczy kochać męża i posiadać jego miłość.

Panna ta była wówczas jedną z najświetniejszych partii we Francji; mimo że była bardzo młoda, już jej rajono niejedno zamełcie. Pani de Chartres, osoba bardzo dumna, nie znajdowała prawie nic godnym tej córki. Widząc, że idzie jej szesnasty rok, postanowiła pokazać ją u dworu. Kiedy przybyła, widam wyjechał naprzeciw niej. Zdumiał się wielką pięknnością panny de Chartres, i słusznie. Białość cery i jasnych włosów dawały jej blask, który miała tylko ona jedna; rysy były doskonale regularne, a twarz i osoba pełne uroków i wdzięku.

Nazajutrz po przybyciu poszła wybierać kamienie u Włocha, który handlował nimi po całym świecie. Człowiek ten przybył z Florencji z królową, a tak się wzbogacił w swoim handlu, że dom jego wyglądał raczej na dom wielkiego pana niż na dom kupca. Kiedy tam bawiła, nadszedł książę de Clèves. Tak bardzo uderzony był jej pięknnością, że nie mógł ukryć zdumienia, a panna de Chartres mimo woli zapłonęła się widząc wrażenie, jakie na nim uczyniła. Opamiętała się wszakże, nie zwracając uwagi na księcia więcej ponad to, co nakazywała grzeczność wobec takiego człowieka. Pan de Clèves patrzył na nią z podziwem; nie mógł pojąć, kto jest ta piękna osoba, której nie znał. Widział dobrze z jej wzięcia i z jej orszaku, że musi być ze znakomitego domu. Młodość jej kazała mu mniemać, że jest panną; że jednak nie widział matki, Włoch zaś, który jej nie znał, nazywał ją panią, nie wiedział, co myśleć, i wciąż patrzył na nią ze zdumieniem. Spostrzegł, że jego spojrzenia wprawiają ją w zakłopotanie, w przeciwieństwie do innych młodych osób, które zawsze rade widzą działanie swej piękności. Zdało mu się nawet, że on jest przyczyną rychłego jej odejścia; w istocie wyszła dość prędko. Pan de Clèves pocieszał się nadzieją dowiedzenia się, kto ona jest; ale bardzo się zdumiał usłyszawszy, że jej nie znają. Był tak wzruszony jej urodą i skromnością, że można rzec, iż od tej chwili powziął dla niej i miłość, i niezwykle szacunek. Wieczorem udał się do Jejmości, siostry królewskiej.

Księżniczka ta zażywała wielkiej czci dzięki wpływowi, jaki miała na króla, swego brata: a wpływ ten był tak znaczny, że zawierając pokój król godził się ustąpić Piemont, aby ją wydać za księcia Sabaudii. Mimo iż całe życie pragnęła się wydać za męża, chciała wyjść jedynie za monarchę i dla tej przyczyny odrzuciła króla Nawarry, kiedy był księciem Vendôme. Zawsze też pragnęła za męża pana Sabaudzkiego; zachowała dlań skłonność od czasu, jak go ujrzała w Nicei przy spotkaniu króla Franciszka I i papieża Pawła III. Ponieważ miała wiele dowcipu i wiele biegłości w sztukach, ściągала wszystkich godnych ludzi i bywały godziny, że znajdował się u niej cały dwór.

Pan de Clèves przybył tam jak zwyczajnie; tak był przejęty wdziękiem i urodą panny de Chartres, że nie umiał mówić o czym innym. Opowiedział tedy głośno swoją przygodę, nie ustając w pochwałach owej osoby, którą widział, ale której nie znał. Jejmość odrzekła, że nie ma istot takich jak owa, którą maluje, i że gdyby nawet była taka, znalazłby ją wszyscy. Pani de Dampierre, jej dama dworu i przyjaciółka pani de Chartres, słysząc tę rozmowę,

zblżyła się do Jejmości i szepnęła jej, że to z pewnością pannę de Chartres pan de Clèves musiał widzieć. Jejmość obróciła się ku niemu i rzekła, że jeżeli zechce zejść do niej nazajutrz, ukaże mu ową piękność, która go tak podbiła. W istocie panna de Chartres zjawiła się nazajutrz. Królowe przyjęły ją ze wszystkimi względami, wszyscy zaś z takim podziwem, że słyszała ną okół jeno same pochwały. Przyjmowała je z tak szlachetną skromnością, iż nie zdawało się, aby je słyszała, a przynajmniej, aby ją wzruszały. Udała się następnie do Jejmości, siostry królewskiej. Księżniczka ta, nachwaliwszy jej urodę, opowiedziała jej o zdumieniu, w jakim pogrzyła pana de Clèves. Książę wszedł w chwilę potem.

– Pójdź, książę – rzekła – zobacz, czy nie dotrzymuję słowa i czy, przedstawiając ci pannę de Chartres, nie ukazuję ci piękności, której szukałeś: podziękuj mi bodaj, że jej opowiedziałam o podziwieniu, jaki obudziła w tobie.

Pan de Clèves uradował się widząc, że osoba, która mu się zdawała tak luba, stanem równa jest swojej piękności. Podszedł do niej i błagał, aby chciała spamiętać, że on był pierwszym, który ją podziwiał, i że, nie znając jej, powziął dla niej wszelkie uczucia szacunku i czci, jakie się jej należą.

Wszedł od Jejmości ze swoim przyjacielem, kawalerem de Guise. Zrazu chwalili swobodnie pannę de Chartres. Spostrzegli wreszcie, że chwala ją za nadto, i obaj przestali mówić to, co myśleli: ale musieli o niej mówić przez następne dni wszędzie, gdzie się spotkali. Ta nowa piękność długo była przedmiotem wszystkich rozmów. Królowa oddawała jej wielkie pochwały i miała dla niej szczególne uważanie; królewicowa rozmiłowała się w niej niezmiernie i prosiła panią de Chartres, aby ją często przyprowadzała do niej. Córki królewskie posyłały po nią, iżby brała udział we wszystkich ich rozrywkach. Słowem kochał ją i podziwiał cały dwór, z wyjątkiem pani de Valentinois. Nie, iżby ta piękność zdjęła ją obawą; zbyt długie doświadczenie przekonało ją, że nie ma czego się lękać ze strony króla; ale tak bardzo nie nawidziła widama de Chartres, którego chciała przywiązać do siebie małżeństwem z jedną ze swych córek, a który przystał do królowej, że nie mogła spoglądać życzliwie na osobę noszącą jego nazwisko i cieszącą się jego szczególną przyjaźnią.

Książę de Clèves rozkochał się namiętnie w pannie de Chartres i gorąco pragnął ją zaślubić; ale obawiał się, czy nie urazi dumy pani de Chartres oddać córkę człowiekowi, który nie jest najstarszym ze swego domu. Jednakże dom ten był tak znaczny, a hrabia d'Eu, który był najstarszy z rodu, zaślubił świeżo osobę tak bliską tronu, że obawy pana de Clèves płynęły raczej z lęklności rozkochanego serca niż z istotnych przyczyn. Miał wielu rywali, a kawaler de Guise zdawał mu się najgroźniejszy, urodzeniem swoim, zaletami oraz blaskiem, jaki łaska królewska dawała jego domowi. Książę ów rozkochał się w pannie de Chartres od pierwszego spojrzenia; odgadł miłość pana de Clèves, tak jak nawzajem pan de Clèves jego. Mimo że byli przyjaciółmi, rozdźwięk, jaki budzą jednakie pragnienia, nie pozwolił im rozmówić się szczerze; przyjaźń ich ostygła, a nie zdobyli się na wyjaśnienie. Przypadek, który pozwolił panu de Clèves pierwszemu ujrzeć pannę de Chartres, zdawał mu się szczęśliwą wróżbą i dawał mu jak gdyby pewną przewagę nad rywalami; ale przewidywał wielkie przeszkody ze strony księcia de Nevers, swego ojca. Ów książę ściśle był związany z księżną de Valentinois: ona była nieprzyjaciółką widama, a to wystarczało, aby książę de Nevers nie pozwolił sy-

nowi myśleć o jego bratanicy.

Pani de Chartres, która tak pilnie starała się wlać cnotę w serce córki, nie przestawała troszczyć się o to i obecnie, w okolicznościach, gdy to zdawało się tak potrzebne, i w miejscu, gdzie było tyle niebezpiecznych przykładów. Ambicja i miłostki były duszą tego dworu i zaprzętały po równi mężczyzn i kobiety. Tyle było rozmaitych interesów i intryg, a damy tyle miały w nich udziału, że miłość była zawsze spleciona z interesami, a interesy z miłością. Nikt nie był spokojny ani obojętny; każdy myślał o tym, aby się wywyżżyć, aby się przypodobać, aby pomagać lub szkodzić; nie znali nudy ani bezczynności, wciąż zajęci uciechą albo intrygami. Damy były szczególnie oddane królowej, królewicowej, królowi Nawarry, Jejmości siostrze królewskiej albo księżnej de Valentinois. Skłonność, względy przystojności lub powinowactwo usposobień rozstrzygały o tych rozmaitych związkach. Te, które minęły pierwszą młodość i które popisywały się surowszą cnotą, trzymały się królowej. Młodsze, które szukały uciechy i miłostek, nadskakiwały królewicowej. Królowa Nawarry miała swoje faworyty: była młoda i miała wpływ na króla, swego męża: był on blisko z konetabłem i przez to mógł niemało. Jejmość siostra królewska była jeszcze piękna i ściągała wiele dam do siebie. Księżna de Valentinois miała wszystkie te, na które raczyła spojrzeć; ale mało którą lubiła i, wyjąwszy kilku, które miały jej zaufanie i przyjaźń i których charakter jej odpowiadał, przyjmowała u siebie jedynie w dnie, w których rada była mieć swój dwór, jak królowa.

Pomiędzy wszystkimi tymi partiami istniało współzawodnictwo i zawiści: damy, które je składały, też zazdrościły sobie wzajem czy to łask, czy kochanków; kwestie wpływów i awansu łączyły się często z owymi innymi sprawami, mniej doniosłymi, to prawda, ale nie mniej dającymi się uczuć. Toteż mimo że bez zamętu, panował na tym dworze ciągły ruch, czyniąc pobyt tam bardzo lubym, ale też wielce niebezpiecznym dla młodej osoby. Pani de Chartres widziała to niebezpieczeństwo i myślała jeno o sposobach uchronienia córki. Prosiła ją, nie jako matka, ale jako przyjaciółka, aby jej zwierzała wszystko, co jej ktoś powie; przyrzekła jej pomagać i kierować jej zachowaniem w rzeczach, które są niekiedy kłopotliwe dla młodej panny.

Kawaler de Guise tak samo objawiał swoje uczucia i zamiary, że nie były one tajemnicą dla nikogo. Widział wszakże, że to, czego pragnie, jest niepodobieństwem; wiedział, że nie jest partią dla panny de Chartres, będąc zbyt mało zasobnym, aby ją móc utrzymać na odpowiedniej stopie; wiedział także, że bracia nie przystaną, aby się ożenił, z obawy przed uszczupleniem wielkiego domu przez takie małżeństwo młodszego syna. Kardynał lotaryński przekonał go niebawem, że się nie myli; potępił bardzo żywo uczucia jego dla panny de Chartres, ale nie zdradził mu prawdziwych przyczyn. Kardynał ów żywił dla widama nienawiść tajoną wówczas, a która wybuchła później. Raczej byłby się zgodził dla brata na wszelkie inne związki niż na krewieństwo z widamem; i oświadczył tak publicznie swą niechęć w tej mierze, że pani de Chartres uczuła się dotkliwie obrażona. Postarała się okazać bardzo jawnie, że kardynał lotaryński nie ma się czego obawiać i że ona nie myśli o tym małżeństwie. Widam postąpił tak samo: odczuł on jeszcze żywiej niż pani de Chartres postępek kardynała, bo lepiej znał jego przyczynę.

Książę de Clèves objawiał miłość swoją nie mniej publicznie niż kawaler de Guise. Książę de Nevers dowiedział się o tym uczuciu z przykrością: sądził

wszak, że wystarczy mu pomówić z synem, aby go skłonić do zmiany postępowania; ale bardzo się zdziwił widząc w nim niezłomną chęć zaślubienia panny de Chartres. Potępił ten zamiar, uniósł się i tak dalece nie krył się ze swym oburzeniem, że sprawa rozniosła się niebawem na dworze i doszła do pani de Chartres. Nie wątpiła, że pan de Nevers będzie uważał małżeństwo z jej córką za korzystne dla swego syna: zdziwiła się bardzo, że i dom de Clèves, i de Guise lękają się tych związków zamiast ich pragnąć. Gniew, jaki w niej to obudziło, kazał jej pomyśleć o małżeństwie, które by córkę jej postawiło wyżej tych, co mniemali, że sami stoją wyżej. Rozważywszy wszystko obróciła oczy na syna i dziedzica księcia de Montpensier. Był wówczas do wzięcia, a była to największa partia na dworze. Ponieważ pani de Chartres miała wiele rozumu, ponieważ pomagał jej widam zażywający wielkiego wpływu i ponieważ w istocie córka jej była znaczną partią, zakreśliła się tak zrećźnie i tak pomyślnie, iż pan de Montpensier zdawał się przychylnie patrzeć na związek i nic na pozór nie stało na przeszkodzie.

Widam, który znał oddanie pana d'Anville królewicowej, sądził wszakże, że trzeba użyć wpływu, jaki nań miała ta księżniczka, aby go skłonić do wspierania panny de Chartres u króla i u księcia de Montpensier, którego był bliskim przyjacielem. Wspominał o tym królewicowej; chętnie wdała się w sprawę, gdzie chodziło o wyniesienie osoby, którą bardzo lubiła; oświadczyła to widamowi i upewniła go, iż chociaż wie dobrze, że robi rzecz niemiłą swemu wujowi, kardynałowi lotaryńskiemu, nie będzie o to dbała, bo ma do niego słuszny żal, ile że w każdej sprawie trzyma stronę królowej przeciw niej.

Osoby lubiące miłość zawsze są rade, gdy im dać pozór mówienia z tymi, co je kochają. Skoro tylko widam wyszedł, królewicowa wezwała Chastelarta, faworyta pana d'Anville i świadomego uczuć tego pana dla niej. Kazała panu d'Anville oznajmić, aby był wieczór u królowej. Chastelart przyjął to zlecenie z wielką radością i czcią. Szlachcic ten był z dobrego domu w Delfinacie, ale wartość jego i dowcip wznosiły go ponad jego urodzenie. Przyjmowali go i lubili wszyscy najwięksi panowie na dworze, a fawor domu Montmorency przywiązał go szczególnie do pana d'Anville. Był urodziwy, zrećzny we wszelakim ćwiczeniu, śpiewał przyjemnie i składał wiersze, miał umysł dworny i żywy, który tak się spodobał panu d'Anville, że wziął go za powiernika miłości swej do królewicowej. Zwierzenie to zbliżyło go do tej księżniczki, za czym, widując ją często, powziął sam do niej ową nieszczęśliwą miłość, która mu odjęła rozum i która w końcu kosztowała go życie.

Pan d'Anville nie omieszkał stawić się wieczorem; szczęśliwy, że królewicowa jego wybrała do pracy nad rzeczą, której pragnęła, przyrzekł słuchać ściśle jej rozkazów. Ale pani de Valentinois, ostrzeżona o zamierzonym małżeństwie, pokrzyżowała je tak zrećźnie i tak nastroiła króla, że kiedy pan d'Anville mu o nim wspomniał, król okazał, że go nie pochwała, i nawet kazał to powiedzieć księciu de Montpensier. Można sobie wyobrazić, jak dotkliwie odczuła pani de Chartres zerwanie związku, którego tak pragnęła, a którego niepowodzenie dawało taką przewagę jej wrogom i wyrządzało tyle szkody jej córce.

Królewicowa okazała panie de Chartres w najserdeczniejszy sposób żal, że nie mogła jej być użyteczna:

– Widzisz sama – rzekła – jak moja władza jest skromna. Królowa i księżna

de Valentinois tak mnie nienawidzą, że trudno jest, aby one albo ich zauszniczy nie pokrzyżowali wszystkiego, czego pragnę. A wszakże – dodała – zawsze dbałam tylko o to, aby im być miłą; toteż nienawidzą mnie jedynie z przyczyny królowej mojej matki, która obudziła w nich niegdyś niepokój i zazdrość. Król był w niej zakochany, nim zakochał się w pani de Valentinois; w pierwszych latach swego małżeństwa, gdy nie miał jeszcze dzieci, mimo iż kochał tę panią, zdawał się niemal skłonny rozwieść się, aby zaślubić królowę moją matkę. Pani de Valentinois, lękając się żony, którą król już kochał, a której uroda i dowcip mogły grozić jej faworowi, połączyła się z konetabłem, który również nie pragnął, aby król zaślubił siostrę panów de Guise. Pozyaskali nieboszczyka króla dla swoich uczuć, mimo że nienawidził śmiertelnie księżnej de Valentinois. Ponieważ kochał królowę, pracował wraz z nimi nad tym, aby nie dać się królowi rozwieść; aby zaś zupełnie uniemożliwić mu chęć zaślubienia królowej mojej matki, wydali ją za króla szkockiego, wdowca po pani Magdalenie, siostrze króla; a uczynili to, ponieważ on był najbardziej gotowy do tego związku, depcąc zobowiązania wobec króla angielskiego, który jej pragnął gorąco. Niewiele brakowało, aby to uchybienie nie spowodowało zerwania między dwoma monarchami. Henryk VIII nie mógł się pocieszyć, że nie zaślubił królowej mojej matki, i jakkolwiek inną księżniczkę francuską mu proponowano, powiadał zawsze, że nie zastąpi ona tej, którą mu odjęto. Prawda, że królowa moja matka to była doskonała piękność; rzecz osobliwa, że, jako wdowę po księciu de Longueville, trzech królów chciało ją zaślubić: zły los dał ją najlichszemu i zagrzebał ją w królestwie, gdzie znalazła same zgryzoty. Powiadają, że ja jestem do niej podobna: boję się być do niej podobna i z jej złego losu! Jakie bądź szczęście zda mi się być pisane, nie śmiem wierzyć, bym go kosztowała.

Panna de Chartres odrzekła, iż te smutne przeczucia są tak nieuzasadnione, że królewicowa nie zachowa ich długo i że nie powinna wątpić o szczęściu, które się jej uśmiecha.

Nikt nie śmiał już myśleć o pannie de Chartres z obawy narażenia się królowi lub lękając się rekuzy od osoby, która spodziewała się księcia krwi. Pana de Clèves nie wstrzymał żaden z tych względów. Śmierć ojca jego, księcia de Nevers, która zdarzyła się właśnie, pozwoliła mu swobodnie iść za swą skłonnością. Skoro tylko minął czas godziwej żałoby, myślał już tylko o tym, jak otrzymać rękę panny de Chartres. Rad był, że ma się oświadczyć o nią w dobie, gdy to, co zaszło, oddaliło innych pretendentów i kiedy był niemal pewny, że mu jej nie odmówią. Radość jego mąciła jedynie obawa, że nie zdoła pozyskać jej serca; byłby wolał szczęście podobania się jej od pewności zaślubienia jej bez wzajemności.

Kawaler de Guise budził w nim nieco zazdrości; że jednak zazdrość ta opierała się raczej na zaletach księcia niż na zachowaniu się panny de Chartres, myślał wyłącznie o tym, czy będzie dość szczęśliwy, by jego zamiary uzyskały jej uznanie. Widywał ją jedynie u królowych lub na większych zebraniach: trudno było o osobną rozmowę. Udało mu się to wreszcie; powiedział jej o swoim zamiarze i o swojej miłości z całą możliwą czcią; naglił, aby mu objawiła uczucia swoje dla niego. Te (powiadał), które on żywi dla niej, są tego rodzaju, iż uczynią go wiekuiście nieszczęśliwym, jeżeli ona jeno z obowiązku usłucha woli pani matki.

Panna de Chartres miała serce bardzo szlachetne i zacne, przejęło ją tedy wdzięcznością postępowanie księcia. Wdzięczność ta udzieliła słowom jej odpowiedzi niejakiej słodyczy, wystarczającej, aby obudzić nadzieję w człowieku zakochanym bez pamięci; jakoż książę uwierzył, iż bodaj w części życzenia jego się spełniły. Skoro córka powtórzyła jej tę rozmowę, pani de Chartres oświadczyła, iż pan de Clèves tyle zdradza wspaniałych przymiotów i okazuje na swój wiek tyle statku, iż jeżeli córka czuje się skłonna go zaślubić, ona godzi się na to z radością. Panna de Chartres odrzekła, że i ona widzi w nim też same przymioty; zaślubi go nawet z mniejszą odrazą niż kogokolwiek innego, ale nie czuje żadnej osobliwej skłonności do jego osoby.

Zaraz nazajutrz książę wysiał swatów do pani de Chartres; przyjęła ich i, oddając córkę panu de Clèves, nie wątpiła, iż z czasem zdoła takiego męża pokochać. Ułożono punkty, przedstawiono rzecz królowi i małżeństwo stało się publiczne.

Pan de Clèves czuł się szczęśliwy, ale nie ze wszystkim. Widział z przykrością, że uczucia panny de Chartres nie wychodzą poza szacunek i wdzięczność; nie mógł zaś sobie pochlebiać, aby kryła inne, bardziej lube, ile że obecny stosunek pozwalał jej objawić je bez obrazy wstydlivości. Rzadko minął dzień, aby się przed nią nie użalał. Czy podobna – mówił – abym ja mógł nie być szczęśliwy zaślubiając panią? A jednak nie jestem. Ma pani dla mnie jedynie życzliwość, która nie może mnie zadowolić; nie ma w tobie ani niepokoju, ani niecierpliwości, ani troski; nie więcej wzrusza cię moja miłość, niż by cię wzruszało przywiązanie wsparte jedynie na korzyściach tego związku, a nie na uroku twej osoby.

Niesłusznie się pan skarży – odpowiadała – nie wiem, czego pan może pragnąć ponad to, co czynię, i zdaje mi się, że przystojność nie pozwala mi czynić więcej.

– Prawda – odparł – że dajesz mi niejakie pozory, z których byłbym rad, gdybym czuł coś poza tym; ale przystojność nie tylko pani nie powściąga, lecz, przeciwnie, ona to jedynie każe ci czynić to, co czynisz dla mnie. Nie budzę ani twojej skłonności, ani twego serca; obecność moja nie sprawia ci ani przyjemności, ani cię nie wzrusza.

– Nie może pan wątpić – odparła – że miło mi jest pana widzieć; tak często zaś rumienię się na pana widok, że nie może pan też wątpić, że ów widok przyprawia mnie o wzruszenie.

– Nie łudzi mnie pani rumieniec – odparł – to uczucie skromności, a nie drgnienie twego serca, i czytam w nim tylko to, co należy.

Panna de Chartres nie wiedziała, co odpowiedzieć; te subtelności przekraczały jej wiedzę. Pan de Clèves widział aż nadto, jak bardzo jest odległa od uczuć, których od niej pragnął, skoro jasnym było, że nawet ich nie rozumie.

Kawaler de Guise wrócił z podróży niedługo przed ślubem. Widział tyle niezwykłych przeszkód dzielących go od panny de Chartres, że nie mógł się łudzić w tej mierze; mimo to zabolalo go dotkliwie, że ma zostać żoną innego. Boleść ta nie ugasiła jego namiętności: kochał ją jak wprzód. Pannie de Chartres nie były tajne uczucia tego księcia. Zdradził jej za powrotem, że ona jest przyczyną nadmiernego smutku, jaki widniał na jego twarzy; był zaś tak miły i tak pełen zalet, że trudno było go unieszczęśliwić nie doznając nieco litości. Toteż nie mogła się obronić współczuciu; ale litość ta nie przywiódła jej do innych uczuć: zwierzyła matce przykrość, jaką jej sprawia przywią-

zanie tego księcia.

Pani de Chartres podziwiała rzetelność córki, i słusznie, nie podobna bowiem było okazać więcej szczerości i prostoty; ale niemniej podziwiała, że serce jej nie przemówiło, i to tym bardziej iż wiedziała dobrze, że tak samo nie przemówiło dla księcia de Clèves, jak dla innych. To było przyczyną, że starała się usilnie obudzić w niej przywiązanie do męża i dać jej pojąć, do czego ją zobowiązuje skłonność, jaką powziął dla niej, zanim ją nawet poznał, oraz miłość, jakiej dowiódł przekładając ją nad wszystkie inne partie, w czasie gdy nikt nie śmiał już myśleć o niej.

Nadszedł dzień ślubu; ceremonii dopełniono w Luwrze; wieczorem król i królowe przyszli z całym dworem wieczerzać u pani de Chartres, gdzie ich przyjęto z niezmiernym przepychem. Kawaler de Guise nie śmiał się wyróżniać od innych i uchylać od tej ceremonii; ale tak dalece nie panował nad swoją melancholią, że łatwo ją było zauważyć.

Pan de Clèves nie spostrzegł, aby panna de Chartres zmieniła uczucia ze zmianą nazwiska. Tytuł męża dał mu większe przywileje, ale nie dał mu innego miejsca w sercu żony. To sprawiło, iż, będąc jej mężem, nie przestał być jej kochankiem, ponieważ zawsze czegoś musiał pragnąć poza jej posiadaniem; i mimo że żyła z nim bardzo dobrze, nie był zupełnie szczęśliwy. Wciąż żywił dla niej gwałtowne i niespokojne uczucie, które mąciło jego radość; zazdrość nie miała udziału w tym niepokoju; nigdy mąż nie był od niej dalszy ani żona nie dawała do niej mniej powodu. Nie była wszakże wolna od niebezpieczeństw na dworze; bywała co dzień u królowych i u Jejmości. Wszystko, co było dwornej młodzieży, odwiedzało ją w domu i u księcia de Nevers, jej szwagra, którego dom otwarty był dla wszystkich; ale miała w sobie coś, co budziło tyle szacunku i było tak dalekie od zalotności, że marszałek de Saint – Andre, mimo że śmiałek i dufny w łaskę królewską, podziwiał jej piękność nie śmiejąc tego okazać inaczej niż służbą i powinnościami. Wielu innych było w tym samym położeniu, pani zaś de Chartres umacniała statek swej córki tak ścisłym przestrzeganiem wszystkich względów, że tym bardziej kazała rozumieć, że jest to osoba, do której nie można sięgać.

Księżna lotaryńska, pracując dla pokoju, pracowała również dla małżeństwa księcia lotaryńskiego, swego syna. Postanowiono to małżeństwo z panną Klaudią Francuską, drugą córką króla. Ślub naznaczono na miesiąc luty.

Tymczasem książę de Nemours bawił w Brukseli, całkowicie pochłonięty zamiarami swymi na Anglię. Ustawicznie przyjmował lub wysyłał gońców, nadzieje jego rosły z każdym, dniem, aż wreszcie Lignerolles oznajmił mu, że czas jest, aby jego obecność dokończyła rzeczy tak dobrze zaczętej. Przyjął tę wiadomość z całą radością, jakiej może doznawać ambitny młodzieniec, gdy widzi, jak wznosi się do tronu siłą samej swojej reputacji. Myśl jego przywykła nieznacznie do wielkości tej fortuny; gdy zrazu odtrącał ją jak rzecz, której nie zdoła osiągnąć, z czasem trudności zatarły się w jego wyobraźni i nie widział już zgola przeszkód. Posłał umyślnego do Paryża z rozkazem przygotowania wspaniałej wyprawy, aby się pojawić w Anglii i w blasku godnym zamiaru, jaki go tam prowadził. Niebawem pośpieszył i sam na dwór, aby być obecnym na ślubie pana lotaryńskiego.

Przybył w wilię zrękowin; tegoż wieczora jeszcze pośpieszył zdać sprawę królowi ze swoich zamiarów i otrzymać jego rozkazy i rady co do dalszego postępowania. Następnie udał się do królowych. Pani de Clèves nie było tam,

tak że go nie widziała i nie wiedziała nawet o jego przybyciu. Słyszała od wszystkich o tym księciu jako o najurodziwszym i najmilszym człowieku na dworze: zwłaszcza królewicowa odmalowała go tak powabnie i mówiła o nim tyle razy, że obudziła w niej ciekawość, a nawet niecierpliwość ujrzenia go.

Spędziła cały dzień zrękwini u siebie przy gotowalni, aby się znaleźć wieczorem na balu i na uczcie królewskiej, jaką dawano w Luwrze. Skoro przybyła piękność jej i strój wzbudziły podziw; bal rozpoczął się; gdy tańczyła z panem de Guise, uczynił się dość znaczny rumor koło drzwi, jak gdyby komuś wchodzącemu czyniono miejsce. Pani de Clèves dokończyła tańca i gdy szukała oczyma, kogo by wybrać, król krzyknął jej, aby wzięła tego, który przybył. Obróciła się i ujrzała gościa, o którym zaraz pomyślała, że to, może być tylko pan de Nemours; okraczał ławy, aby dojść tam, gdzie tańczyli. Ów książę był takiej postawy, że kiedy się go nigdy nie widziało, trudno było nie zdziwić się jego widokiem; zwłaszcza tego wieczora, gdy szczególnie staranny strój pomnożył jeszcze przyrodzony blask jego osoby; ale trudno również było ujrzeć po raz pierwszy panią de Clèves bez wielkiego zdumienia.

Pan de Nemours był tak zaskoczony jej piękną, że kiedy się zbliżył do niej i ona złożyła mu ukłon, nie mógł się wstrzymać, aby nie okazać swego zachwytu. Kiedy zaczęli tańczyć, wszczął się na sali szmer pochwał. Król i królowa przypomnieli sobie, że oni się nigdy nie widzieli; ta para, tańcząca razem nie znając się wydała się im dość szczególna. Przywołali ich, skoro skończyli taniec, nie zostawiając im czasu na rozmowę z kimkolwiek, i pytali, czy nie mają ochoty dowiedzieć się, kim są i czy nie domyślają się tego.

-Co do mnie – rzekł pan de Nemours – nie mam wątpliwości, że jednak pani de Clèves nie ma tych samych przyczyn, aby się domyślać, kto ja jestem, pragnąłbym bardzo, aby Wasza Królewska Mość powiedziała jej moje nazwisko.

– Sądzę – rzekła królewicowa – że ona zna je równie dobrze jak pan jej.

– Upewniam panią – odparła pani de Clèves, jak gdyby nieco zakłopotana – że nie zgaduję tak dobrze, jak Wasza Miłość przypuszcza.

– Zgadujesz doskonale – odparła królewicowa – to nawet trochę niegrzecznie wobec pana de Nemours nie chcieć przyznać, że go znasz, choć go nigdy nie widziałas.

Królowa przerwała, dając hasło, aby podjęto bal, pan de Nemours wziął w taniec królewicową. Pani ta była osobą doskonałej urody i taką też zdała się oczom pana de Nemours, nim udał się do Flandrii; ale tego wieczora zdolny był podziwiać jedynie panią de Clèves.

Kawaler de Guise, który ubóstwiał ją ciągle, znajdował się u jej nóg i to, na co patrzył, przejęło go dotkliwym bólem. Wziął to jako wróżbę, że los przeznaczona panu de Nemours, aby się zakochał w pani de Clèves i czy ze w istocie okazała na twarzy jakieś pomieszanie czy że zazdrość kazała widzieć kawalerowi więcej niż prawdę, sądził, że wzruszył ją widok tego księcia. Jakoż nie mógł się powstrzymać od powiedzenia jej, że pan de Nemours wielce jest szczęśliwy, iż zaczął znajomość od przygody mającej w sobie coś romansowego i niezwykłego.

Pani de Clèves wróciła do domu z duszą tak przepelnioną tym, co się zdarzyło na balu, iż mimo że było bardzo późno, udała się do pokoju matki zdać jej z tego sprawę; chwaliła przed nią pana de Nemours w sposób, który obudził w pani de Chartres tę samą myśl, jaką powziął kawaler de Guise.

Nazajutrz odbył się obrzęd weselny. Pani de Clèves ujrzała tam księcia de Nemours prezentującego się tak wspaniale, że zdumiała się jeszcze bardziej.

W następne dni widziała go u królewicowej, widziała go grającego w piłkę z królem i goniącego do pierścienia, słyszała, jak rozmawiał; a we wszystkim tak bardzo przewyższał innych i tak dalece trzymał prym w rozmowie, gdziekolwiek się znalazł, i swoją postawą, i wdziękiem dowcipu, iż w krótkim czasie uczynił wielkie postępy w jej sercu.

Prawda, iż pan de Nemours, czując do niej gwałtowną skłonność, która dawała mu ową słodycz i żywość, zrodzone z pierwszej chęci podobania się, był jeszcze miłszy niż zazwyczaj; tak iż, widując się często i widząc wzajem w sobie to, co było najdoskonalszego na dworze, trudno było, aby wielce nie zasmakowali w sobie.

Księżna de Valentinois brała udział we wszystkich tych rozrywkach, król zaś miał dla niej tę samą czułość i te same względy co w zaraniu swej miłości. Pani de Clèves będąc w wieku, w którym nie wierzy się, aby kobieta mająca więcej niż dwadzieścia pięć lat mogła być kochana, patrzyła z nadzwyczajnym zdumieniem na przywiązanie króla do tej księżnej, która była babką i która właśnie wydała za męża wnuczkę. Często mówiła o tym pani de Chartres.

– Czy to podobna – mówiła – aby król tak długo był w niej zakochany? Jakim cudem mógł się przywiązać do osoby o wiele starszej od niego, która była wprzód kochanką jego ojca, a również jest kochanką wielu innych wedle tego, co słyszałam?

– To prawda – odparła matka – że nie cnoty ani wierność pani de Valentinois zrodziły namiętność króla ani ją utrwaliły, i to właśnie trzeba mieć mu za złe; gdyby bowiem ta kobieta miała młodość i piękność równe jej urodzeniu, gdyby miała tę zaletę, iż nigdy wprzód nie kochała, gdyby kochała króla nadzwyczaj wiernie, gdyby go kochała jedynie dla jego osoby bez żądzy awansu ani fortuny i posługując się swą władzą jedynie dla rzeczy uczciwych lub miłych samemu królowi, trzeba przyznać, iż trudno by nie chwalić tego monarchy za to niezwykle przywiązanie. Gdybym się nie obawiała – ciągnęła pani de Chartres – że powiesz o mnie to, co się mówi o wszystkich kobietach w moim wieku, że lubią opowiadać historie z dawnych czasów, opowiedziałabym ci początek miłości naszego monarchy oraz rzeczy z dworu nieboszczyka króla, mające wiele związku z tymi, które się dzieją jeszcze teraz.

– Nie tylko nie winiłabym pani matki – odparła pani de Clèves – że powtarza minione historie, ale żalę się, że mnie pani matka nie oświeciła co do obecnych i że mnie nie wtajemniczyła co do rozmaitych interesów i stosunków na dworze. Jestem ich tak bardzo nieświadoma, iż niedawno jeszcze sądziłam, że pan konetabl jest jak najlepiej z królową.

Byłaś bardzo daleko od prawdy – odparła pani de Chartres. – Królowa nienawidzi konetabla i, jeśli będzie kiedy miała władzę, przekona się on o tym aż nadto. Wie ona, że konetabl niejednym razem mówił królowi iż ze wszystkich jego dzieci jedynie naturalne są doń podobne.

– Nie byłabym się nigdy domyśliła tej nienawiści – przerwała pani de Clèves – kiedy widziałam, jak pilnie królowa pisywała do pana konetabla w czasie jego więzienia, z jaką radością powitała jego powrót i jak go nazywa zawsze swoim kumem, tak samo jak król.

– Jeżeli tutaj będziesz budowała na pozorach – odparła pani de Chartres –

często możesz się omylić: to, co się wydaje, nie jest prawie nigdy prawdą.

Ale, aby powrócić do pani de Valentinois, wiesz, że nazywa się Diana de Poitiers; ród jej jest wielce znamienity, pochodzi od starożytnych diuków Akwitanii, babka jej była naturalną córką Ludwika XI, słowem, co może być największego. Saint – Vallier, jej ojciec, zaplątał się w sprawy konetabla de Bourbon, o którym słyszałaś. Skazano go na ścięcie i prowadzono już na rusztowanie. Córka jego, która była cudownie piękna i która już wpadła w oko nieboszczykowi królowi, zakrzętnęła się nie wiem jakimi sposobami tak skutecznie, że wyjednała życie ojca. Przyniesiono mu ułaskawienie, gdy oczekiwał śmiertelnego ciosu; ale z przerażenia stracił już był przytomność i umarł w niewiele dni. Córka jego zjawiała się na dworze jako kochanka króla. Wyprawa włoska i niewola tego monarchy przerwały tę miłość; kiedy wrócił z Hiszpanii i kiedy pani regentka wyjechała naprzeciw niego do Bajonny, wzięła ze sobą wszystkie swoje dworki, między którymi była panna de Pisseleu, późniejsza księżna d'Estampes. Król zakochał się w niej. Była ona niższa urodzeniem, dowcipem i urodą od pani de Valentinois; jedyną jej przewagą była wielka młodość. Słyszałam od niej wiele razy, że urodziła się w dniu, w którym Diana de Poitiers wyszła za mąż; nienawiść, a nie prawda dyktowała jej te słowa; bardzo się bowiem myślę, jeśli księżna de Valentinois nie wyszła za pana de Brézé, wielkiego seneszała Normandii, w tym samym czasie, w którym król zakochał się w pani d'Estampes. Nigdy świat nie widział większej nienawiści jak między tymi dwiema paniami. Księżna de Valentinois nie mogła darować pani d'Estampes, że jej odjęła tytuł kochanki królewskiej. Pani d'Estampes była wielce zazdrosna o panią de Valentinois, ponieważ król zachował z nią stosunki. Monarcha ten nie dochowywał ścisłej wierności swoim kochankom; była zawsze jedna, która miała tytuł i honory; ale panie, które nazywano „stadkiem”, dzieliły go kolejno. Strata królowica, syna jego, który zmarł w Tournon, jak przypuszczano, otruty, zmartwiła go srodze. Nie miał tej samej tkliwości ani przyjaźni dla drugiego syna, który panuje obecnie: nie widział w nim dosyć odwagi ani żywości. Skarżył się na to raz przed panią Valentinois, ona zaś rzekła, że go rozmiłuje w sobie, aby go uczynić żywszym i przyjemniejszym. Udało się jej, jak widzisz; jest już przeszło dwadzieścia lat, jak miłość ta trwa, nie skażona przez czas ani przez przeszkody.

Nieboszczyk król sprzeciwiał się zrazu; czy to, że kochał jeszcze na tyle panią de Valentinois, aby być zazdrosny, czy też pchała go do tego księżna d'Estampes w rozpacz, że królewic pokochał jej nieprzyjaciółkę, to jest pewne, że patrzył na tę miłość z gniewem i zgryzotą, objawiając je na każdym kroku. Syn jego nie uląkł się ani jego gniewu, ani nienawiści; nic nie mogło go skłonić, aby zmniejszył swoje przywiązanie lub je ukrywał; trzeba było królowi się z tym pogodzić. Toteż to nieposłuszeństwo oddaliło go jeszcze od Henryka i przechyliło tym bardziej w stronę księcia Orleańskiego, trzeciego syna. Był to książę urodziwy, dorodny, pełen ognia i ambitny, kipiący młodocia, która potrzebowała, aby ją hamować; ale też byłaby zeń uczyniła monarchę bardzo niepospolitego, gdyby wiek był pomiarkował jego duszę. Przywilej starszeństwa, jaki miał królewic, i łaska króla, jakiej zażywał książę Orleański, stworzyły między nimi współzawodnictwo dochodzące aż do nienawiści. Współzawodnictwo to zaczęło się od ich dzieciństwa i trwało zawsze. Gdy cesarz przejeżdżał przez Francję, dał pełne pierwszeństwo księciu Orleańskiemu nad królewicem, co ten odczuł tak żywo, iż, kiedy cesarz był w

Chantilly, chciał nakłonić pana konetabla, aby go uwięził nie czekając rozkazu króla. Konetabi nie chciał; król zganiał go potem, że nie usłuchał rady jego syna; i kiedy go oddalił od dworu, ten powód grał dużą rolę.

Niezgoda braci obudziła w księżnej d'Estampes myśl, aby się oprzeć na księciu Orleańskim, iżby ją wspierał u króla przeciw pani de Valentinois. Powiodło się jej: ów książę, nie kochając jej, bronił wszakże jej interesów nie gorzej, niż królewic wspomagał panią de Valentinois. To stworzyło na dworze dwie faksje, ale jak możesz sobie wyobrazić, te intrygi nie ograniczyły się jeno do zwad kobiecych.

Cesarz, który zachował przyjaźń dla księcia Orleańskiego, ofiarował się wielokrotnie z oddaniem mu Mediolanu. Później, w propozycjach pokojowych, czynił nadzieję, że mu odda siedemnaście prowincji i własną córkę za żonę. Królewic nie życzył sobie ani pokoju, ani tego małżeństwa. Posłużył się panem konetabłem, którego zawsze miłował, aby ukazać królowi, jak groźnym jest dawać swemu następcy brata tak potężnego, jak byłby książę Orleański w przymierzu z cesarzem i posiadłszy siedemnaście prowincji. Pan konetabl wszedł tym chętniej w uczucia królewica, ile że sprzeciwiał się tym samym zamysłom pani d'Estampes, która była jego jawną nieprzyjaciółką i która gorąco pragnęła wywyższenia księcia Orleanu.

Królewic dowodził wówczas armią królewską Szampanii i przywiódł armię cesarską do takiej ostateczności, że zginęłaby zupełnie, gdyby księżna d'Estampes, lękając się, aby zbyt wielkie przewagi nie kazały nam odrzucić pokoju i związku z cesarzem, nie dała sekretnie uprzedzić nieprzyjaciół, aby zaskoczyli Espernay i Chasteau-Tierry, gdzie było pełno wiwendy. Uczynili tak i ocalili tym sposobem całą swoją armię.

Księżna niedługo się cieszyła owocem swej zdrady. Wkrótce potem książę Orleański umarł w Farmoutiers na jakąś zaraźliwą chorobę. Kochał jedną z najpiękniejszych pań na dworze i wzajem był kochany. Nie nazwę ci jej, bo potem żyła tak cnotliwie i zgoła tak pilnie ukrywała miłość, jaką żywiła do tego księcia, że zasłużyła, aby ocalić jej reputację. Przypadek zrzucił, że otrzymała wiadomość o śmierci męża w tym samym dniu, w którym dowiedziała się o śmierci księcia Orleańskiego; tak iż miała ten pozór, aby ukryć swoje prawdziwe zmartwienie, nie zadając sobie gwałtu.

Król niedługo przeżył księcia swego syna; zmarł w dwa lata później. Zalecił królewicowi, aby się posłużył kardynałem de Tournon i admirałem d'Annebault, nie wspomniawszy o panu konetablu, który był wówczas na wygnaniu w Chantilly. Pierwsza rzecz wszakże, jaką uczynił król, jego syn, było wezwać konetabla i powierzyć mu rządy.

Panią d'Estampes wypędzono i zaznała wszystkich przykrości, jakich się mogła spodziewać od wszechpotężnej nieprzyjaciółki; księżna de Valentinois zemściła się w całej pełni i na niej, i na wszystkich, którzy się jej narazili. Władza jej nad królem okazała się jeszcze większa niż wprzód, gdy był królewicem. Od dwunastu lat, które ten monarcha panuje, jest wszechwładną panią; rozstrzyga o szarżach i o innych sprawach; wypędziła kardynała de Tournon, kanclerza Olivier i pana de Villeroy. Ci, którzy chcieli otworzyć królowi oczy, źle na tym wyszli. Hrabia de Taix, wielki mistrz artylerii, który jej nie lubił, nie mógł się powściągnąć aby nie wspomnieć o jej miłostkach, zwłaszcza z hrabią de Brissac, o którego król był wielce zazdrosny. Mimo to zakreśliła się tak skutecznie, że hrabiego de Taix oddalono i odjęto mu szarżę;

i – co jest prawie nie do wiary – kazała ją dać hrabiemu de Brissac i zrobiła go potem marszałkiem Francji. Zazdrość króla wzmogła się wszakże do tego stopnia, że nie mógł ścierpieć, aby ten marszałek pozostał na dworze; ale zazdrość, która jest cierpka i gwałtowna u wszystkich innych, jest u niego łagodna i umiarkowana wskutek niezmiernego szacunku, jaki ma dla swej kochanki; tak, iż nie śmiał oddalić swego rywala inaczej niż pod pozorem oddania mu rządów Piemontu. Spędził tam wiele lat; wrócił ostatniej zimy pod pozorem zażądania wojsk i innych rzeczy potrzebnych dla swojej armii. Chęć ujrzenia pani de Valentinois i obawa, że może go zapomnieć, była może w znacznym stopniu pobudką tej podróży. Król przyjął go bardzo zimno. Pano wie de Guise, nie śmiać mu czynić wstrętów z przyczyny księżnej de Valentinois, posłużyli się widamem, który jest jego jawnym wrogiem, aby mu nie dać uzyskać żadnej z rzeczy, o które przybył prosić. Nie było trudno zaszkodzić mu: król go nienawidził i obecność jego przyprawiała go o niepokój; tak, iż musiał wrócić nie zebrawszy żadnego owocu swej podróży prócz tego, iż może rozniecił w sercu pani de Valentinois uczucia, które rozłąka zaczynała gasić. Król miał, to pewna, inne przyczyny do zazdrości; ale albo ich nie znalazł, albo nie śmiał się na nie użalać.

Nie wiem, moja córko – dodała pani de Chartres – czy nie znajdujesz, że ci opowiedziałam więcej, niż byłaś ciekawa.

– Bardzo jestem daleka, pani matko, od podobnej skargi; i gdybym się nie bała umęczyć cię, pytałabym jeszcze o wiele rzeczy, których nie wiem.

Miłość pana de Nemours do pani de Clèves była zrazu tak gwałtowna, że zatarła w nim smak, a nawet pamięć wszystkich osób, które kiedyś kochał i z którymi zachował stosunki w czasie swej nieobecności. Nawet nie szukał pozorów do zerwania z nimi; nie mógł się zdobyć na cierpliwość słuchania ich skarg i odpowiadania na wyrzuty. Królewicowa, dla której żywił wprzód uczucia dość namiętne, nie mogła ostać się w jego sercu wobec pani de Clèves. Nawet jego gorączka jechania do Anglii zaczęła stygnąć; nie naglił już z taką pilnością rzeczy potrzebnych do tego wyjazdu. Zachodził często do królewicowej, ponieważ pani de Clèves bywała tam często, i dość chętnie pozwalał snuć domysły co do swoich uczuć dla tej monarchini. Pani de Clèves zdała mu się osobą tak wielkiej ceny, że raczej postanowił nie okazać swej miłości niż narazić się na zdradzenie tej miłości wobec ludzi. Nie wspomniał o niej nawet przed widamem de Chartres, który był jego serdecznym przyjacielem i dla którego nie miał tajemnic. Poczynał sobie tak roztropnie i dawał na siebie baczenie tak pilne, że nikt nie posądził go o miłość do pani de Clèves z wyjątkiem kawalera de Guise: nawet ona sama niełatwo spostrzegłaby się na tym, gdyby własna jej skłonność do niego nie zrodziła w niej owej szczególnej bacności na wszystkie uczynki księcia, które nie pozwalały jej wątpić o jego uczuciach.

Nie kwapiła się zwierzać matce myśli swoich o uczuciach pana de Nemours, tak jak jej opowiadała o innych zalotnikach. Bez szczególnego zamiaru ukrywała się przed nią, nie mówiła jej wszakże o niczym. Ale pani de Chartres widziała to aż nadto, zarówno jak rosnącą skłonność córki. Świadomość ta przejęła ją żywą boleścią; rozumiała dobrze niebezpieczeństwo, w jakim znajduje się młoda osoba kochana przez człowieka takiego jak książę i wzajem dlań nieobojętna. Coś, co zaszło w kilka dni potem, utwierdziło ją całkowicie

w podejrzeniach.

Marszałek de Saint – Andre, który szukał wszelkiej okazji do roztoczenia swoich bogactw, ubłagał króla pod pozorem pokazania mu swego domu, który dopiero co ukończono, aby mu uczynił ten zaszczyt i zechciał wieczerzać u niego z królowymi. Marszałek był zarazem bardzo rad ukazać oczom pani de Clèves ów wspaniały zbytek, który dochodził aż do rozrzutności.

Na kilka dni przed ową wieczerzą królowie, który był dość lichego zdrowia, zachorzał i nie chciał widzieć nikogo. Królewicowa spędziła cały dzień przy nim. Pod wieczór, kiedy miał się lepiej, kazał wpuścić wszystkie znamienitsze osoby będące w przedpokoju. Królewicowa udała się do siebie, zastała tam panią de Clèves oraz kilka innych pań, które były z nią najpoufalej.

Ponieważ było już późno, ona zaś nie była ubrana, nie poszła do królowej; kazała powiedzieć, że nie przyjmuje nikogo, i kazała przynieść klejnoty, aby wybrać z nich coś na bal do marszałka de Saint – Andre, a także użyczyć coś pani de Clèves, jak jej to przyrzekła. Kiedy były przy tym zajęciu, wszedł książę de Condé. Ranga jego dawała mu wszędzie swobodny wstęp. Królewicowa rzekła, że z pewnością przybywa od królewica jej męża, i spytała, co tam porabiają.

– Spierają się z panem de Nemours – odparł – on zaś broni z takim zapalem sprawy, za którą obstaje, że musi to być jego własna sprawa. Sądzę, że ma jakąś kochankę, która go przyprawia o niepokój, kiedy jest na balu; utrzymuje bowiem zaciekle, że to jest przykra rzecz dla miłośnika widzieć na balu tę, którą miłuje.

– Jak to – rzekła królewicowa – pan de Nemours nie chce, aby jego pani szła na bal? Rozumiałam, że mężowie mogą pragnąć, aby żony nie chodziły na bal; ale co się tyczy miłośników, nie byłabym nigdy myślała że mogą dzielić to uczucie.

– pan de Nemours uważa – odparł książę de Condé – że bal to jest coś, co może być najnieznośniejszego dla miłośników, czy kochają z wzajemnością, czy nie. Powiada, że jeżeli są kochani, mają tę zgryzotę, że przez kilka dni są kochani mniej; że nie ma kobiety, której troska o strój nie przeszkadzałaby myśleć o kochanku; że są tym całkowicie zajęte; że ta dbałość o strój ma na celu wszystkich, zarówno jak ukochanego; że gdy są na balu, chcą się podoać wszystkim, którzy na nie patrzą; że kiedy są rade ze swej piękności, czerpią w niej radość, w której miłośnik ich nie ma największego udziału. Powiedział dalej, iż kiedy ktoś nie jest kochany, cierpi jeszcze więcej widząc swą panią na zabawie; że im bardziej podziwia ją publiczność, tym bardziej jest nieszczęśliwy, iż nie posiada jej serca; wciąż boi się, aby jej piękność nie zrodziła jakiej miłości szczęśliwszej niż jego. Słowem, uważa, że nie ma równego cierpienia niż widzieć swoją panią na balu; chyba wiedzieć, że ona jest na balu, a nie być tam.

Pani de Clèves nie okazywała, że słyszy to, co powiadał książę de Condé, ale słuchała z uwagą. Pojęła łatwo, w jakim stopniu odnosi się do niej mniemanie, którego bronił pan de Nemours, a zwłaszcza to, co mówił o zgryzocie nieznajdowania się na balu, na którym jest jego pani. On sam nie miał być na balu marszałka de Saint – Andre, ile że król wysyłał go naprzeciw księcia Ferrary!

Królewicowa żartowała z księciem de Condé i nie pochwałała sądów pana de Nemours.

– Jedna jest tylko okoliczność, pani – rzekł książę - w której pan de Nemours godzi się, aby jego dama szła na bal: wówczas kiedy on sam go wydaje; i powiada, że w zeszłym roku, kiedy wydał bal dla Waszej Królewicowskiej Mości, uważał, że jego dama wyświadczyła mu łaskę, że przyszła tam, mimo iż zdawało się, że tylko idzie za panią; że to jest zawsze fawor dany kochankowi brać udział w zabawie, którą on wydaje; jest to również miła rzecz dla kochanka, gdy jego dama widzi go gospodarzem domu, gdzie gości cały dwór, i gdy widzi, jak godnie dopełnia honorów.

– Pan de Nemours – rzekła królewicowa z uśmiechem – słusznie zezwolił, aby jego luba szła na bal. Była wówczas tak wielka ilość pań, którym dawał to miano, że gdyby nie były przyszły, byłoby pusto.

Skoro tylko książę de Condé zaczął malować uczucia pana de Nemours w przedmiocie balu, pani de Clèves uczuła wielką chętkę, aby nie iść na bal do marszałka. Z łatwością wytłumaczyła sobie, że nie wypada iść do człowieka, który się w niej kocha, i rada była, iż znalazła przyczynę uczynienia rzeczy, która była faworem dla pana de Nemours. Wzięła mimo to klejnoty, jakie jej dała królewicowa; ale wieczorem, kiedy je pokazywała matce, rzekła, że nie ma zamiaru ich użyć, że marszałek de Saint – Andre tak pilnie stara się okazać, że jest w niej zakochany, iż z pewnością będzie chciał także pokazać światu, że ona ma udział w tej zabawie wydanej dla króla i że pod pozorem honorów domu będzie jej nadskakiwał w sposób dla niej kłopotliwy.

Pani de Chartres zwalczała jakiś czas zamiar córki, który się jej wydał dziki: ale widząc, że się upiera przy nim, ustąpiła. Rzekła, że w takim razie trzeba, aby udała chorobę jako pozór niepójścia na bal, ile że te racje nie znalazłyby uznania i że nie trzeba nawet, aby je ktoś podejrzewał. Pani de Clèves zgodziła się chętnie zostać kilka dni w domu, aby nie iść tam, gdzie nie miało być pana de Nemours. Odjechał bez lubej świadomości, iż ona nie pójdzie na bal.

Wrócił nazajutrz po balu; dowiedział się, że jej tam nie było; że jednak nie wiedział, iż powtórzono przed nią rozmowę u królewica, daleki był od myśli, że to on miał szczęście zatrzymać ją w domu.

Nazajutrz, kiedy był u królowej i rozmawiał z królewicową, przybyły panie de Chartres i de Clèves i zbliżyły się do tej monarchini. Pani de Clèves była ubrana jak osoba, która dopiero co chorowała, ale twarz jej nie była w zgodzie ze strojem.

– Jesteś tak piękna – rzekła królewicowa – iż nie mogę uwierzyć, że byłaś chora. Sądzę, iż książę de Condé, powtarzając ci poglądy pana de Nemours, nasunął ci myśl, że bytność twoja u marszałka de Saint – Andre byłaby faworem i że to cię wstrzymało od tego balu.

Pani de Clèves zaczerwieniła się widząc, że królewicowa odgadła tak dobrze i że powiedziała przy panu de Nemours to, co odgadła.

Pani de Chartres przejrzała natychmiast, czemu córka nie poszła na bal; i nie chcąc, aby pan de Nemours odgadł to równie dobrze jak ona, odezwała się z miną, która zdawała się tchnąć samą szczerością.

– Upewniam panią – rzekła do królewicowej – że Wasza Królewska Mość robi mojej córce więcej zaszczytu, niż na to zasługuje. Była naprawdę chora, ale sądzę, że gdybym jej nie przeszkodziła, pobiegłaby za wszystkimi i pokazałaby się, mimo iż tak zmieniona, byle mieć przyjemność oglądania wszystkich cudów wczorajszego wieczoru.

Królewicowa uwierzyła pani de Chartres, a pan de Nemours zmartwił się, gdyż rzecz zdała mu się prawdopodobna. Bądź co bądź, rumieniec pani de Clèves obudził w nim podejrzenie, że słowa królewicowej nie były zupełnie oddalone od prawdy. Pani de Clèves była zrazu nierada, iż pan de Nemours może przypuszczać że to on ją wstrzymał od balu marszałka; ale później uczuła jakby żal, kiedy matka zniszczyła w nim zupełnie to mniemanie.

Mimo że zjazd w Cercamp zerwano, rokowania pokojowe toczyły się ciągle. Rzeczy ułożyły się w taki sposób, że pod koniec lutego zebrano się w Cateau – Cambresis. Wrócili tam ciż sami posłowie; nieobecność marszałka de Saint – Andre uwolniła pana de Nemours od rywala, który mu był groźniejszy przez baczność, z jaką śledził tych, co się zbliżali do pani de Clèves, niż przez postępy, jakie mógł czynić w jej łaskach.

Pani de Chartres nie chciała zdradzić przed córką, że zna uczucia jej dla księcia, z obawy, aby nie osłabić wpływu tego, co jej chciała powiedzieć. Zaczęła jednego dnia mówić o nim; mówiła wiele dobrego, wychwalając podstępnie jego rozsądek, który go chroni przed zakochaniem, tak iż kobiety są dlań tylko przedmiotem rozrywki, ale nie poważnego przywiązania.

– Prawda – dodała – iż posądzono go o wielkie uczucie dla królewicowej; widzę nawet, że bywa tam bardzo często, i radzę ci, abyś unikała, ile tylko zdołasz, rozmów z nim, zwłaszcza na osobności, gdyż wobec twojej zażyłości z królewicową powiedziano by rychło, że jesteś ich powiernicą, a wiesz, jak taka reputacja jest przykra. Jestem zdania, jeśli te pogłoski będą trwałe, abyś chodziła trochę mniej do królewicowej; po co cię mają mieszać w te miłości.

Pani de Clèves nie słyszała nigdy o panu de Nemours i o królewicowej; była tak zdziwiona słowami matki i przeświadczona o swej omyłce co do uczuć księcia, że zmieniła się na twarzy. Pani de Chartres spostrzegła to: w tej chwili nadeszli goście, pani de Clèves udała się do siebie i zamknęła się w alkierzu.

Nie podobna wyrazić boleści, jaką uczuła poznając okazji tego, co jej powiedziała matka, jak bardzo ją obchodzi pan de Nemours: nie śmiała jeszcze wyznać tego sama sobie. Ujrzała wówczas, że ma dla niego właśnie te uczucia, o które tak ją błagał pan de Clèves: uczuła, jakim wstydem jest mieć je dla kogo innego raczej niż dla męża, tak bardzo zasługującego na nie. Zraniła ją i zakłopotala obawa, że może pan de Nemours chce się nią posłużyć jako pozorem przy królewicowej; ta myśl skłoniła ją, aby zwierzyć pani de Chartres to, czego jej jeszcze nie powiedziała.

Udała się nazajutrz rano do pokoju matki, aby wykonać to, co postanowiła: ale dowiedziała się, że pani de Chartres ma nieco gorączki, tak, iż nie chciała z nią mówić. Cierpienie zdało się wszakże tak lekkie, że pani de Clèves udała się po południu do królewicowej. Pani ta była w swoim gabinecie z paroma damami ze swoich najbliższych.

– Mówiliśmy o panu de Nemours – rzekła widząc ją monarchini – podziwiamy, jak on się zmienił od powrotu z Brukseli. Nim tam pojechał, miał niezliczoną ilość kochanek; i to nawet była jego wada; dbał bowiem tyleż o te, które były tego warte, co i o te inne. Od czasu jak wrócił, nie zna ani tych, ani tamtych: nigdy świat nie widział podobnej odmiany; uważam nawet, że odmienił się i jego humor i że jest mniej wesoły niż dawniej.

Pani de Clèves nie odpowiedziała nic; myślała ze wstydem, że gdyby jej nie otworzono oczu, byłaby wzięła za oznaki miłości wszystko, co mówiono o

odmianie księcia. Czula niejaką złość do królewicowej, iż dochodzi przyczyn i dziwi się rzeczy, której sekret zna niewątpliwie lepiej niż ktokolwiek inny. Nie mogła się wstrzymać, aby nie okazać tego po trosze: kiedy inne damy się oddaliły, podeszła i rzekła z cicha:

– Czy i dla mnie pani to mówi i czy chciałabyś ukryć przede mną, że to pani jesteś tą, która zmieniła usposobienie pana de Nemours?

– niesprawiedliwa jesteś – odparła królewicowa – wiesz, że nie mam tajemnic przed tobą. Prawda, że pan de Nemours przed wyjazdem do Brukseli rad był mi okazywać, że mu nie jestem niemiła; ale od czasu jak wrócił, nie zdaje mi się wręcz, aby pamiętał o tym, co było, i wyznaję, że rada bym wiedzieć, co go odmieniło. Nie sądzę, abym nie miała dojść tego – dodała —widam de Chartres, jego serdeczny przyjaciel, kocha się w osobie, na którą mam niejaki wpływ; dowiem się tedy tą drogą o przyczynie tej odmiany.

Królewicowa mówiła tonem, który przekonał panią de Clèves; mimo woli zrobiło się jej na sercu spokojniej i milej. Wróciła do domu, dowiedziała się, że matka miewa się o wiele gorzej. Gorączka wzmogła się i w następnych dniach urosła tak, iż widocznym było, że to jest ciężka choroba. Pani de Clèves, wielce strapiona, nie opuszczała pokoju matki; pan de Clèves również spędzał tam całe dni i przez troskliwość o panią de Chartres, i aby nie dać żonie pograżyć się w smutku, ale także dla przyjemności widzenia jej; namiętność jego nic nie osłabła.

Pan de Nemours, który miał zawsze dla niego wiele przyjaźni, nie przestawał mu jej okazywać od swego powrotu z Brukseli. W czasie choroby pani de Chartres książę ów znalazł sposób widzenia kilka razy pani de Clèves, udając, że szuka jej męża lub zachodzi po niego, aby go wziąć na przechadzkę. Szukał go nawet w godzinach, w których wiedział, że go nie ma, i pod pozorem czekania nań, siedział w przedpokoju pani de Chartres, gdzie zawsze było kilka znamienitszych osób. Pani de Clèves zachodziła tam często; mimo że strapiona, zdawała się panu de Nemours nie mniej piękną. Okazywał, jak żywy bierze udział w jej strapieniu, a mówił o tym z twarzą tak łagodną i uległą, iż z łatwością przekonał ją, że nie w królewicowej jest zakochany.

Nie mogła powściągnąć wzruszenia na jego widok, a mimo to widok ten sprawiał jej przyjemność; ale kiedy go nie było przy niej i kiedy uświadamiała sobie, że ten urok, jaki znajduje w jego pobliżu, to zwykły początek miłości, mało brakło, aby go nie znienawidziła w tej chwili z przyczyny bólu, jakim przejmowała ją ta myśl.

Zdrowie pani de Chartres pogorszyło się tak bardzo, że zaczęto wątpić o jej życiu; kiedy lekarze wspomnieli jej o niebezpieczeństwie, przyjęła to z odwagą godną jej pobożności i cnoty. Skoro wyszli, kazała wyjść wszystkim i wezwać panią de Clèves.

– Trzeba nam się rozstać, moja córko – rzekła podając jej rękę – niebezpieczeństwo, w jakim cię zostawiam, sprawia, iż tym ciężej mi jest porzucić cię w chwili, gdy mnie potrzebujesz. Żywisz skłonność do pana de Nemours; nie żądam, abyś mi się przyznała do tego: nie jestem już zdolna korzystać z twojej szczerości, aby tobą pokierować. Od dawna już spostrzegłam tę skłonność; ale nie chciałam ci o niej mówić z obawy, byś jej nie spostrzegła sama. Znasz ją aż nadto obecnie; jesteś na skraju przepaści; trzeba wielkich wysiłków i wielkiej mocy, aby się zatrzymać. Pomyśl, co jesteś winna mężowi; pomyśl, co jesteś winna samej sobie, i pomyśl, że możesz stracić ową dobrą

sławę, którą zdobyłaś i której tyle pragnęłam dla ciebie. Miej siłę i odwagę, moja córko, usuń się ze dworu, skłoń męża, aby cię stąd zabrał; nie lękaj się powziąć zbyt twardych i trudnych postanowień, choćby ci się zdały zrazu najokropniejsze; łagodniejsze będą w skutkach niż oplakane miłostki. Gdyby inne pobudki niż racje cnoty i obowiązku mogły cię skłonić do tego, czego pragnę, powiedziałabym ci, że jeśli coś byłoby zdolne zmącić szczęście, jakiego się spodziewam schodząc z tego świata, to świadomość, że upadłaś jak inne kobiety; ale jeśli to nieszczęście ma ci się zdarzyć, przyjmuję śmierć z radością, aby nie być jego świadkiem.

Pani de Clèves oblała łzami ręce matki, ściskając je w dłoniach tak, iż pani de Chartres sama uczuła się wzruszona.

– Żegnaj mi, córko – rzekła – skończmy rozmowę, która nadto wzrusza nas obie, i pamiętaj, jeżeli możesz, o wszystkim, com rzekła.

Obróciła się na bok kończąc te słowa i kazała córce przywołać dworki, nie chcąc słuchać ani mówić więcej. Pani de Clèves wyszła od matki w stanie, który można sobie wyobrazić, a pani de Chartres myślała już tylko o tym, aby się gotować na śmierć. Żyła jeszcze dwa dni, przez które nie chciała widzieć córki, jedynej istoty, którą kochała.

Pani de Clèves była straszliwie znękana; mąż nie opuszczał jej, i skoro tylko pani de Chartres oddała ducha, zabrał żonę na wieś, aby ją oddalić od miejsc, które drażniły jedynie jej boleść. Nigdy nie widziano podobnego bólu; mimo że czułość i wdzięczność miały w nim największy udział, to, iż straciła w matce obronę przeciw panu de Nemours, też wiele się przyczyniało. Czuła się nieszczęśliwa, zdana samej sobie, w chwili gdy tak mało była panią swoich uczuć i gdy tak bardzo pragnęłaby mieć kogoś, kto by się jej uzałił i dodał jej siły. Sposób, w jaki pan de Clèves z nią postępował, budził w niej silniejszą niż kiedykolwiek chęć, aby w niczym nie uchybić temu, co mu była powinna. Okazywała mu więcej przyjaźni i czułości niż wprzód, nie chciała, aby ją opuszczał, i zdawało się jej, że znajdzie w tym przywiązaniu obronę przeciw panu de Nemours. Książę odwiedził pana de Clèves na wsi, czynił, co mógł, aby przedłożyć też służby pani de Clèves, ale nie chciała go przyjąć. Czując, że nie mogłaby sprawić, aby się jej nie wydał uroczy, uczyniła silne postanowienie, iż wzbroni sobie widywania go i będzie unikała wszelkiej po temu sposobności.

Pan de Clèves udał się do Paryża, aby być u dworu, i przyrzekł żonie, iż wróci nazajutrz; ale wrócił dopiero w dzień potem.

– Czekałam cię wczoraj cały dzień – rzekła pani de Clèves – i muszę się uzałić na ciebie, żeś nie wrócił, tak jak przyrzekłeś. Wiesz, że gdybym w stanie, w jakim się znajduję, była zdolna do nowego strapienia, to pewnie z powodu śmierci pani de Tournon, o której dowiedziałam się dziś rano. Żałowałabym jej, gdybym jej nawet nie знаła; zawsze to rzecz godna współczucia, gdy młoda i piękna kobieta jak ona umrze w ciągu dwóch dni: ale co więcej, była to jedna z osób, które mi były najmilsze, i godna tego przez swój charakter i cnoty.

– Bardzo byłem strapiony, że nie mogłem wrócić wczoraj – odparł pan de Clèves – ale trzeba mi było pocieszać człowieka tak nieszczęśliwego, że nie podobna było go opuścić. Co do pani de Tournon, nie radzę ci martwić się zbyt, jeśli ją oplakujesz jako kobietę pełną cnót i godną twego szacunku.

– Dziwi mnie to, co mówisz – odparła pani de Clèves – nieraz słyszałam z

twoich ust, że nie ma na dworze kobiety, którą byś cenił wyżej.

– To prawda – odparł – ale kobiety są niepojęte; im więcej je poznaję, tym czuję się szczęśliwszy, że mam ciebie, tak iż nie mogę dość nadziwić się memu szczęściu.

– Cenisz mnie ponad wartość – odparła pani de Clèves z westchnieniem – nie czas jeszcze uważać mnie za godną ciebie. Ale powiedz mi, błagam, co cię rozczarowało do pani de Tournon.

– To już stare dzieje – odparł – od dawna wiem że kochała hrabiego de Sancerre i dawała mu wszelkie nadzieje, że go zaślubi.

– Nie mogę uwierzyć – przerwała pani de Clèves – aby pani de Tournon po tak niezwykłym wstępie do małżeństwa, jaki okazywała od czasu, gdy jest wdową, i po tylu publicznych oświadczeniach, że nigdy nie wyjdzie powtórnie za mąż, dawała nadzieję hrabiemu de Sancerre.

– Gdybyż tylko jemu jednemu – odparł pan de Clèves – nie trzeba by się dziwić; ale co osobliwsze, to, że dawała je równocześnie panu d'Estouteville. Opowiem ci całą tę historię.

CZĘŚĆ DRUGA

– Wiesz, jaka przyjaźń łączy mnie z Sancerre'em: mimo to kiedy się zakochał w pani de Tournon, mniej więcej przed dwoma laty, ukrywał to przede mną bardzo pilnie, zarówno jak przed wszystkimi innymi. Daleki byłem od takiej myśli. Pani de Tournon zdawała się wciąż niepokieszona po śmierci męża i żyła z dala od świata. Siostra Sancerre'a była, można rzec, jedyną osobą, którą widywała, i tam właśnie on się w niej zakochał.

Pewnego wieczora, kiedy miano dawać komedię w Luwrze i czekano już tylko na króla i panią de Valentinois, oznajmiono, że księżnej zrobiło się słabo i że król nie przyjdzie. Z łatwością domyślono się, że cierpienie tej damy to jakaś sprzeczka z królem. Wiedzieliśmy o zazdrości, jaka go dręczyła o marszałka de Brissac, w czasie gdy bawił na dworze; że jednak marszałek wrócił przed kilkoma dniami do Piemontu, nie mogliśmy się domyślić przyczyny tej zwady.

Kiedy rozmawiałem o tym z Sancerre'em, wszedł pan d'Anville i szepnął mi po cichu, że król jest zgryziony i zgniewany tak, że aż litość bierze patrzeć; że pogodziwszy się z panią de Valentinois przed kilku dniami po sprzeczkach o marszałka de Brissac, król dał jej pierścionek i prosił, aby go nosiła; gdy się ubierała, aby iść na komedię, zauważył, że nie ma tego pierścionka, i spytał o przyczynę; ona wydała się zdziwiona tym, że go nie ma; spytała swoich dworek, które, przypadkiem lub dlatego że nie były dobrze pouczone, odpowiedziały, że nie widziały pierścionka już od kilku dni.

„To był właśnie czas wyjazdu marszałka de Brissac – ciągnął pan d'Anville – król nie mógł wątpić, że dała mu pierścionek przy pożegnaniu. Ta myśl obudziła tak żywo całą zazdrość jeszcze nie wygasła, że wbrew swemu obyczajowi uniósł się i obsypał ją tysiącem wymówek. Wrócił właśnie do siebie, bardzo strapiony, ale nie wiem, czy bardziej strapiony jest domysłem, że pani de Valentinois oddała jego pierścionek innemu, czy obawa, że się jej naraził swoim gniewem.”

Skoro tylko pan d'Anville skończył mi opowiadać tę nowinę, podszedłem do Sancerre'a, aby mu ją powtórzyć; opowiedziałem mu ją jako sekret, który mi powierzono i o którym zabroniłem mu mówić.

Nazajutrz rano udałem się dość wcześnie do mojej bratowej; zastałem panią de Tournon przy jej łóżku. Nie lubiła pani de Valentinois i wiedziała, że moja bratowa też nie ma przyczyny jej lubić. Sancerre był u niej po wyjściu z komedii. Opowiedział jej o sprzeczce króla z księżną; pani de Tournon przysłała opowiedzieć o tym mojej bratowej, nie wiedząc lub nie zastanawiając się,

że to ja zwierzyłem rzecz jej kochankowi.

Skoro tylko zbliżyłem się do bratowej, ta szepnęła pani de Tournon, że można mi powtórzyć tę nowinę; i, nie czekając jej pozwolenia, opowiedziała mi słowo w słowo wszystko to, co ja powiedziałem Sancerre'owi poprzedniego wieczora. Możesz osądzić, jak byłem zdziwiony. Patrzałem na panią de Tournon, wydała mi się zmieszana. Zmieszanie jej obudziło we mnie podejrzenie; powiedziałem rzecz tylko Sancerre'owi, pożegnał mnie wychodząc z komedii bez podania powodu; przypomniałem sobie, że słyszałem z jego ust wielkie pochwały dla pani de Tournon. Wszystko to otworzyło mi oczy; domyśliłem się z łatwością, że jest coś między nimi i że to ją widział po rozstaniu ze mną.

Tak mnie dotknęło, że on mi ukrywa tę przygodę, że powiedziałem coś, co uprzytomniło pani de Tournon jej nieopatrzność; odprowadziłem ją do karocy i zapewniłem przy rozstaniu, że zazdroszczę szczęścia temu, kto jej powtórzył o sprzeczce króla z panią de Valentinois.

Udałem się natychmiast do Sancerre'a i obsypałem go wymówkami: powiedziałem, że znam jego uczucia dla pani de Tournon, nie mówiąc, jak je odkryłem. Musiał się przyznać. Przytoczyłem mu następnie, z czego to zgadłem, a on opowiedział mi szczegóły ich przygody; zwierzył mi, iż mimo że jest młodszym synem i bardzo dalekim od prawa do tak świetnej partii, ona jest gotowa wyjść za niego. Nie podobna się bardziej zdumieć, niż ja się zdumiałem. Powiedziałem Sancerre'owi, aby nastawał na to małżeństwo, i że wszystkiego może się obawiać od kobiety, która umiała grać w oczach świata rolę tak daleką od prawdy. Odparł, iż była szczerze strapiona, ale skłonność jej dla niego przemogła to zmartwienie, nie mogła zaś nagle ukazać tak wielkiej odmiany. Przytoczył mi na jej usprawiedliwienie jeszcze inne racje, z których poznałem, do jakiego stopnia jest zakochany. Zapewnił mnie, że skłoni ją do tego, abym ja był powiernikiem ich miłości, skoro to ona sama zdradziła ją przede mną. Udało mu się to w istocie, mimo że z wielkim trudem, byłem później ich bardzo poufałym powiernikiem.

Nigdy nie widziałem kobiety, która by się odnosiła tak uczciwie i mile do swego kochanka; mimo to zawsze raziła mnie jej komedia wiecznej zgryzoty. Sancerre był tak zakochany i tak rad z jej uczuć, że nie bardzo śmiał nalegać o małżeństwo, z obawy, aby nie sądziła, że pragnie tego raczej z interesu niż z prawdziwej miłości. Wspominał jej wszakże o tym i ona zdawała się gotowa zaślubić go; zaczynała nawet opuszczać zamknięcie, w którym żyła, i pojawiać się w świecie. Zachodziła do mojej bratowej w godzinach, gdy bywało u niej sporo osób ze dworu. Sancerre bywał tam rzadko; ale ci, którzy widywali częściej panią de Tournon, chwalili ją bardzo.

W jakiś czas potem, gdy zaczęła opuszczać swoją samotnię, zdało się Sancerre'owi, że widzi niejake ostudzenie jej uczuć. Wspominał mi o tym, ale nie przywiązywałem wagi do jego żalów; w końcu jednak, kiedy mi rzekł, iż ona, miast przyspieszyć małżeństwo, zdaje się je oddalać, zacząłem sądzić, że obawy jego są nie bez kozery. Odpowiedziałem mu, iż jeżeli miłość pani de Tournon osłabła po dwóch latach, nie trzeba się temu dziwić; że choćby się nie zmniejszyła, ale nie jest dosyć mocna, aby ją przywieść do małżeństwa, też nie powinien się skarżyć; że to małżeństwo zaszkodziłoby jej bardzo w świecie nie tylko dlatego, że on nie jest dla niej dość dobrą partią, ale przez uszczerbek, jaki przyniosłoby jej reputacji; wszystko zatem, czego może pragnąć, to, aby go nie oszukiwała i nie dawała mu fałszywych nadziei. Powie-

działem mu jeszcze, że gdyby ona nie miała odwagi go zaślubić lub też wyznała mu, że kocha innego, nie powinien się unosić ani skarżyć, ale powinien zachować dla niej szacunek i wdzięczność.

„Daję ci – rzekłem – radę, jaką przyjąłbym dla samego siebie; szczerości bowiem wzrusza mnie tak bardzo, że sędzę, iż gdyby moja kochanka, a nawet moja żona, wyznała mi, że ktoś jest jej miły, zmartwiłoby mnie to, ale nie pogniewało. Porzuciłbym rolę kochanka lub męża, aby jej doradzać i aby się jej uzalić.”

Te słowa przyprawiły o rumieniec panią de Clèves; ujrzała w nich niejaki związek ze stanem, w jakim się znajdowała; to ją zaskoczyło i wprawiło w pomieszanie, z którego długo nie mogła ochłonać. Sancerre rozmówił się z panią de Tournon – ciągnął pan de Clèves – powiedział jej wszystko, co mu poradziłem: ale ona uspokoiła go tak pilnie i zdała się tak obrażona jego podejrzeniami, że uśmierzyła je zupełnie. Odłożyła małżeństwo, aż on wróci z podróży, w którą się wybierał i która miała trwać dość długo; ale była tak czuła aż do jego wyjazdu i zdawała się tak strapiona, iż wierzyłem jak on, że kocha go naprawdę. Odjechał mniej więcej trzy miesiące temu; w czasie jego nieobecności mało widywałem panią de Tournon: ty zajęłaś mnie całkowicie i wiedziałem tylko, że on ma niedługo wrócić.

Przedwczoraj, przybywszy do Paryża, dowiedziałem się, że ona umarła: posłałem do niego zapytać, czy nie było o nim wiadomości. Powiedziano mi, że przyjechał właśnie w wilię śmierci pani de Tournon. Udałem się doń natychmiast, domyślając się, jak go zastanę, ale jego rozpacz przewyższała o wiele to, co sobie wyobrażałem.

W życiu nie widziałem boleści tak głębokiej i tkliwej; skoro mnie ujrzał, uściskał mnie, zalewając się łzami: „Nie ujrzę jej już – powiada – nie ujrzę jej już, umarła! Nie byłem jej godny, ale pójdę za nią niebawem.”

Zamilkł; następnie, od czasu do czasu, powtarzając ciągle: „Umarła, nie ujrzę jej już!”, rozpoczynał na nowo krzyki i płacze jak człowiek, który nie panuje nad swoim rozumem. Rzekł mi, że nieczęsto odbierał od niej listy w czasie swej nieobecności; ale go to nie dziwiło, ponieważ ją znał i wiedział, z jakim trudem waży się na list. Nie wątpił, że byłby ją zaślubił za powrotem; uważał ją za najmilszą i najwierniejszą osobę jaka istniała; wierzył w jej szczerą miłość; traci ją w chwili, gdy mniemał połączyć się z nią na zawsze! Wszystkie te myśli pograżały go w rozpacz, nad którą nie umiał zapanować; i wyznaje, iż nie mogłem patrzeć na to bez współczucia.

Musiałem wszakże opuścić go, aby spieszyć do króla; rzekłem, że wrócę niebawem. Wróciłem w istocie; ale jakież było moje zdumienie, kiedy go zastałem zupełnie innym, niż go zostawiłem. Chodził po pokoju z wściekłością na twarzy, przystając co chwila jak człowiek nieprzytomny. „Chodź, chodź – zawołał – ujrysz człowieka najbardziej zrozpaczonego pod słońcem; jestem tysiąc razy nieszczęśliwszy, niż byłem przed chwilą, a to, czego dowiedziałem się o pani de Tournon, gorsze jest niż jej śmierć.”

Myślałem, że boleść pomieszała mu całkowicie rozum; nie mogłem sobie wyobrazić, aby mogło być coś gorszego niż śmierć kochanki, którą się miłuje i której ma się wzajemność. Rzekłem, iż dopóki zgryzota jego miała granice, pochylałem ją i współczułem mu: ale przestanę go żałować, skoro się tak poddaje rozpacz i skoro traci rozum.

„Nadto byłbym szczęśliwy, gdybym go utracił, i życie także – wykrzyknął.

– Pani de Tournon zdradzała mnie; i dowiaduję się o jej niewierności i zdradzie nazajutrz po dniu, w którym dowiedziałem się o jej śmierci, w chwili gdy dusza moja przepelniona jest najżywszą boleścią i najtkliwszą miłością; w chwili gdy jej obraz jest w mym sercu jako najdoskonalsza rzecz na świecie i najdoskonalsza w stosunku do mnie, odkrywam, że się myliłem, że ona nie warta, abym ją oplakiwał; i czuję żal po jej śmierci tak samo, co gdyby mi była wierna, a czuję jej niewierność, jakby nie była umarła. Gdybym był dowiedział się o tej odmianie przed jej śmiercią, zazdrość, gniew, wściekłość byłyby mnie przepelnily i opancerzyły niejako przeciw bólowi po jej stracie; ale jestem w stanie, w którym nie mogę ani pocieszyć się, ani jej nienawidzić.”

Pojmujesz, jak zdumiały mnie słowa Sancerre'a. Spytałem, w jaki sposób dowiedział się tego, co mi powiada. Opowiedział, że w chwilę po moim odejściu d'Estouteville, który jest jego serdecznym przyjacielem, ale który nie wiedział nic o jego miłości, przyszedł go odwiedzić; skoro tylko usiadł, zaczął płakać. Przeprosił go, że przed nim ukrywał to, co mu powie; prosi, aby się nad nim użalił: przyszedł otworzyć przed nim serce: «Oto – rzekł – widzisz człowieka strapionego bez miary śmiercią pani de Tournon.»

„To nazwisko – ciągnął Sancerre – tak mnie zdumiało, iż mimo że pierwszym mym odruchem było powiedzieć, że ja tu bardziej jestem stroskany od niego, nie miałem siły przemówić. Opowiedział mi następnie, że kochał ją od pół roku, że wielokroć chciał mi to wyznać, ale że ona mu tego wyraźnie wzbronila, i to tak stanowczo, że nie śmiał się sprzeciwić; że zdobył jej serce prawie natychmiast, kiedy ją pokochał; że ukrywali swą miłość przed całym światem; że nigdy nie był u niej publicznie; że zdołał szczęśliwie pocieszyć ją po stracie męża; że wreszcie miał ją zaślubić w chwili, gdy umarła; ale że to małżeństwo, skojarzone z miłości, miało uchodzić za wynik obowiązku i posłuszeństwa; że uprosiła ojca, aby jej nakazał wyjść za niego, iżby to nie było w zbytnej sprzeczności z jej zachowaniem tak odległym od powtórnego zamężcia.

Póki d'Estouteville mówił – ciągnął Sancerre – wierzyłem: gdyż wszystko zdawało mi się prawdopodobne; czas, w którym powiadał, że zaczął kochać panią de Tournon, to był właśnie czas, gdy wydała mi się odmieniona; ale w chwilę potem miałem go za kłamcę lub bodaj za lunatyka. Omal nie powiedziałem mu tego; potem umyśliłem rzecz wyświecić; wziąłem go na spytki, zacząłem okazywać wątpliwości. Słowem, uczyniłem tyle, aby się upewnić o moim nieszczęściu, że spytał mnie w końcu, czy znam pismo pani de Tournon. Położył na mym łóżku cztery jej listy i portret; w tej chwili wszedł mój brat. D'Estouteville miał twarz tak pełną łez, że musiał wyjść, aby ich nie pokazać; powiedział mi, że wróci wieczorem zabrać to, co mi zostawia. Pod pozorem, że się czuję niedobrze, pozbyłem się brata w niecierpliwości ujrzenia owych listów i spodziewając się znaleźć w nich jakąś sprzeczność z tym, co mi d'Estouteville powiadał przed chwilą. Niestety! czegoż tam nie znalazłem! Co za czułość! co za zakłęcia! co za obietnica małżeństwa! co za listy! Nigdy do mnie nie pisała podobnych. Tak więc – dodał – nęka mnie zarazem jej śmierć i jej niewierność: dwie niedole, które często porównywano, ale których nigdy jeden i ten sam człowiek nie poznał równocześnie. Wyznaję ku memu wstydu, że czuję jeszcze dotkliwiej jej stratę niż jej odmianę; nie mogę jej uznać dosyć winną, aby się pogodzić z jej śmiercią. Gdyby żyła, miałbym

przyjemność czynienia jej wyrzutów, mógłbym się mścić ukazując jej jej niegodziwość. Ale nie ujrzę jej już – powtarzał – nie ujrzę; to nieszczęście największe jest ze wszystkich nieszczęść. Chciałbym jej wrócić życie kosztem mego życia. Co za życzenie! Gdyby wróciła, żyłaby dla d'Estouteville'a. Jakież ja byłem szczęśliwy wczoraj! – wołał. – Jakież ja byłem szczęśliwy! Byłem człowiekiem najnieszczęśliwszym w świecie: ale zgryzota moja była rozsądna i znajdowałem niejaka słodycz w tym, że nigdy nie zdołam się pocieszyć. Dziś wszystkie moje uczucia są nedorzeczne. Jej udanej miłości płacę ten sam haracz bólu, jaki mniemałem być winien miłości prawdziwej. Nie mogę już ani nienawidzić, ani kochać jej pamięci; nie mogę ani się pocieszyć, ani troskać. Przynajmniej – rzekł obracając się nagle ku mnie – spraw, zaklinam cię, abym nie ujrzał nigdy d'Estouteville'a; samo jego nazwisko przejmuje mnie zgrozą. Wiem dobrze, że nie mam prawa się nań skarżyć; moja wina, że mu ukrywałem, iż kocham panią de Tournon; gdyby był wiedział o tym, nie byłby się może w niej rozkochał, ona nie byłaby mi niewierna; przyszedł tutaj, aby mi zwierzyć swoją boleść, żał mi go. Ach! i słusznie! – wykrzyknął – On kochał panią de Tournon, miał jej wzajemność, i nie ujrzy jej nigdy; mimo to czuję, że muszę go nienawidzić. I jeszcze raz, zaklinam cię, uczyni, abym go nie widział.”

Po czym Sancerre zaczął płakać, rozpaczać po pani de Tournon, mówić do niej, powiadać jej najczulsze rzeczy w świecie; potem wrócił do nienawiści, do skarg, do wyrzutów i do wyklinañ. Widząc go w takim ciężkim stanie, zrozumiałem, że trzeba mi będzie jakowejś pomocy, aby go uspokoić. Posłałem po jego brata, którego właśnie zostawiłem u króla; nim wszedł, wyszedłem pomówić z nim w przedpokoju i opowiedziałem mu stan, w jakim znajduje się Sancerre. Wydaliśmy rozkazy, aby zapobiec, by nie ujrzał d'Estouteville'a, i obróciliśmy sporą część nocy na to, aby go przywieść do rozumu. Dziś rano zastałem go jeszcze bardziej strapionym; brat został przy nim, a ja wróciłem do ciebie.

– Zdumiona jestem niepomierne – rzekła pani de Clèves – przypuszczałam, że pani de Tournon niezdolna jest do miłości i do zdrady.

– Nie podobna – odparł pan de Clèves – dalej posunąć zřeczności i obłudy. Zważ, że kiedy Sancerre sądził, iż ona zmieniła się dla niego, było tak w istocie: zaczęła kochać d'Estouteville'a. Powiadała tamtemu, że ją pocieszył po stracie męża i że on jest przyczyną, iż sfołgowała swej ciężkiej żalobie; a Sancerre wierzył, że to dlatego, że myśmy postanowili, iż nie będzie już okazywała takiego strapienia. Udawała przed d'Estouteville'em, że jeśli ukrywa ich porozumienie i pragnie wyjść za niego jakoby zmuszona przez ojca, to przez troskę o swoją dobrą sławę; a to było, aby porzucić Sancerre'a, tak aby nie mógł się na to żalić. Trzeba mi wracać – ciągnął pan de Clèves – aby odwiedzić tego nieszczęśliwego, a sądzę, że i tobie trzeba wracać do Paryża. Czas jest, abyś zaczęła widywać ludzi i abyś zaczęła przyjmować ową niezliczoną ilość wizyt, od których nie możesz się zwolnić.

Pani de Clèves zgodziła się na powrót i wróciła nazajutrz. Czuli się spokojniejsza co do pana de Nemours; słowa umierającej matki i ból po jej śmierci oderwały ją od dawnych uczuć, pozwalając mniemać, że te uczucia zupełnie się zatarły.

Tegoż samego wieczora odwiedziła ją królewicowa i, wyraziwszy udział,

jaki bierze w jej strapieniu, rzekła, iż aby ją odwrócić od tych smutnych myśli, opowie jej wszystko, co się działo na dworze w czasie jej nieobecności: jakoż opowiedziała pani de Clèves parę poufnych rzeczy.

– Ale o czym najpilniej chciałam ci powiedzieć – dodała – to, iż pewnym jest, że pan de Nemours jest namiętnie zakochany i że najpoufalsi jego przyjaciele nie tylko nie są w sekrecie, ale nie mogą zgadnąć, kto jest przedmiotem jego uczuć. Bądź co bądź, miłość ta jest dość silna, aby mu kazać zaniedbać lub – aby lepiej rzec – porzucić nadzieję korony.

Królewicowa opowiedziała następnie wszystko, co się zdarzyło w sprawie Anglii.

– Dowiedziałam się tego – ciągnęła – od pana d'Anville; powiedział mi dziś rano, że król posłał wczoraj wieczór po pana de Nemours na skutek listów Lignerolles'a, który chce wrócić i pisze królowi, że nie może już upozorować przed królową angielską ociagań pana de Nemours. Królowa (pisze) zaczyna czuć się obrażona; mimo że nie dała jeszcze stanowczego słowa, dosyć już powiedziała, aby można było azardować podróż. Król przeczytał ten list panu de Nemours, który, zamiast mówić poważnie, jak czynił w początkach, zaczął się jeno śmiać, baraszkować i drwić sobie z nadziei Lignerolles'a. Powiadał, że cała Europa potępiłaby jego nierozwagę, gdyby się wybrał do Anglii jako rzekomy mąż królowej, nie będąc pewien powodzenia. „Zdaje mi się także – dodał – że w złą porę wybrałbym się teraz, kiedy król hiszpański robi, co w jego mocy, aby zaślubić tę królowę. Nie byłby to może bardzo groźny rywal w miłości, ale gdy chodzi o małżeństwo, sądzę, że Wasza Królewska Mość nie radziłby mi z nim współzawodniczyć.”

„Radziłbym ci to w tym przypadku – odparł król – ale nie będziesz miał okazji z nim walczyć; wiem, że ma inne zamiary; a gdyby ich nawet nie miał, królowa Maria dość lichy wyszła na jarzmie hiszpańskim, aby można było sądzić, że siostra jej zechce je przyjąć znowu i że da się olśnić blaskiem tyłu zjednoczonych koron.”

„Jeśli się nie da olśnić – odparł pan de Nemours – można przypuszczać, że zechce wyjść za mąż z miłości; kochała milorda Courtenay już przed kilku laty. Kochała go też królowa Maria, która byłaby go zaślubiła za zgodą całej Anglii, gdyby nie ujrzała, że piękność i młodość siostry jej Elżbiety bardziej go wzruszają niż nadzieja tronu. Wasza Królewska Mość wie, że gwałtowna zazdrość, jaką stąd powzięła, pchnęła ją do tego, że wtrąciła ich oboje do więzienia, że potem wygnała milorda Courtenay i przychyliła się wreszcie do małżeństwa z królem hiszpańskim. Sądzę, że Elżbieta, znalazłszy się na tronie, przywołała rychło owego milorda i że raczej wybierze człowieka, którego wpród kochała, który jest bardzo wart miłości, który tyle wycierpiał dla niej, niż innego, którego nigdy nie widziała.”

„Byłbym tak samo myślał – odparł król – gdyby Courtenay żył jeszcze; ale dowiedziałem się przed paru dniami, że umarł w Padwie na wygnaniu. Widzę dobrze – rzekł żegnając się z panem de Nemours – że trzeba by załatwić twoje małżeństwo tak jak małżeństwo królewica: zaślubić królowę angielską przez posły.”

Pan d'Anville i pan widam, którzy byli u króla z panem de Nemours, pewni są, że to właśnie owa miłość, którą jest zajęty, odciąga go od tak wielkiego zamiaru. Widam, który z nim jest poufalej niż ktokolwiek, powiadał pani de Martigues, iż pan de Nemours jest odmieniony wręcz do niepoznania; a co go

najbardziej dziwi, to, że nie zauważył u niego żadnych stosunków ani żadnych osobliwych godzin, w których by się wymykał, tak iż mniema, że on nie ma porozumienia z osobą, którą kocha; i to jest coś zgoła nie podobnego do pana de Nemours, aby kochał kobietę, która mu nie płaci wzajemnością.

Cóż za trucizna dla pani de Clèves te słowa królewicowej! Jak nie ujrzyć siebie w owej kobiecie, której nikt nie zna? Jak nie czuć wdzięczności i czułości, dowiadując się – drogą, która nie mogła jej być podejrzana – że ów książę, który już zapadł jej w serce, kryje swą miłość przed całym światem i zanedbuje dla jej miłości widoki korony. Toteż nie podobna sobie wyobrazić, co ona czuła i jaki zamęt nastąpił w jej sercu. Gdyby królewicowa patrzyła na nią z uwagą, byłaby z łatwością spostrzegła, iż ta opowieść nie jest jej obojętna; że jednak w najmniejszym stopniu nie podejrzewała prawdy, mówiła dalej nie zauważwszy nic.

– Pan d'Anville – dodała – który, jak ci właśnie powiadałam, oznajmił mi o tym wszystkim, sądzi, iż ja wiem więcej od niego; ma tak wielkie mniemanie o moich wdziękach, iż jest przekonany, że ja jestem jedyną osobą zdolną dokonać podobnych zmian w panu de Nemours.

Te ostatnie słowa królewicowej znów wprawiły panią de Clèves w zamęt, ale odmiennego rodzaju niż ten, którego doznała przed chwilą.

– Łatwo zgodziłabym się z panem d'Anville – odparła – wielce prawdopodobnym jest, że trzeba nie mniej niż księżniczki takiej jak wy, pani, aby kazać wzgardzić królową angielską.

– Przyznałabym ci się, gdybym wiedziała, a wiedziałabym, gdyby to było prawdą. Tego rodzaju uczucia nie ujdą oczom tej, która je wzbudzi: spostrzeże je pierwsza! Pan de Nemours nigdy nie okazywał mi nic poza lekką sympatią; jest wszakże tak wielka różnica między jego odnoszeniem się do mnie dawniej a teraz, że mogę ci zaręczyć, iż nie ja jestem przyczyną jego zobojętnienia na koronę angielską.

Zagadałam się z tobą – dodała królewicowa – i zapomniałam, że trzeba mi iść do Jejmościanki. Wiesz, że pokój jest tak jak zawarty; ale nie wiesz, że król hiszpański nie chciał się zgodzić na żaden punkt inaczej niż pod warunkiem, że sam zaślubi Jejmościankę w miejsce don Karlosa, swego syna. Królowi ciężko było na to przystać, zgodził się wreszcie i natychmiast udał się oznajmić tę wiadomość Jejmościance. Będzie niepokieszona; to nie wesół rzecz iść za człowieka w tym wieku i tego humoru co król hiszpański, zwłaszcza dla niej, w całej krasie młodości i urody, gdy spodziewała się zaślubić młodego księcia, który budził jej skłonność już na niewidziane. Nie wiem, czy król znajdzie w niej owo posłuszeństwo, którego pragnie; polecił mi odwiedzić ją, bo wie, że ona mnie kocha, i sądzi, że ja będę miała jakiś wpływ na nią. Następnie mam wizytę wcale odmienną; pójdę ucieszyć się z Jejmością, siostrą królewską. Wszystko jest postanowione co do jej małżeństwa z panem Sabaudzkim; będzie tutaj niezadługo. Nigdy osoba w wieku tej księżniczki nie miała tak pełnej uciechy z zamęscia. Dwór będzie wspanialszy i liczniejszy niż kiedykolwiek, mimo twego strapienia musisz nam przyjść z pomocą, abyśmy pokazali cudzoziemcom, że mamy tu nie byle jakie piękności. Po tych słowach królewicowa pożegnała panią de Clèves, nazajutrz zaś małżeństwo Jejmościanki było wiadome całemu światu. Jednego z następnych dni król i królowe odwiedzili panią de Clèves. Pan de Nemours, który wyglądał niecierpliwie jej powrotu i pragnął gorąco mówić z nią bez świadków, czekał

ze swoją wizytą chwili, gdy wszyscy wyjdą i kiedy nie będzie się już spodziewała nikogo. Udał mu się ten zamiar; przybył, kiedy ostatni goście wychodzili.

Księżna siedziała na łóżku; było gorąco, widok zaś pana de Nemours tym bardziej ją przyrumienił bez szkody dla jej piękności. Usiadł naprzeciw niej z ową nieśmiałością i lękiem, jakie daje prawdziwa miłość. Jakiś czas nie mógł przemówić. Pani de Clèves była niemniej zmieszana, tak iż przetrwali dość długo w milczeniu, wreszcie pan de Nemours przemówił i wyraził jej słowa współczucia; pani de Clèves, rada pozostać przy tym przedmiocie rozmowy, mówiła dość długo o stracie, jaką poniosła; rzekła na ostatek, że gdyby nawet czas zmniejszył gwałtowność jej bólu, zostawi jej na zawsze wrażenie tak silne, że odbije się to na jej usposobieniu.

– Wielkie zgryzoty i silne uczucia – odparł pan de Nemours – sprawiają wielkie odmiany w duszy; co do mnie, nie poznaję się od czasu, gdy wróciłem z Flandrii. Wiele osób zauważyło tę zmianę i nawet królowicowa mówiła mi o tym wczoraj.

– Prawda – odparła pani de Clèves – spostrzegła to; zdaje mi się, że słyszałam coś od niej w tym przedmiocie.

– Nie martwi mnie – odparł pan de Nemours – że ona to zauważyła, ale chciałbym, aby zauważyła to nie ona jedna. Są osoby, którym nie śmie się dowieść swych uczuć inaczej, jak tylko czymś, co ich nie dotyczy; nie wążąc się pokazać, że się je kocha, chciałoby się przynajmniej, aby wiedziały, że nie ma piękności bodaj najwyższego stanu, na którą by się nie patrzyło obojętnie, i nie ma korony, którą by się chciało kupić za cenę stracenia z oczu tej, którą się kocha. Kobiety sądzą zazwyczaj miłość – ciągnął – wedle starań, jakie okazujemy, aby się im podobać i szukać ich kompanii; ale to nie jest rzecz trudna, o ile są dość powabne; co jest trudne, to nie poddać się rozkoszy szukania ich; to unikać ich z obawy zdradzenia światu i niemal im samym uczuć, jakie się dla nich żywi. A co jeszcze lepiej świadczy o prawdziwym przywiązaniu, to stać się zupełnym przeciwieństwem tego, czym się było, i nie znać już ambicji ani rozkoszy, gdy się przez całe życie goniło za jednym i drugim.

Pani de Clèves zrozumiała bez trudu, w jakim stopniu te słowa się jej tyczą. Zdało się jej, że powinna na nie odpowiedzieć i nie ścierpieć ich. Zdało się jej także, że nie powinna ich zrozumieć ani nawet okazać, że bierze je do siebie. Sądziła, że powinna mówić, i sądziła, że nie powinna nic mówić. Słowa pana de Nemours podobały się jej i obrażały ją niemal po równi; widziała w nich potwierdzenie wszystkiego, co jej nasunęła królowicowa; znajdowała w nich dworność i szacunek, ale i także coś nazbyt śmiałego i nazbyt wyraźnego. Skłonność, jaką miała do księcia, rodziła w niej zamęt, nad którym nie umiała zapanować. Najbardziej mgliste słowa człowieka, który nam jest miły, bardziej wzruszają niż jawne oświadczenia człowieka obojętnego. Nie odpowiadała tedy nic, a pan de Nemours byłby zauważył jej milczenie i wyciągnął z niego nienajgorsze wróżby, gdyby zjawienie pana de Clèves nie położyło końca rozmowie i odwiedzinom.

Książę przybywał, aby opowiedzieć żonie nowiny p Sancerze; ale nie była zbyt ciekawa dalszego ciągu tej przygody. Pochłonięta tym, co się działo przed chwilą, zaledwie umiała ukryć roztargnienie. Kiedy mogła swobodnie oddać się dumaniem, zrozumiała, że się myliła sądząc, że pan de Nemours

jest jej już obojętny. Słowa jego uczyniły na niej wrażenie, jakiego mógł pragnąć, i przekonały ją całkowicie o jego uczuciu. Postępki księcia zbyt dobrze zgadzały się z jego słowami, aby zostawić jej jaką wątpliwość. Nie łudziła się już nadzieją, że go nie kocha; myślała jedynie o tym, aby mu nigdy tego nie okazać. Było to przedsięwzięcie trudne, którego przykrości już знаła; wiedziała, że jedynym sposobem, aby się to powiodło, jest unikać obecności pana de Nemours; że zaś żałoba dawała jej prawo do życia bardziej zamkniętego niż zwykle, posłużyła się tym pozorem, aby unikać miejsc, gdzie mogłaby go spotkać. Widziano jej smutek, śmierć matki zdawała się jego przyczyną, nie szukano innej.

Pan de Nemours był zrozpaczony, że jej prawie nie widuje; wiedząc, że jej nie spotka na żadnym zebraniu, na żadnej z zabaw, na których bywał cały dwór, nie mógł się zdobyć na to, aby bywać w świecie; udał wielką namietność do polowania i urządził łowy w dzień, w których miały być asamble u królowych. Lekka choroba posłużyła mu długo za pozór zostania w domu i unikania miejsc, w których wiedział, że pani de Clèves nie będzie. Mniej więcej w tym samym czasie pan de Clèves zachorował. W czasie tej choroby pani de Clèves nie opuszczała jego komnaty; ale kiedy przyszedł nieco do siebie i zaczął przyjmować gości, między innymi pana de Nemours, który pod pozorem, że jest jeszcze słaby, spędzał u niego prawie całe dni, sądziła, że nie powinna już tam pozostawać. Nie od razu wszakże zdobyła się na tę siłę, aby wyjść, kiedy księżę przyszedł. Zbyt dawno go nie widziała, aby się mogła zdobyć na nieujrzenie go. Księżę znalazł sposób powiedzenia jej – w słowach, które zdawały się ogólnikowe, ale które ona rozumiała dobrze, gdyż miały związek z tym, co jej rzekł będąc u niej – że chodzi na łowy po to, aby marzyć, i że nie chodzi na asamble, bo jej tam nie ma.

Spełniła wreszcie postanowienie, jakie powzięła, aby wychodzić od męża, skoro pan de Nemours tam będzie; ale musiała sobie zadać straszny gwałt. Księżę spostrzegł, że ona go unika, i bardzo był tym wzruszony.

Pan de Clèves nie zważał zrazu na postępowanie żony; w końcu zrozumiał, że ona nie chce być w pokoju, kiedy są goście. Zapytał ją o to; odpowiedziała, że nie uważa za przystojne przebywać tam co wieczór z najmłodszą kompanią ze dworu; że błaga go, aby zezwolił jej wieść życie bardziej ustronne niż wprzód; że cnota i obecność matki uprawniały wiele rzeczy, których kobieta w jej wieku nie może dozwolnić.

Pan de Clèves, który miał zazwyczaj wiele słodyczy i ustępliwości dla żony, nie znalazł ich w tej okazji; oświadczył, że bezwarunkowo nie chce, aby zmieniła tryb życia. Już miała mu powiedzieć, jako obiegają w świecie wieści, że pan de Nemours jest w niej zakochany; ale nie miała siły go wymienić. Wstyd jej też było posługiwać się fałszywym pozorem i przeinaczać prawdę człowiekowi, który miał o niej tak dobre mniemanie.

W kilka dni potem król był u królowej na asambli; mówiono o horoskopach i o wróżbach. Sądy były podzielone co do wagi, jaką należy do nich przykładać. Królowa dawała im dużo wiary; utrzymywała, że po tylu rzeczach, które przepowiedziano i które się zdarzyły, nie można wątpić, że jest jakowaś pewność w tej wiedzy. Inni twierdzili, że pośród niezliczonej ilości wróżb niewielka ilość tych, które się sprawdzają, dowodzi jasno, że to jedynie przypadek.

– Bywałem niegdyś bardzo ciekaw przyszłości – rzekł król – ale tyle mi powie-

dziano rzeczy fałszywych i tak mało prawdopodobnych, że nabrałem przekonania, że nic się nie da wiedzieć prawdziwego. Przed kilku laty przybył tu człowiek wielkiej reputacji w astrologii. Wszyscy chodzili do niego; poszedłem jak inni, ale nie mówiąc, kto jestem; wziąłem z sobą panów de Guise i Descars i puściłem ich przodem. Mimo to astrolog zwrócił się najpierw do mnie, jak gdyby poznał we mnie ich pana. Może mnie znał; ale powiedział mi coś, co by się nie zgadzało, gdyby mnie znał. Przepowiedział mi, że zginę w pojedynku. Powiedział następnie panu de Guise, że będzie zabity z tyłu, a Descarsowi, że koń roztrzaska mu głowę kopytem. Pan de Guise obraził się o tę przepowiednię, jak gdyby wróżącą mu, że będzie uciekał. Descars też nie bardzo był zadowolony, że ma skończyć od tak nieszczęsnego wypadku. Słowem, wyszliśmy wszyscy bardzo nieradzi z astrologa. Nie wiem, co się przygodzi Guise'owi i Descars'owi, ale mało prawdopodobnym jest, abym ja zginął w pojedynku. Zawarliśmy pokój z królem hiszpańskim; a gdybyśmy go nawet nie byli zawarli, wątpię, abyśmy się bili z sobą i abym go wyzwiał, jak król mój ojciec wyzwiał Karola V.

Po tym opowiadaniu o nieszczęśliwej przepowiedni dla króla obrońcy astrologii przestali brać jej stronę i zgodzili się, że nie należy przykładać do niej żadnej wagi.

– Co do mnie – rzekł głośno pan de Nemours – jestem człowiekiem, który najmniej powinien w nią wierzyć – i obracając się ku pani de Clèves, w podłej której siedział, rzekł z cicha: – Przepowiedziano mi, że będę szczęśliwy z łaski kobiety, dla której będę żywił najgwałtowniejszą i pełną szacunku miłość. Osądź, pani, czy mogę wierzyć w przepowiednie.

Z tego, co pan de Nemours powiedział głośno, królewicowa sądziła, że to, co rzekł po cichu, to przykład jakiejś fałszywej wróżby; spytała tedy księcia, co powiedział pani de Clèves. Gdyby był mniej przytomny, zaskoczyłoby go to pytanie. Ale odparł bez wahania:

– Mówiłem, Wasza Dostojność, że mi przepowiedziano, iż wzniosę się do tak wysokiego losu, o jakim nie śmiałybym nawet marzyć.

– Jeśli panu tylko to przepowiedziano – odparła królewicowa z uśmiechem, myśląc o Anglii – nie radzę panu mówić źle o astrologii, możesz łącznie znaleźć przyczyny bronienia jej.

Pani de Clèves zrozumiała, co ma na myśli królewicowa; ale zrozumiała także, iż szczęście, o jakim myślał pan de Nemours, to nie była angielska korona.

Ponieważ było już dość dawno od śmierci matki, trzeba jej było pojawić się w świecie i bywać u dworu jak wprzód. Widywała pana de Nemours u królewicowej, widywała go u pana de Clèves, gdzie przychodził często wraz z innymi młodymi panami, ale widywała go ze wzruszeniem, które z łatwością spostrzegł.

Jakkolwiek starała się unikać jego spojrzeń i mówić doń mniej niż do innych, wymykały się jej, bez woli, pewne rzeczy, pozwalające księciu myśleć, że nie jest jej obojętny. Człowiek mniej przenikliwy nie byłby może tego spostrzegł; ale on kochał już tyle razy, że trudno było, aby nie poznał, że jest kochany. Widział, że kawaler de Guise jest jego rywalem, ten zaś wiedział też samo o panu de Nemours. Był to jedyny człowiek na dworze, który przejrzał prawdę, własny interes uczynił go bystrzejszym od innych; wzajemna świadomość tych uczuć udzieliła ich stosunkom cierpkości, która objawiała się

we wszystkim. Byli zawsze w przeciwnych obozach w gonitwie do pierścienia, w turniejach, grach i zabawach, które król urządzał; współzawodnictwo ich było tak widoczne, że nie podobna było go ukryć.

Sprawa angielska często zaprzętała myśli pani de Clèves, sądziła, że pan de Nemours nie oprze się radom króla i naleganiom Ligneroles'a. Widziała z przykrością, że ten jeszcze nie wrócił, i oczekiwała go niecierpliwie. Gdyby szła za swoim popędem, byłaby się pilnie dowiadywała o bieg tej sprawy; ale to samo uczucie, które budziło w niej ciekawość, zmuszało ją ukrywać się; wywiadywała się jedynie o urodę, dowcip i usposobienie królowej Elżbiety. Przyniesiono do króla portret tej pani, który się jej wydał piękniejszy, niżby pragnęła: nie mogła się wstrzymać od powiedzenia, że jest pochlebiony.

– Nie sądzę – odparła królewicowa, która była obecna – ta pani ma reputację piękności i rozumu ponad pospolitą miarę i wiem, że mi ją całe życie dawano za przykład. Musi być miła, jeśli podobna jest do swojej matki, Anny Boleyn. Nigdy żadna kobieta nie miała tylu wdzięku i czaru w swojej osobie i wzięciu. Słyszałam, że jej twarz miała coś żywego i oryginalnego, w czym zupełnie nie była podobna do angielskich piękności.

– Toteż zdaje mi się – odparła pani de Clèves – że ona się podobno urodziła we Francji.

– Ci, co tak mniemali, byli w błędzie – odparła królewicowa – opowiem wam pokrótce jej dzieje. Była z dobrej rodziny angielskiej. Henryk VIII kochał się w jej siostrze i w jej matce; podejrzewano nawet, że to jest jego córka. Przybyła tu z siostrą Henryka VIII, która zaślubiła króla Ludwika XII. Księżniczka ta, młoda i wesoła, z wielką przykrością opuszczała dwór francuski po śmierci męża; ale Anna Boleyn, która miała podobną naturę, nie mogła się zdobyć na to, by odjechać. Nieboszczyk król kochał się w niej; została jako dworka królowej Klaudii. Królowa umarła; pani Małgorzata, siostra króla, księżna d'Alencon, a później królowa Nawarry, której czytaliście opowiadki, wzięła ją do siebie; za czym przy tej królowej otarła się o nową wiarę. Wróciła następnie do Anglii i oczarowała wszystkich; miała francuskie wzięcie, które podoba się wszystkim nacjom: dobrze śpiewała, cudownie tańczyła; umieszczono ją za dworkę przy królowej Katarzynie Aragońskiej i król Henryk VIII zakochał się w niej bez pamięci.

Kardynał Wolsey, jego faworyt i pierwszy minister, zabiegał się o tiarę; niezadowolony z cesarza, który nie poparł go w tej chęci, postanowił się zemścić i skojarzyć swego pana z Francją. Przekonał Henryka VIII, że jego małżeństwo z ciotką cesarza jest nieważne, i poddał mu myśl, aby zaślubił księżnę d'Alencon, której mąż właśnie umarł. Anna Boleyn, która była ambitna, widziała w tym rozwodzie drogę, która może ją zawieść na tron. Zaczęła udzielać królowi angielskiemu sympatii do religii Lutra i zachęciła nieboszczyka króla, aby popierał w Rzymie rozwód Henryka, w nadziei małżeństwa z księżną d'Alencon. Kardynał Wolsey wybrał się do Francji pod innymi pozorami, ale w gruncie dla traktowania tej sprawy; ale jego pan nie mógł ścierpieć nawet takiej propozycji i przesłał mu rozkaz do Calais, aby nie mówił nic o tym małżeństwie.

Za powrotem z Francji przyjęto kardynała Wolsey z honorami niemal że królewskimi; nigdy faworyt nie posunął do tego stopnia dumy i próżności. Przygotował spotkanie między dwoma królami, które odbyło się w Boulogne. Franciszek I podał rękę Henrykowi VIII, który jej nie chciał przyjąć. Podej-

mowali się wzajem z nadzwyczajną wspaniałością i darowali sobie ubrania podobne do tych, jakie kazali sporządzić dla samych siebie. Przypominam sobie, iż słyszałam, że ubranie, jakie nieboszczyk król posłał królowi angielskiemu, było z karmazynowego atlasu, wyszywane perłami i diamentami; toż biały aksamitny płaszcz haftowany złotem. Spędziwszy kilka dni w Boulogne, udali się jeszcze do Calais. Anna Boleyn mieszkała u Henryka VIII na stopie królowej, a Franciszek I przesłał jej podarki i oddał jej te same honory, co gdyby nią była w istocie. Wreszcie po dziewięcioletniej miłości Henryk zaślubił ją, nie czekając na rozwiązanie pierwszego małżeństwa, o które zabiegał w Rzymie od dawna. Papież zaczął grzmieć przeciw niemu, co Henryka tak zgniewało, że ogłosił się głową Kościoła i pociągnął całą Anglię w nieszczęśliwą odmianę, na którą patrzymy.

Anna Boleyn niedługo cieszyła się swą wielkością; skoro bowiem uczuła się w niej pewniejsza wskutek śmierci Katarzyny Aragońskiej, jednego dnia, kiedy była obecna z całym dworem na gonitwie do pierścienia, jaką urządził brat jej, wicehrabia de Rochefort, król popadł w taką zazdrość, że opuścił nagle widowisko i wydał rozkaz uwięzienia królowej, wicehrabiego de Rochefort i wielu innych, których uważał za kochanków lub powierników królowej. Mimo że ta zazdrość zdawała się nagła, od dawna już obudziła ją w królu wicehrabina de Rochefort, która, nie mogąc ścierpieć serdeczności swego męża z królową, przedstawiła ją królowi jako występne obcowanie, tak iż monarcha, zakochany zresztą w Joannie Seymour, myślał już tylko o tym, aby się pozbyć Anny. W niecałe trzy miesiące kazał przeprowadzić proces jej i jej brata, kazał im uciąć głowę i zaślubił Joannę Seymour. Miał potem wiele żon, które odtrącił lub uśmiercił, między innymi Katarzynę Howard, której hrabina de Rochefort była powiernicą i której ucięto głowę wraz z nią. W ten sposób znalazła karę za zbrodnie, o jakie posądzała Annę Boleyn, a Henryk VIII umarł, doszedłszy potwornej tuszy.

Wszystkie panie, które były obecne przy opowiadaniu królewicowej, podziękowały jej, że je tak dobrze objaśniła o dworze angielskim; między innymi pani de Clèves, która nie mogła się wstrzymać od zadania jej jeszcze kilku pytań co do królowej Elżbiety.

Królewicowa kazała sporządzić miniatury wszystkich piękności na dworze, aby je posłać królowej swojej matce. W dniu, w którym kończono portret pani de Clèves, królewicowa zaszła do niej po południu. Pan de Nemours nie omieszkał się zjawić również; nie przepuszczał bowiem żadnej okazji ujrzenia pani de Clèves, nie okazując wszakże, aby jej szukał. Była tego dnia tak piękna, że byłby się w niej rozkochał, gdyby się to już nie stało. Nie śmiał wlepić w nią oczu, podczas gdy ją malowano, i bał się nadto okazywać przyjemność, jaką mu sprawia jej widok.

Królewicowa poprosiła pana de Clèves o portrecik żony, aby go porównać z tym, który kończono. Wszyscy wyrazili swoje zdanie o jednym i o drugim, a pani de Clèves kazała malarzowi coś poprawić w uczesaniu dawnego portretu. Aby jej być posłusznym, malarz wyjął portret z puzderka, w którym się znajdował, i, poprawiwszy go, położył z powrotem na stole.

Od dawna już pan de Nemours pragnął mieć portret pani de Clèves. Kiedy ujrzał ów, który był własnością jej męża, nie mógł się oprzeć ochocie skradzenia go mężowi, o którym sądził, że jest tkliwie kochany: pomyślał, że wśród tylu osób nie będzie powodu podejrzewać szczególnie jego.

Królewicowa siedziała na łóżku i mówiła po cichu z panią de Clèves, która stała obok. Pani de Clèves spostrzegła poprzez niezupełnie zasunięte firanki pana de Nemours opartego plecami o stół stojący w nogach łóżka i ujrzała, że, nie obracając głowy, bierze coś zręcznie z tego stołu. Łatwo odgadła, że to był jej portret, i tak ją to zmieszało, że królewicowa, widząc, że ona nie słucha, spytała głośno, gdzie patrzy. Na te słowa pan Nemours obrócił się i spotkał się z oczyma pani de Clèves jeszcze wlepionymi w niego; za czym pomyślał, że może ona widziała, co robił.

Pani de Clèves była w niemałym kłopotcie. Powinna była upomnieć się o swój portret; ale upominać się publicznie znaczyło odsłonić wszystkim uczucia, jakie książkę dla niej żywił; upomnieć się zaś na osobności znaczyło niejako zachęcać go do wyznań. Uznała w końcu, że lepiej jest zostawić mu go, i rada była użyć mu tej łaski, skoro mogła to uczynić bez jego wiedzy. Pan de Nemours, który widział jej zakłopotanie i zgadywał poniekąd jego przyczynę, zbliżył się i rzeki cicho:

– Jeśli pani widziała, com uczynił, racz zostawić mnie w mniemaniu, że nic nie wiesz; nie śmiem prosić o więcej.

To rzekłszy odszedł, nie czekając odpowiedzi, Królewicowa wybrała się na przechadzkę wiodąc ze sobą wszystkie damy, a pan de Nemours udał się do domu, nie mogąc znieść publicznie radości z posiadania portretu. Przeżywał wszystko, co miłość może dać najrozkoszniejszego; kochał najbardziej uroczą osobę na dworze, zdobywał jej miłość wbrew jej woli i widział we wszystkich jej postępach owo wzruszenie i pomieszanie, jakie rodzi miłość w zaraniu niewinnej młodości.

Wieczorem szukano portretu bardzo pilnie; ponieważ znaleziono puzderko, nie podejrzewano kradzieży sądząc, że spadł gdzieś przypadkiem. Pan de Clèves zmartwiony był wielce tą stratą. Skoro się naszukano daremnie, powiedział do żony (ale tak, że widać było, iż tego nie myśli), że musi mieć z pewnością jakiego ukrytego kochanka, któremu dała ten portret lub który go ukradł, i że kto inny niż kochanek nie zadowoliliby się portretem bez puzderka.

Te słowa, mimo że powiedziane żartem, uczyniły silne wrażenie na pani de Clèves. Uczuła wyrzuty, zastanowiła się nad gwałtowną skłonnością ciągnącą ją do pana de Nemours; ujrzała, że nie jest już panią swoich uczynków i swego oblicza; pomyślała, że Ligneroles powrócił; że nie obawia się już Anglii; że nie podejrzewa już królewicowej; słowem, że nie ma już nic, co by ją mogło bronić, i że jedyny ratunek dla niej to ucieczka. Ponieważ jednak nie było w jej możliwości usunąć się, znajdowała się w ciężkim położeniu, gotowa popaść w to, co jej się zdawało największym z nieszczęść, mianowicie okazać panu de Nemours swą skłonność. Przypominała sobie słowa umierającej matki i jak jej radziła, aby uczyniła raczej wszystko, bodaj najtrudniejsze, niż żeby miała wdawać się w miłość. Przypomniało jej się to, co pan de Clèves, mówiąc o pani de Tournon, powiedział o szczerości; pomyślała, że powinna mu wyznać swą skłonność do pana de Nemours. Ta myśl zaprzętała ją długo; potem dziwiła się sama sobie, wydało się jej to szaleństwem i znów popadła w bezradność i niezdecydowanie.

Skoro podpisano pokój, królowa Elżbieta po wielkich wstrętach zgodziła się usłuchać ojca. Wysłano księcia Albę, aby ją zaślubił imieniem katolickiego króla, i niebawem miał przybyć. Oczekiwano księcia Sabaudzkiego zjeź-

dążącego, aby pojąć Jejmość siostrę króla, której wesele miało się odbyć w tym samym czasie. Król myślał jeno o tym, aby dodać tym obrzędom blasku przez rozrywki, w których by mógł popisać się zręcznością i wspaniałością swego dworu. Obmyślano, co tylko się dało najwspanialszego w przedmiocie baletów i komedii; ale królowi wydały się te widowiska zbyt błahe: chciał czegoś świetniejszego. Postanowił urządzić turniej, na którym przyjęto by obcych gości, a którego lud byłby widzom. Wszyscy książęta i młodzi panowie powitali z radością zamiar monarchy, zwłaszcza książę Ferrary, pan de Guise i pan de Nemours, którzy przewyższali wszystkich innych w tego rodzaju ćwiczeniach. Król wybrał ich, aby byli wraz z nim czterema zapaśnikami turnieju.

Kazano ogłosić w całym królestwie, że w mieście Paryżu dnia 15 czerwca Jego Chrześcijański Majestat król francuski oraz książęta: Alfons d'Este książę Ferrary, Franciszek Lotaryński książę de Guise i Jakub Sabaudzki książę de Nemours, otwierają turniej i gotowi są stoczyć przeciw każdemu, kto się zgłosi, najpierw walkę w szrankach, cztery złożenia kopii i jedno dla dam; drugą walkę na miecze, w pojedynkę lub po dwóch, wedle uznania; trzecią walkę pieszko, trzy ciosy włóczni i sześć ciosów miecza; że wyzywający dostarczą kopii, mieczów i pik, do wyboru tych, co staną; i że kto w pędzie zażyje ostrogi, będzie wyłączony z walki. Iż będzie czterech sędziów dla wydawania rozkazów i że ci szermierze, którzy policzą najwięcej spotkań i najskuteczniejszych, otrzymają nagrodę wedle uznania sędziów; że wszyscy zapaśnicy, tak Francuzi, jak obcy, będą musieli dotknąć jednej z tarcz wiszących przed trybuną na kraju szranków lub też kilku do wyboru; że zastaną tam oficera, który przyjmie ich, aby zapisać każdego wedle rangi i wedle tarczy, której dotknie; że za każdym zapaśnikiem musi szlachcic przynieść tarczę z jego herbem, aby ją powiesić przed trybuną na trzy dni przed rozpoczęciem turnieju; inaczej nie przyjmie się ich bez pozwolenia wyzywających.

Uczyniono wielkie szranki w pobliżu Bastylii, biegnące od zamku de Tournelles przez ulicę świętego Antoniego i kończące się przy stajniach królewskich. Z dwóch stron były trybuny, amfiteatry i zakryte loże, tworzące rodzaj galerii bardzo pięknych dla oczu i mogących pomieścić niezliczoną mnogość osób. Za czym wszyscy książęta i panowie krzatali się, aby się pokazać w całym blasku, wplatając w swoje cyfry i godła coś dwornego, co by miało związek z damą ich serca.

Na krótko przed przybyciem księcia Alby król grał w piłkę z panem de Nemours, kawalerem de Guise i widamem de Chartres. Królowe przyszły popatrzeć, jak grają, wraz ze wszystkimi damami, między nimi i pani de Clèves. Po ukończeniu partii, kiedy schodzono z placu, Chastelart podszedł do królewicowej i oznajmił jej, że przypadek oddał mu w ręce list miłosny, który wypadł z kieszeni pana de Nemours. Królewicowa, zawsze ciekawa wszystkiego, co tyczyło księcia, kazała sobie dać ten list, wzięła go i poszła za królową teściową swoją, która podążyła za królem przyglądać się, jak urządzają szranki. Spędziwszy tam jakiś czas, król kazał przywieść konie, które niedawno sprowadził. Mimo że nie były jeszcze ujeżdżone, chciał ich dosiadać i kazał je podać wszystkim, którzy udali się za nim. Król i pan de Nemours znaleźli się na najognistszych, konie ich chciały się rzucić na siebie wzajem. Bojąc się skaleczyć króla, pan de Nemours cofnął się nagle i pchnął swego konia na słup w manezju tak gwałtownie, że zachwiało się od wstrząśnienia.

Wszyscy podbiegli ku niemu sądząc, że silnie się zranił. Pani de Clèves bardziej od innych myślała, że jest ciężko ranny. Życzliwość dla księcia zdjęła ją obawą i wzruszeniem, których nie siła się ukryć; podbiegła doń wraz z królowymi z twarzą tak zmienioną, że zauważyłby to człowiek nawet obojętniejszy niż kawaler de Guise: jakoż zauważył to z łatwością i o wiele większe dawał baczenie na stan pani de Clèves niż na pana de Nemours. Cios, jaki otrzymał książę, oszołomił go tak bardzo, iż trwał jakiś czas z głową zwieszoną na tych, którzy go podtrzymywali. Kiedy ją podniósł, ujrzał panią de Clèves; spostrzegł na jej twarzy współczucie; w oczach jego mogła wyczytać, jak bardzo jest nim wzruszony. Podziękował następnie królowym za ich dobroć i przeprosił za stan, w jakim znalazł się w ich obecności. Król kazał mu iść i spocząć.

Pani de Clèves, ochłonawszy z przestrawienia, uprzytomniła sobie rychło swoje zachowanie. Kawaler de Guise niedługo zostawił jej nadzieję, że nikt tego nie spostrzegł; podał jej rękę, aby ją wyprowadzić ze szranków.

– Bardziej godzien jestem litości niż pan de Nemours – rzekł. – Przebac mi, pani, jeżeli zbywam się owej głębokiej czci, jaką miałem zawsze dla pani, i jeśli pani okazuje żywą boleść, jaką mi sprawia to, com widział: pierwszy to raz jestem tyle śmiały, aby pani mówić o tym, i będzie to też ostatni. Śmierć albo .przynajmniej wiekuiste wygnanie oddała mnie z miejsc, w których nie mogę już żyć, skoro straciłem tę smutną pociechę, iż każdy, kto śmie na panią spojrzeć, jest równie nieszczęśliwy jak ja.

Pani de Clèves odpowiedziała jedynie parę mętnych wyrazów, jak gdyby nie rozumiała, co znaczą słówka kawalera. Kiedy indziej czułaby się obrażona, że on jej mówi o swoich uczuciach; ale w tej chwili odczuła jedynie przykrość, że spostrzegł jej uczucia dla pana de Nemours. Kawaler de Guise tak był przekonany o nich i tak tym zboleał, że od owego dnia postanowił nie kuścić się o zdobycie miłości pani de Clèves. Ale aby porzucić to przedsięwzięcie, które mu się zdało tak trudne i tak wspaniałe, trzeba mu było innego, którego wielkość mogłaby go zająć. Umyślił zdobyć Rodos, o czym już przedtem nieco był myślał, i kiedy śmierć zabrała go ze świata w kwiecie wieku i w chwili gdy zdobył sławę jednego z największych rycerzy swego wieku, jedynym żalem, jaki objawił rozstając się z życiem, było to, że nie mógł dokonać tak pięknego zamiaru, w który włożył tyle starań i w którego sukces niezawodny wierzył. Opuściwszy szranki, pani de Clèves udała się do królowej silnie zajęta tym, co się stało. Niebawem przyszedł tam pan de Nemours, wspaniale przybrany, z miną człowieka, który nie pamięta już o tym, co mu się zdarzyło. Zdawał się nawet weselszy niż zazwyczaj; radość z tego, co – tak mu się zdało – widział, przydała jeszcze wdzięku jego rysom. Wszyscy zdziwili się, kiedy wszedł; nie było nikogo, kto by go nie spytał o zdrowie, wyjąwszy pani de Clèves, która stała w podległości, jak gdyby go nie spostrzegła. Król wyszedł z gabinetu i widząc go wśród innych, kiwnął nań, aby z nim pomówić o jego przygodzie. Pan de Nemours przeszedł koło pani de Clèves i szepnął:

– Otrzymałem dziś oznaki twego, pani, współczucia, ale to nie są te, których jestem najgodniejszy.

Pani de Clèves domyślała się, że książę spostrzegł tkliwość jej dla niego, a słowa te dowiodły jej, że się nie myliła. Była to dla niej wielka boleść widzieć, że nie jest już zdolna skrywać swoich uczuć i że je zdradziła przed kawalerem

de Guise. Martwiło ją też bardzo, że pan de Nemours je odgaduje; ale ta przykrość nie była taka zupełna i mieszała się z niejaką słodyczą.

Królewicowa, której bardzo było pilno dowiedzieć się, co jest w liście znalezionym przez Chastelarta, zbliżyła się do pani de Clèves.

– Idź, przeczytaj ten list – rzekła – pisany jest do pana de Nemours prawdopodobnie przez tę kobietę, dla której rzucił wszystkie inne. Jeśli nie możesz przeczytać w tej chwili, zatrzymaj list; przyjdź wieczorem oddać mi go i powiedzieć, czy znasz to pismo.

Po tych słowach królewicowa opuściła panią de Clèves, tak zdumioną i wzruszoną, że jakiś czas nie mogła postąpić z miejsca. Niecierpliwość i pomieszanie nie pozwoliły jej zostać u królowej; wróciła do siebie, mimo że nie była jeszcze pora, w której nawykła wracać. Trzymała list w drżącej ręce; myśli jej były tak mętne, że nie mogła się w nich rozeznąć; doznawała nieznośnego bólu, którego nie знаła i którego nigdy jeszcze nie odczuła. Znalazłszy się u siebie, otworzyła ów list, który brzmiał, jak następuje:

L I S T

Zanadto cię kochałam, aby cię zostawiać w mniemaniu, że moja odmiana jest skutkiem płochości; dowiedz się, że niewierność twoja jest jej powodem. Zdumiewa cię, że mówię o twojej niewierności; skrywałeś ją tak zręcznie, a ja tak siliłam się ukryć przed tobą, że wiem o niej, iż słusznie możesz się dziwić, że mi jest znana. Ja sama się dziwię, że mogłam się niczym nie zdradzić. Nie było w świecie podobnego bólu. Sądziłam, że kochasz mnie namiętnie; nie kryłam ci mojej miłości, i oto wówczas gdy ci dawałam pełne jej dowody, dowiedziałam się, że mnie oszukujesz, że kochasz inną i że, wedle wszelkich pozorów, poświęcasz mnie dla nowej kochanki. Dowiedziałam się o tym w dniu gonitwy do pierścienia; dlatego tam nie poszłam. Udałam, że jestem chora, aby ukryć moje męczarnie; ale zachorowałam naprawdę, ciało moje nie mogło znieść takiego ciosu. Kiedy mi było trochę lepiej, udałam, że jestem jeszcze chora, chcąc mieć pozór niewidzenia cię i niepisania do ciebie. Chciałam mieć czas, aby obmyślić, jak mam z tobą postąpić; po dwadzieścia razy na przemian zamierzałam coś i porzucałam; ale w końcu uznałam cię niegodnym, byś widział mą boleść, i postanowiłam nie pokazać ci jej. Chciałam zranić twą dumę, pozwalając ci wierzyć, że miłość moja słabnie sama z siebie. Chciałam zmniejszyć w ten sposób cenę ofiary, jaką z niej czynisz; nie chciałam, abyś miał przyjemność pokazywania, jak bardzo cię kocham, i przypodobania się tym swojej damie. Postanowiłam pisywać do ciebie listy mdłe i letnie; dowieść tej, której je oddajesz, że przestaję cię kochać. Nie chciałam, by miała rozkosz świadomości, że ja wiem, iż ona święci nade mną zwycięstwo; nie chciałam zwiększać jej tryumfu rozpaczą i wymówkami. Sądziłam, że nie ukarzę cię dosyć zrywając z tobą i że zadałabym ci jedynie nieznaczny ból przestając cię kochać, wówczas gdy ty mnie nie kochasz. Chciałam, abyś mnie pokochał po to, byś czuł mękę niewzajemności, którą ja czułam tak okrutnie. Sądziłam, że jeżeli coś mogłoby rozbudzić twe dawne uczucia, to mniemanie, że moje serce się zmieniło; ale chciałam ci to okazać udając, że to ukrywam, i tak, jak gdybym nie miała siły tego wyznać. Tak wreszcie postanowiłam; ale jakże mi było trudno zdobyć się na to postanowienie; jakże, skoro cię ujrzałam, wydało mi się niemożliwe! Po sto razy

miałam już wybuchnąć wymówkami i płaczem; ówczesny stan zdrowia pomógł mi utaić wzruszenie i zgryzotę. Podtrzymywała mnie później przyjemność grania komedii z tobą, jak ty grałeś ją ze mną; mimo to zadawałam sobie taki gwałt, aby ci mówić i pisać, że cię kocham, że spostrzegłeś odmianę moich uczuć wcześniej, niż to było mym zamiarem. Dotknęło cię to; robiłeś mi wymówki. Staralam się uspokoić cię; ale czyniłam to z takim przymusem, iż tym bardziej cię to upewniło, że cię nie kocham. Słowem, spełniłam wszystko, co zamierzyłam. Kaprys twego serca ściągnął cię z powrotem ku mnie, w miarę jak widziałeś, że się oddalam. Syciłam się całą rozkoszą, jaką może dać zemsta; miałam wrażenie, że mnie kochasz bardziej niż kiedykolwiek, a ja ci okazywałam, że cię już nie kocham. Mogłam sądzić, że zupełnie opuściłeś tę, dla której mnie wprzód porzuciłeś. Miałam też przyczyny wierzyć, że nigdy jej nie mówiłeś o mnie; ale twój powrót i twoja dyskrecja nie mogły naprawić twego zmiennictwa. Twoje serce dzieliło się między mnie a inną, oszukiwałeś mnie; to wystarczy, aby mi skazać rozkosz twej miłości, takiej, na jaką sądziłam, że zasługuję, i aby mnie utrwalić w postanowieniu – które cię tak dziwi – aby cię już nie oglądać na oczy.

Pani de Clèves przebiegła oczyma list, odczytała go kilka razy, nie wiedząc, co czyta. Widziała tylko, że pan de Nemours nie kocha jej tak, jak mniemała, i że kocha inne, które zwodzi tak samo jak ją. Co za widok i co za świadomość dla osoby takiej jak ona, żywiącej gwałtowne uczucie, z którym zdradziła się przed człowiekiem, jak się okazuje niegodnym, i przed innym, którym wzgardziła dla miłości tamtego! Żaden ból nie da się porównać z jej bólem; miała uczucie, że najbardziej dolega jej to, co zaszło w ciągu owego dnia, i że gdyby pan de Nemours nie mógł się domyślać, że ona go kocha, nie dbałaby o to, że on kocha inną. Ale łudziła się sama; ten ból, który jej się zdawał tak nieznośny, to była zazdrość i wszystkie jej męczarnie. Wiedziała z tego listu, że pan de Nemours od dawna ma jakąś miłostkę. Uważała, że kobieta, która pisała ten list, to była osoba nieprzeciętna, godna miłości; ta kobieta miała więcej charakteru niż ona sama; zazdrościła jej owej siły, z jaką potrafiła ukryć swe uczucia przed panem de Nemours. Widziała z zakończenia listu, że ta osoba wierzy w jego miłość. Pani de Clèves pomyślała, że owa dyskrecja, którą książę jej okazywał i która ją tak ujęła, to może jedynie skutek jego miłości dla tamtej i obawa narażenia się. Przychodziło jej na myśl wszystko, co tylko mogło pomnożyć jej rozpacz i zgryzotę. Jakimiż wyrzutami obsypywała sama siebie; jakże wspominała rady, które dawała jej matka! Jak żałowała, że się nie uparła usunąć od świata wbrew panu de Clèves lub że nie poszła za swą myślą wyznając mężowi skłonność swą dla pana de Nemours. Lepiej byłaby uczyniła wyznając ją mężowi, którego znała dobroć i który miałby interes w tym, aby to ukrywać, niż odsłaniając ją człowiekowi, który był tego niegodny, który ją zwodził, który ją może poświęcił dla innej, który w miłości jej widział jedynie cel dumy i próżności. Słowem, sądziła, że wszystkie niedole i wszystkie ostateczności są mniejsze niż to, że się zdradziła przed panem de Nemours i że się dowiedziała, iż on kocha inną. Jedyńą jej pociechą była myśl, że przynajmniej po tym, czego się dowiedziała, nie potrzebuje się niczego lękać po sobie i że to ją w zupełności wyleczy z jej skłonności.

Zaledwie pomyślała o rozkazie królewicowej, aby zająć do niej, gdy będzie

się udawała na spoczynek; położyła się do łóżka i udała, że jest cierpiąca; tak, iż kiedy pan de Clèves wrócił od króla, powiedziano mu, że żona śpi; ale ona była daleka od spokoju, który wiedzie do snu. Spędziła noc snując rozpaczliwe myśli i odczytując nieszczęsny list.

Pani de Clèves nie była jedyną osobą, której spokój mącił ów list. Widam de Chartres, który go zgubił, nie zaś pan de Nemours, wielce był z tego powodu niespokojny; spędził cały wieczór u pana de Guise, który wydał ucztę dla swego szwagra księcia Ferrary i dla całej dworskiej młodzieży. Przypadek zrządził, że przy wieczerzy mówiono o pięknych listach. Widam de Chartres powiedział, że ma przy sobie najpiękniejszy ze wszystkich, jakie kiedykolwiek napisano. Naglono go, aby pokazał: wzdragał się. Pan de Nemours droczył się z nim, że nie ma żadnego listu i mówi tylko tak przez próżność. Widam odpowiedział, że mimo iż pan de Nemours wystawia jego dyskrecję na ciężką próbę, przecież nie pokaże listu; ale przeczyta kilka ustępów, które wystarczą na dowód, że mało kto otrzymuje podobne. Za czym sięgnął po list i nie znalazł go; szukał go tak niespokojny, że poniechano żartów. Wyszedł wcześniej i udał się skwapliwie do domu zobaczyć, czy nie zostawił tam owego listu. Szukał go jeszcze, kiedy wszedł pokojowiec królowej, aby mu powiedzieć, że wicehrabina d'Uzes uważa za konieczne przestrzec go pilnie, iż mówiono u królowej, że wypadł mu z kieszeni, podczas gdy grał w piłkę, list miłosny; opowiadano już treść listu; królowa zażądała go od jednego ze swoich dworzan, ale ów odpowiedział, że oddał list Chastelartowi.

Pokojowiec powiedział jeszcze widamowi wiele innych rzeczy, które przejęły go tym większym niepokojem. Wyszedł natychmiast, aby się udać do pewnego dworzanina, który żył blisko z Chastelartem; kazał go obudzić mimo późnej godziny, aby poszedł odebrać ten list nie mówiąc, ani kto go żąda, ani kto go zgubił. Chastelart, który nabił sobie głowę, że list jest do pana de Nemours i że ów książe kocha się w królewicowej, nie wątpił, że to on upomina się o list. Odpowiedział ze złośliwą radością, że oddał list królewicowej. Dworzanin wrócił z tym do widama. Do poprzednich jego niepokojów odpowiedź ta przydała nowe. Wahał się długo, co ma uczynić, w końcu uznał, że jedynie pan de Nemours może go ocalić.

Udał się do niego i wszedł do pokoju, gdy ledwie zaczynało świtać. Książe spał spokojnym snem; wczorajsze zachowanie pani de Clèves pograżyło go w lubym marzeniu. Bardzo się zdziwił, skoro go obudził widam de Chartres; spytał, czy to przez zemstę za uszczyпки przy wieczerzy mać mu spoczynek. Ale poznał rychło z twarzy widama, że chodzi o coś poważnego.

– Przychodzę ci powierzyć najważniejszą sprawę mego życia – rzekł. – Wiem, że nie masz powodu być mi za to zobowiązany, skoro czynię to w chwili, gdy potrzebuję twej pomocy; ale wiem także, że straciłbym twój szacunek, gdybym ci wyznał wszystko, co ci powiem, nie będąc zmuszony koniecznością. Zgubiłem ów list, o którym mówiłem wczoraj; jest dla mnie rzeczą niezmiernie wagi, aby nikt nie dowiedział się, że był pisany do mnie. Widziało go wielu ludzi obecnych wczoraj przy grze w piłkę; ty byłeś tam także; błagam cię na wszystko, powiedz, że to ty go zgubiłeś.

– Musisz chyba przypuszczać, że ja nie mam swojej damy – odparł pan de Nemours z uśmiechem – aby mi czynić podobną propozycję i wyobrażać sobie, że nie ma nikogo, komu bym się mógł narazić pozwalając mniemać, że ja otrzymuję podobne listy.

– Proszę cię – rzeki widam – wysłuchaj mnie poważnie. Jeżeli masz kochankę, o czym nie wątpię, mimo że nie wiem, kto ona jest, łatwo ci będzie się usprawiedliwić, i ja ci dostarczę po temu niezawodnych sposobów; gdybyś się nawet nie usprawiedliwił, będzie to rzecz krótkotrwałej sprzeczki. Ja natomiast okrywam hańbą osobę, która mnie gorąco kochała i która jest najgodniejsza czci; z drugiej zaś strony ściągam na siebie nieubłaganą nienawiść, którą przyplacę fortuna, a może czymś więcej.

– Nie rozumiem tego, co mi powiadasz – odparł pan de Nemours – ale każesz mi mniemać, że pogłoski o względach, jakimi pewna wielka księżniczka cię darzyła, nie są zupełnie fałszywe.

– Bo też nie są fałszywe – odparł widam – dalby Bóg, aby były fałszywe: nie znajdowałbym się w takim kłopotcie! Ale muszę ci opowiedzieć wszystko, co się stało, abyś zrozumiał, czego mi się trzeba lękać.

Od czasu jak jestem na dworze, królowa traktowała mnie zawsze z osobliwą uprzejmością, tak iż miałem przyczynę sądzić, że nie jestem jej niemiły; mimo to nie zaszło nic między nami i nie myślałem nigdy wykroczyć wobec niej poza uczucia szacunku. Byłem nawet bardzo zakochany w pani de Thémines; znając ją, łatwo pojąć, że można ją namiętnie kochać, gdy się ma jej wzajemność; a ja ją miałem. Blisko dwa lata temu, kiedy dwór był w Fontainebleau, miałem parę razy sposobność rozmawiać z królową w godzinach, gdy było bardzo mało ludzi. Zdawało mi się, że to, co mówię, podoba się jej i że podziela we wszystkim moje poglądy. Jednego dnia mówiliśmy między innymi o zaufaniu. Rzekłem, iż nie ma osoby, do której bym miał pełne zaufanie. „Co do mnie – mówiłem – uważam, że zawsze się tego żałuje, i wiem wiele rzeczy, których nie zwierzyłem nikomu.” Królowa rzekła, iż ceni mnie za to tym więcej; nie spotkała (mówiła) we Francji nikogo, kto by był dyskretny, i to jej było bardzo przykre, gdyż odjęło jej przyjemność zwierzenia się komu. Potrzebna to jest rzecz (mówiła) w życiu mieć kogoś, do kogo można by gadać, zwłaszcza dla osób jej stanu. W następane dni wróciła jeszcze kilka razy do tego przedmiotu; opowiedziała mi nawet rzeczy dosyć osobliwe. Słowem, miałem wrażenie, że chce się upewnić o mojej dyskrecji i że ma ochotę zwierzyć mi swoje sekrety. Ta myśl przywiązała mnie do niej, ujęło mnie to wyróżnienie i zacząłem się jej zalecać żywiej niż poprzednio. Jednego wieczora, kiedy król i wszystkie damy wyjechali konno do lasu, ona zaś nie chciała im towarzyszyć czując się nieco cierpiąca, zostałem przy niej. Zeszła nad staw i opuściła ramię swoich giermków, aby się przechadzać swobodniej. Pocho dziwszy tak nieco, zbliżyła się do mnie i kazała mi iść za sobą.

„Chcę z tobą mówić – rzekła – ujrzysz z tego, co ci powiem, że jestem ci życzliwa.” Urwała i, patrząc na mnie bystro, podjęła znowu: „Jesteś zakochany i stąd, że się nie zwierzasz nikomu, myślisz, że o twej miłości nikt nie wie; ale wiedzą o niej nawet ci, których to obchodzi. Śledzą cię, wiedzą, gdzie się widzisz z kochanką, chcą cię zaskoczyć. Nie wiem, kto ona jest; nie pytam o to; chcę cię jedynie uchronić od nieszczęść, które ci grożą.” Patrz oto, proszę, jaką zasadzkę zastawiła mi królowa i jak trudno było w nią nie wpaść. Chciała się dowiedzieć, czy jestem zakochany; i, nie pytając w kim, troszcząc się rzekomo tylko o moje dobro, oddaliła pozór, iż mówi jedynie przez ciekawość lub z jakimś zamiarem.

Mimo to wbrew wszystkim pozorom odgadłem prawdę. Kochałem panią de Themines; ale mimo że kochany wzajem, nie byłem dość szczęśliwy, aby

się z nią widywać poufnie i obawiać się zaskoczenia; rozumiałem tedy, że to nie ja królowa ma na myśli. Wiedziałem też, że mam porozumienie z inną kobietą, mniej piękną i mniej surową niż pani de Themines, i nie było niemożliwe, że odkryto miejsce, gdzie ją widywałem; ponieważ jednak mało o nią dbałem, łatwo mi było uchronić się od wszystkich niebezpieczeństw, przestając ją widywać. Toteż postanowiłem nic nie mówić królowej, a zapewnić ją przeciwnie, że już od dawna poniechałem miłości kobiet, które mi były dostępne, ponieważ zdały mi się wszystkie nie dość godne serca zacnego człowieka i że jedynie coś o wiele powyżej nich mogłoby mnie znieść.

„Nie odpowiadasz mi szczerze – rzekła królowa. – Wiem, że jest przeciwnie, niż powiadasz. Sposób, w jaki mówię z tobą, powinien by cię skłonić, abys mi nic nie ukrywał. Chcę cię liczyć do moich przyjaciół – ciągnęła – ale nie chcę, dając ci to miejsce, być nieświadoma innych twoich związków. Zastanów się, czy chcesz kupić mą przyjaźń za cenę tego zwierzenia; daję ci dwa dni, ale po tym czasie zastanów się dobrze, co mi powiesz, i pamiętaj, iż jeżeli później przekonam się, żeś mnie oszukał, nie daruję ci tego nigdy w życiu.”

To rzekłszy, królowa oddaliła się nie czekając odpowiedzi. Wyobrażasz sobie, że to, co mi powiedziała, zajechało mi mocno w głowę. Dwa dni, których mi użyczyła, nie wydały mi się zbyt długie na tę decyzję. Wiedziałem, że ona chce wiedzieć, czy ja jestem zakochany, i że nie chciałyby, aby tak było. Wiedziałem skutki i następstwa tego, co postanowię; poufny stosunek z królową to było coś, co niemało głaskało moją próżność, zwłaszcza z królową, która jest jeszcze bardzo powabna. Z drugiej strony, kochałem panią de Themines i mimo że sprzeniewierzyłem się jej po trosze dla kobiety, o której ci mówiłem, nie mogłem się zdobyć na zerwanie. Wiedziałem niebezpieczeństwo, na jakie się narażam oszukując królowę i jak trudno było ją oszukać; mimo to nie mogłem się zdobyć na odrzucenie tego, co mi los nastęrczył, i puściłem się na hazard. Zerwałem z ową kobietą, z którą stosunki mogły wyjść na jaw; co zaś do pani de Themines, miałem nadzieję, że zdołam rzecz utaić.

Po upływie dwóch dni naznaczonych przez królowę, kiedy wchodziłem do komnaty, gdzie damy siedziały kołem, zagadnęła mnie głośno z powagą, która mnie zdziwiła: „Czy nie pomyślałeś o sprawie, którą ci zleciłam, i czy wiesz całą prawdę?” – „Tak, pani – odparłem – jest tak, jak rzekłem Waszej Królewskiej Mości.” – „Przyjdź wieczorem w godzinie, o której zwykłam pisać – odparła – dam ci dalsze zlecenia.” Złożyłem głęboki ukłon, nie odpowiadając nic, i nie omieszkałem stawić się w oznaczonej godzinie. Zastałem ją w galerii; był z nią sekretarz i parę dworek. Skoro tylko mnie ujrzała, podeszła i odciągnęła mnie na koniec galerii. „I cóż – rzekła – czy dobrze zastanowiłeś się nad tym, że mi nie masz nic do powiedzenia? I czy moje postępowanie z tobą nie zasługuje, abys był szczerzy?” – „Dlatego że jestem z Waszą Miłością szczerzy – odparłem – nie mam Jej nic do powiedzenia; przysięgam Waszej Królewskiej Mości z całym szacunkiem, jaki Jej jestem winien, że nie łączy mnie nic z żadną z pań na dworze.” – „Chcę wierzyć – odparła królowa – ponieważ tego pragnę; a pragnę tego, ponieważ pragnę, abys mi był całkowicie oddany; nie podobna zaś byłoby mi zaufać twej przyjaźni, gdybyś był w kimś zakochany. Nie można zawierzyć się zakochanym, nie można być pewnym ich dyskrecji. Są nadto roztargnieni i zajęci; kochanka jest ich główną troską, która nie godzi się ze sposobem, w jaki chcę, abys mi był oddany. Pamiętaj

tedy, iż na słowo, które mi dałeś, że nie masz żadnego innego zobowiązania, wybieram ciebie, aby ci dać moje pełne zaufanie. Pamiętaj, że chcę mieć całkowicie twoje; abyś nie miał ani przyjaciela, ani przyjaciółki prócz tych, którzy mi będą mili, i abyś poniechał wszelkiego innego starania prócz tego, aby mi być miłym. Nie żądam, byś się wyrzekł dbałości o swą fortunę; zajmę się nią lepiej niż ty sam i co bądź bym uczyniła dla ciebie, będę dobrze wynagrodzona, jeśli ty będziesz takim, jak się spodziewam. Wybieram cię, aby ci powierzyć wszystkie moje zgryzoty i abyś mi pomógł je ukoić. Możesz mniemać, że nie są one małe. Znoszę na pozór bez zbytniej przykrości przywiązanie króla do pani de Valentinois; ale jest mi ono nieznośne. Ona włada królem, oszukuje go, gardzi mną, wszyscy moi ludzie są jej oddani. Królewicowa, synowa moja, dumna ze swej piękności i z wpływu swoich wujów, nie oddaje mi żadnej powinności. Konetabl de Montmorency jest panem króla i królestwa; nienawidzi mnie i okazał mi to w sposób, którego nie mogę zapomnieć. Faworyt króla, marszałek de Saint-André, to młody zuchwalec, który też nielepiej obchodzi się ze mną. Szczegóły moich nieszczęść przejęłyby cię litością; nie odważyłam się dotąd zaufać nikomu; zawierzam się tobie, spraw, bym tego nie żałowała i bądź moją jedyną pociechą.” Oczy królowej zaczerwieniły się, kiedy domawiała tych słów; myślałem, że jej padnę do nóg, tak szczerze byłem wzruszony jej dobrocią. Od tego dnia miała do mnie zupełne zaufanie; nie czyniła nic, o czym by mi nie mówiła, i zachowałem z nią stosunki, które trwają jeszcze.

CZĘŚĆ TRZECIA

– Jednakże, mimo że przejęty i zatrudniony tym nowym związkiem z królową, przywiązany byłem do pani de Thémînes skłonnością, której nie mogłem przemóc. Zdawało mi się, że mnie przestaje kochać; i zamiast (jakbym uczynił, gdybym był rozsądny), by skorzystać z jej odmiany, aby się łatwiej uleczyć, miłość moja wzmogła się od tego. Postępowałem tak nieostrożnie, że królowa zaczęła się domyślać tej miłości. Zazdrość wrodzona jest osobom z jej kraju; a może królowa ma dla mnie uczucia żywsze jeszcze, niż sama przypuszcza? Ale w końcu pogłoski o mojej miłości przyprawiły ją o taki niepokój i zgryzotę, iż sto razy myślałem, że jestem zgubiony w jej oczach. Uspokoilem ją wreszcie siłą starań, uległości i kłamliwych przysięg; ale nie byłbym zdołał oszukać jej długo, gdyby odmiana pani de Thémînes nie oddaliła mnie od niej pomimo mej woli. Okazywała mi, że mnie już nie kocha; i byłem o tym tak przekonany, że trzeba mi było przestać ją dręczyć dłużej i zostawić ją w spokoju. W jakiś czas potem przesłała mi ów list, który zgubiłem. Dowiedziałem się z niego, że wie o stosunkach moich z ową kobietą, o której ci mówiłem, i że to była przyczyna jej odmiany. Ponieważ nie miałem wówczas już nic, co by mnie dzieliło, królowa dosyć była rada ze mnie; że jednak uczucia moje dla niej nie są tego rodzaju, aby mnie czyniły niezdolnym do innej miłości, a serce to nie sługa, zakochałem się w pani de Martigues, do której miałem już znaczną skłonność wówczas, gdy była panną Villemontais, dworką królewicowej. Sądzę, że nie jest mi nieprzychylna; dyskrekcja moja, której nie zna wszystkich przyczyn, usposabia ją życzliwie. Królowa nie posądza mnie o nią; ale ma inne podejrzenia nie mniej dotkliwie. Ponieważ pani de Martigues jest wciąż u królewicowej, zachodzę tam o wiele częściej niż zwykle. Królowa wyobraziła sobie, że to w królewicowej jestem zakochany. Stanowiskiem jest jej równa, przewaga zaś urody i młodości budzą w niej zazdrość dochodzącą do szalu oraz nienawiść, której nie umie już ukryć. Kardynał lotaryński, który od dawna pono zabiega o względy królowej i który widzi dobrze, że ja zajmuję pożądaną miejsce, wdał się, pod pozorem pogodzenia jej z królewicową, w przyczyny ich sporu. Nie ma wątplenia, że przejrzał prawdziwy powód kwasu królowej i z pewnością szyje mi buty, jak może, nie zdradzając swej intencji. Oto jak stoją rzeczy w tej chwili. Osądź, jakie następstwa może mieć list, który zgubiłem i który nieszczęście moje kazało mi włożyć do kieszeni, aby go oddać pani de Thémînes. Jeśli królowa dostanie ten list, pozna, że ją oszukiwałem i że prawie w tym samym czasie, kiedy ją zdradziłem dla pani de Thémînes, zdradzałem panią de Thémînes dla in-

nej; osądź, jakie jej to da pojęcie o mnie i czy będzie mogła kiedy wierzyć moim słowom. Jeżeli nie dostanie tego listu, co ja jej powiem? Wie, że go oddano do rąk królewicowej; pomyśli, że Chastelart poznał pismo królewicowej i że list jest od niej; wyobrazi sobie, że osobą, o której mowa w liście, jest może ona sama; słowem, nie ma rzeczy, której by nie mogła pomyśleć, której bym się nie musiał obawiać. Dodaj, że ja się kocham w pani de Martigues; że z pewnością królewicową pokaże jej ten list; oczywiście będzie przypuszczała, że jest niedawno pisany; tak więc czeka mnie niełaska zarówno osoby, którą gorąco kocham, jak osoby, której trzeba mi się lękać ponad wszystko. Wiesz, czy nie mam przyczyny zaklinać cię, abys powiedział, że list jest twój, i błagać na wszystko, abys go poszedł odebrać od królewicowej.

– Widzę w samej rzeczy – rzeki pan de Nemours – że nie można być w większym kłopotcie; ale trzeba przyznać, żeś na niego zasłużył. Obwiniano mnie, że nie jestem wiernym kochankiem i że mam po kilka miłostek na raz: ale ty przewyższasz mnie tak dalece, że nie śmiałybym nawet zamarzyć rzeczy, które ty spełniłeś. Czy mogłeś mniemać, że zachowasz panią de Thémines, wiążąc się z królową? I czyś się spodziewał, że, związawszy się z królową, będziesz ją mógł oszukiwać? Jest Włoszką i królową, i tym samym podejrzliwą, zazdrośną i dumną: kiedy twoje szczęście, raczej niż twój rozsądek, zwolniło cię z dawnych zobowiązań, podjąłeś nowe, i wyobrażałeś sobie, iż na oczach całego dworu będziesz mógł kochać panią de Martigues tak, żeby królowa tego nie spostrzegła? Nie mogłeś dołożyć zbyt wiele starań, aby wynagrodzić królowej wstyd, iż uczyniła pierwsze kroki. Zapomniała dla ciebie o wszystkim; twoja dyskrecja broni ci powiedzieć mi tego, a moja pytać o to; ale to pewna, że cię kocha, że ci nie ufa i że oczywistość jest przeciw tobie.

– Czy tobie przystało obsypywać mnie wyrzutami – przerwał widam – i czy twoje doświadczenie nie powinno raczej mieć pobłażania dla moich błędów? Przyznaję chętnie, żeś zawinił; ale pomyśl, błagam, jak mnie ratować z przepaści. Sądzę, iż trzeba, abys poszedł do królewicowej, skoro tylko się obudzi, i poprosił jej o ów list, jakoby zgubiony przez ciebie.

– Powiedziałem ci już – odparł pan de Nemours – że propozycja twoja jest trochę dziwna i że mój osobisty interes niełatwo się z nią zgodzi; ale co więcej, widziano, jak ten list wypadł z twojej kieszeni, i trudno byłoby mi kogoś przekonać, że wypadł z mojej.

– Sądziłem, żeś ci powiedział – odparł widam – że królewicowej powiedziano, iż list wypadł tobie.

– Jak to! – odparł żywo pan de Nemours, który ujrzał w tej chwili niebezpieczeństwo, na jakie go to naraża wobec pani de Clèves – powiedziano królewicowej, że to ja zgubiłem ów list?

– Tak – odparł widam. – A omyłka ta wynika stąd, że kilku dworzan znajdowało się w pokoju, gdzie były nasze ubrania, i że twoi ludzie i moi przyszli po nie równocześnie. W tej chwili wypadł list; dworzanie podnieśli go i przeczytali głośno. Jedni sądzili, że jest do ciebie; drudzy, że do mnie. Chastelart, który go wziął i u którego się upominałem, powiedział mi, że dał ów list królewicowej jako należący do ciebie; ci, którzy opowiadali o tym królowej, powiedzieli, na nieszczęście, że należy do mnie; tak więc możesz łatwo spełnić moją prośbę i wybawić mnie z kłopotu.

Pan de Nemours zawsze bardzo kochał widamą, a pokrewieństwo jego z panią de Clèves uczyniło mu go jeszcze droższym. Mimo to nie mógł się zdo-

być na to, aby się narazić na to, iż pani de Clèves może usłyszeć o tym liście jako o czymś, co jego dotyczy. Zadumał się głęboko, a widam domyślił się mniej więcej przedmiotu jego dumania.

– Rozumiem – rzekł – że obawiasz się pokłócić ze swą damą; byłbym gotów zgoła przypuszczać, że to królewicowa, gdyby nie to, że tak mało objawiasz zazdrości o pana d'Anville. Ale jak bądź się rzeczy mają, nie godzi się, abyś poświęcał swój spokój dla mojego; chętnie też dam ci sposoby dowiedzenia tej, którą kochasz, że list pisano do mnie, a nie do ciebie. Oto bilecik pani d'Amboise, przyjaciółki, której pani de Thémynes zwierzyła się ze swych uczuć. Bilecikiem tym prosi mnie o zwrot listu przyjaciółki, tego właśnie, który zgubiłem; bilecik ma mój adres, treść nie zostawia żadnej wątpliwości, że list, o który się upomina, to ten sam, który znaleziono. Oddaję ten bilecik w twoje ręce, pokaż go swojej pani na uniewinnienie. Zaklinam cię, nie trać chwili i śpiesz zaraz rano do królewicowej.

Pan de Nemours przyrzekł i wziął bilecik pani d'Amboise; ale zamiarem jego nie było iść do królewicowej, miał coś pilniejszego na głowie. Nie wątpił, że już powiedziano pani de Clèves o liście, i nie mógł znieść, aby osoba, którą kochał bez pamięci, mogła przypuszczać, że on ma konszachty z inną.

Udał się do niej w porze, gdy przypuszczał, że już nie śpi, i kazał oznajmić, że nie żądałby zaszczytu oglądania jej o tak niezwykłej godzinie, gdyby ważna sprawa nie zmuszała go do tego. Pani de Clèves była jeszcze w łóżku, z duszą stroskaną i wzburzoną smutnymi myślami, jakie ją oblegały przez noc. Niezmiernie się zdziwiła, kiedy jej powiedziano, że pan de Nemours chce z nią mówić; podrażniona, odpowiedziała bez wahania, że jest chora i że nie może go przyjąć.

Książę nie uraził się tą odmową; oznaka chłodu, w chwili gdy pani de Clèves mogła działać pod wpływem zazdrości, nie była złą wróżbą. Udał się do księcia de Clèves i oznajmił mu, że idzie od jego żony; że bardzo mu przykro, iż nie mógł się z nią zobaczyć, ile że ma z nią do pomówienia w sprawie nader ważnej dla widama de Chartres. W paru słowach dał do zrozumienia panu de Clèves, jak wielkiej rzecz jest wagi, za czym pan de Clèves zaprowadził go natychmiast do pokoju żony. Gdyby nie mrok, jaki panował, z trudem zdołałaby ukryć pomieszenie i zdumienie, kiedy ujrzała pana de Nemours wchodzącego z mężem. Pan de Clèves znalazł jej, że chodzi tu o list, że potrzebna jest jej pomoc w sprawie widama i że jej rzeczą jest rozpatrzyć z panem de Nemours, co trzeba uczynić; on sam śpieszy do króla, który po niego właśnie posyła.

Pan de Nemours został z panią de Clèves, czego właśnie pragnął.

– Przychodzę panią spytać – rzekł – czy królewicowa nie mówiła pani o liście, który Chastelart oddał jej wczoraj?

– Mówiła mi coś o tym – odparła pani de Clèves – ale nie widzę, co ten list ma wspólnego ze sprawami mego wuja, i mogę pana zapewnić, że go tam nie wymieniono.

– To prawda – odparł pan de Nemours – że go nie wymieniono, ale mimo to list jest do niego i bardzo dlań ważne jest, aby pani ten list wydestała od królewicowej.

– Trudno mi pojąć – odparła pani de Clèves – czemu mu tak zależy na tym, aby ten list był znany, i czemu trzeba go żądać w jego imieniu.

– Jeśli pani raczy mi poświęcić chwilę czasu – rzekł pan de Nemours – opo-

wiem całą sprawę. Dowie się pani rzeczy tak ważnych dla widama, że nie powierzyłbym ich nawet księciu de Clèves, gdybym nie potrzebował jego pomocy dla uzyskania zaszczytu widzenia pani.

– Sądzę, że wszystko, co by się pan trudził mówić, byłoby zbyteczne – odparła pani de Clèves dość sucho – lepiej będzie, jeśli pan pójdzie wprost do królewicowej i, nie szukając wybiegów, wyzna, że panu zależy na owym liście, skoro jej już powiedziano, że należy do pana.

Złość, jaką pan de Nemours czuł w głosie pani de Clèves, sprawiła mu najwyższą przyjemność, jakiej zaznał kiedy, i przeważyła jego żądzę uniewinnienia się.

– Nie wiem, pani – odparł – co ktoś mógł powiedzieć królewicowej; ale ten list nie dotyczy mnie w niczym, pisany jest do widama.

– Wierzę – odparła pani de Clèves – ale królewicowej powiedziano co innego, i nie wyda się jej prawdopodobne, aby listy widama wypadały panu z kieszeni. Dlatego też, o ile pan nie ma jakiejś nieznanym mi przyczyny, aby ukrywać prawdę przed królewicową, radzę panu wyznać jej wszystko.

– Nie mam nic do wyznania – odparł – list nie jest do mnie i jeżeli kogo pragnę o tym przekonać, to nie królewicową. Ale, pani, ponieważ chodzi tu o los widama, pozwól, abym ci powiedział rzeczy godne zarazem twojej ciekawości.

Pani de Clèves okazała swoim milczeniem, że gotowa jest wysłuchać; za czym pan de Nemours opowiedział jej najzwyczajniej, jak mógł, wszystko, czego się świeżo dowiedział od widama. Mimo że to były rzeczy zdolne zadziwić i przykuć uwagę, pani de Clèves wysłuchiwała ich tak chłodno, iż zdawało się, że nie wierzy w ich prawdziwość lub że jej są obojętne. W tym usposobieniu wytrzymała aż do chwili, gdy pan de Nemours wspomniał o bilecie pani d'Amboise pisanym do widama i mieszczącym dowód wszystkiego, co opowiedział przed chwilą. Wiedząc, że ta kobieta jest przyjaciółką pani de Thémines, pani de Clèves ujrzała w opowieści pana de Nemours niejakie podobieństwo do prawdy, które zrodziło w niej myśl, że może list nie był pisany do niego. Ta myśl wyrwała ją nagle i mimo jej woli z dotychczasowego chłodu. Książę, przeczytawszy jej ten bilet, będący jego usprawiedliwieniem, podał go jej, aby przeczytała sama i obejrzała pismo; nie mogła się wstrzymać, aby nie wziąć listu, nie sprawdzić, czy pisany jest do widama, i nie przeczytać go w całości, dla przekonania się, czy list, o którego zwrot chodzi, to ten sam, który miała w ręku. Pan de Nemours przytoczył jeszcze inne argumenty; że zaś łatwo jest przekonać tym, co jest miłe, dowiódł pani de Clèves, że list ów nie tyczy się jego.

Zaczęła wówczas roztrząsać wspólnie kłopoty i niebezpieczeństwa, w jakich znalazł się widam, i ganić jego szpetne postępowanie, i szukać sposobów ratunku; dziwiła się postąpieniu królowej, przyznała się panu de Nemours, że ma u siebie list; słowem, skoro tylko uwierzyła w jego niewinność, ogarnęła jasnym i spokojnym umysłem wszystkie te rzeczy, których zrazu jakoby nie raczyła słyszeć. Zgodzili się, że nie trzeba oddawać listu królewicowej z obawy, aby go nie pokazała pani de Martigues, która zna pismo pani de Thémines i która, interesując się silnie widamem, odgadłaby łącznie, że list pisany jest do niego. Uznali także, że nie trzeba mówić królewicowej wszystkiego, co tyczyło królowej jej świekry. Pod pozorem ratunku wuja, pani de Clèves podejmowała się z radością przechować wszystkie tajemnice, które jej pan de Nemours powierzył.

Książę nie byłby cały czas mówił o sprawach widama i w tej chwili swobodnej rozmowy byłby zaczerpnął śmiałości, jakiej dotąd jeszcze nie miał, gdyby nagle nie doniesiono pani de Clèves, że królewicowa wzywa ją do siebie. Pan de Nemours musiał odejść; pośpieszył do widama, aby mu oznajmić, iż, rozstawszy się z nim, uznał za właściwsze zwrócić się do pani de Clèves jako jego siostrzenicy niż iść prosto do królewicowej. Nie zbrakło mu na racjach, aby zyskać aprobatę i obudzić w widamie wiarę w pomyślny skutek.

Tymczasem pani de Clèves ubrała się spiesźnie, aby się udać do królewicowej. Ledwie zjawiała się w komnacie, kiedy królewicowa kazała się jej zbliżyć i rzekła po cichu:

– Od dwóch godzin czekam na ciebie, nigdy nie byłam w takim kłopotcie jak dziś rano. Królowa słyszała o liście, który ci dałam wczoraj; przekonana jest, że to widam zgubił list. Wiesz dobrze, że on ją trochę obchodzi; kazała szukać listu, zażądała go od Chastelarta;

powiedział, że oddał go mnie; zażądano go ode mnie pod pozorem, że to ładny list i że królowa jest go ciekawa. Nie śmiałam powiedzieć, że ty go masz; bałam się, iż wyobraziłaby sobie, że oddałam go tobie z przyczyny wuja twego, widama, i że mam z nim jakieś konszachty. Już uważałam, że królowa nierada widzi, że on mnie często odwiedza, tak iż powiedziałam, że list jest w sukniach, które miałam wczoraj, i że osoba mająca od nich klucz wyszła. Daj mi prędko ten list – dodała – abym go mogła posłać królowej i abym go przeczytała wprzód sama dla sprawdzenia, czy nie znam pisma.

Pani de Clèves uczuła się jeszcze bardziej zakłopotana, niż się spodziewała.

– Nie wiem, co pani pocznie – odparła – bo pan de Clèves, któremu dałam list do przeczytania, oddał go panu de Nemours, który przyszedł wcześniej rano prosić, aby go od pani wy dostał. Pan de Clèves przyznał się niebacznie, że ma ów list, i miał tę słabość, że ustąpił prośbom pana de Nemours.

– Wprawiasz mnie w największy kłopot – odparła królewicowa – źleś zrobiła oddając list panu de Nemours; skoro ja ci go dałam, nie powinnaś go była wydawać bez mego pozwolenia. Co ja teraz powiem królowej i co ona sobie wyobrazi? Będzie sądziła, i to z pozorem prawdy, że ten list mnie dotyczy i że jest coś między widamem a mną. Nikt jej nie przekona, że list jest do pana de Nemours.

– Bardzo jestem strapiona – odparła pani de Clèves – kłopotem, jaki sprawiłam, i oceniam jego rozmiary; ale to wina pana de Clèves, nie moja.

– Twoja – odparła królewicowa – żeś mu dała list: jesteś jedyną kobietą w świecie, która zwierza się ze wszystkim mężowi.

– Widzę, że zawiniłam – odparła pani de Clèves – ale myślny, jak naprawić błąd, nie zaś, jak go roztrząsać.

– Nie przypominasz sobie mniej więcej, co było w tym liście? – spytała królewicowa.

– Owszem, pani, pamiętam, przeczytałam go więcej niż raz.

– Jeżeli tak – odparła królewicowa – trzeba, abyś natychmiast poszła dać go napisać nieznaną ręką. Poślę go królowej: ona nie pokaże go tym, którzy go widzieli; a gdyby nawet pokazała, będę twierdziła wciąż, że to jest ten, który Chastelart mi dał; on zaś nie będzie śmiał zaprzeczyć.

Pani de Clèves chwyciła się tej rady, tym bardziej że pomyślała, iż pośle do pana de Nemours po prawdziwy list, aby go dać przepisać dosłownie, po-

dobnym pismem, i sądziła, że królowa niechybnie da się podejść. Skoro tylko znalazła się w domu, opowiedziała mężowi kłopot królewicowej i prosiła go, aby posiał po pana de Nemours. Odszukano go; przybył natychmiast. Pani de Clèves powtórzyła znowuż jemu wszystko i poprosiła o list; ale pan de Nemours oddał go już widamowi, który był tak szczęśliwy, że go ma z powrotem i że jest wolny od niebezpieczeństwa, że odesłał go natychmiast przyjaciółce, pani de Thémines. Pani de Clèves znalazła się znów w kłopotcie; w końcu, naradziwszy się dobrze, postanowili napisać list z pamięci. Zamknęli się, aby nad tym pracować; dano rozkaz u bramy, aby nie wpuszczano nikogo, i odesłano wszystkich ludzi pana de Nemours. Ten pozór tajemnicy i poufałości niemało miał uroku dla księcia, a także dla pani de Clèves. Obecność męża i dobro widama usypiały poniekąd jej skrupuły; czuła jedynie rozkosz widzenia pana de Nemours, radość czystą i niezmaconą, jakiej nie czuła wprzód nigdy: radość ta dała jej swobodę i wesołość, jakich pan de Nemours u niej nie widywał i które zdwoiły jego miłość. Ponieważ nie miał nigdy jeszcze tak przyjemnych chwil, on także poweselał, i kiedy pani de Clèves zaczęła sobie przypominać list i spisywać go, książkę, miast jej naprawdę pomagać, przerywał tylko i sypał żarcikami. Pani de Clèves zaraziła się tą wesołością, tak iż od dawna siedzieli zamknięci i dwa razy już przychodzono od królewicowej naglić panią de Clèves o pośpiech, a oni jeszcze nie napisali ani połowy.

Pan de Nemours rad był przedłużyć czas, który mu biegł tak mile, i zapominał o sprawach przyjaciela. Pani de Clèves nie nudziła się i zapominała o sprawach wuja. Zaledwie po czterech godzinach list był gotów; a był tak lichy napisany i pismo tak mało było podobne do oryginału, że musiałyby królowa zgoła nie dbać o wyświechtanie prawdy, aby jej nie odgadnąć. Toteż nie dała się oszukać, jakkolwiek silono się ją przekonać, że list pisany jest do pana de Nemours. Zachowała przeświadczenie nie tylko, że był pisany do widama, ale że królewicowa maczała w tym palce i że istnieje porozumienie między nimi. Ta myśl tak dalece powiększyła nienawiść jej do tej księżniczki, że nie przebaczyła jej tego, dopóki nie wygnała jej z Francji.

Co się tyczy widama, przepadł w jej oczach; i czy to kardynał lotaryński już owładnął jej duszą, czy ów list, przekonywający o zdradzie, pomógł jej do wykrycia innych sprawek widama, to pewna, że nigdy nie mógł szczerze się z nią pogodzić. Stosunek zerwał się; jakoż zgubiła następnie widama po sprzyśnięciu w Amboise, w które się wplątał.

Wysławszy list do królewicowej, pan de Clèves i pan de Nemours wyszli. Pani de Clèves została sama; skoro jej już nie podtrzymywała luba obecność kochanej osoby, ocknęła się jakoby ze snu; ujrzała ze zdumieniem niepojętą różnicę między stanem swoim wczorajszego wieczora a tym, w jakim znajdowała się obecnie; uprzytomniła sobie niechęć i chłód, z jakim przyjęła pana de Nemours, póki myślała, że list pani de Thémines pisany jest do niego; co za spokój i słodycz nastąpiły po tej niechęci, zaledwie ją przekonał, że list nie dotyczy jego! Kiedy pomyślała, jak w wilię wyrzucała sobie jako zbrodnię to, że okazała mu czułość, którą mogło zrodzić samo tylko współczucie, podczas gdy dziś niechęcią swoją zdradziła swą zazdrość, będącą niechybnym dowodem miłości, nie poznawała już samej siebie. Myślała dalej, że pan de Nemours widzi dobrze, że ona wie o jego miłości; że mimo tej świadomości nie obchodzi się z nim gorzej nawet w obecności swego męża; przeciwnie, nigdy nie

patrzała nań tak życzliwie; że ona sprawiła, iż pan de Clèves posłał po księcia i że spędzili sam na sam całe popołudnie; miała uczucie, że jest w zмовie z panem de Nemours, że oszukuje męża najmniej zasługującego na to, i wstydziła się, że okazuje się istotą tak mało godną szacunku nawet swego kochanka. Ale najnieznośniejsze było jej wspomnieć stan, w jakim spędziła noc, i piekący ból podejrzeń, że pan de Nemours kocha inną, a ją zwodzi!

Nie знаła dotąd śmiertelnych niepokojuw wątpienia i zazdrości; myślała jedynie o tym, aby sobie wzbronić kochania pana de Nemours, i nie zaczęła jeszcze lękać się, że on może kocha inną. Mimo iż podejrzania, jakie w niej obudził ów list, zatarły się, otworzyły jej wszakże oczy na możliwość zdrady, zbudziły w niej uczucia nieufności i zazdrości, których nie znała. Zdziwiła się, że jeszcze nie pomyślała, jak mało podobne do prawdy jest, aby człowiek taki jak pan de Nemours, dotąd tak płochy, zdolny był do szczerego i trwałego przywiązania. Pomyślała, że prawie niepodobieństwem jest, aby jego uczucie mogło ją zadowolić. „Ale gdyby to było możliwe – mówiła – cóż ja z nim pocznę? Czyż mogę je cierpieć? Czy mogę je odwzajemnić? Czy chcę szukać miłostki? Czy chcę uchybić panu de Clèves? Czy chcę uchybić samej sobie? Czyż chcę wreszcie narazić się na okrutne żale i męczarnie, jakie przynosi z sobą miłosc? Jestem wydana na łup skłoności, która porywa mnie mimo mej woli. Wszystkie moje postanowienia są daremne; myślałam wczoraj wszystko, co myślę dziś, a robię dziś wszystko przeciwnie temu, co postanowiłam wczoraj. Trzeba mi się wyrwać z bliskości pana de Nemours; trzeba jechać na wieś, choćby ta podróż miała się wydać dzika; a jeżeli pan de Clèves uprze się, aby mi jej bronić lub dochodzić przyczyny, może uczynię mu – i sobie także – tę krzywdę, że mu powiem wszystko.” Zatrzymała się przy tym postanowieniu i spędziła wieczór w domu, nie idąc się dowiadywać u królewicowej, co się stało z fałszywym listem widama.

Kiedy pan de Clèves powrócił, powiedziała mu, że chce wyjechać na wieś; czuje się cierpiąca i potrzebuje powietrza. Pan de Clèves, który nie widział z jej urody, aby cierpienie to było poważne, wyśmiał zrazu ten jej zamiar; odpowiedział, że zapomina o weselu księżniczek i o turnieju i że załedwie ma czas, aby się przygotować, jeśli chce wystąpić nie gorzej niż inne panie. Racje męzowskie nie zdołały odmienić jej zamiaru; prosiła, aby zezwolił, iż podczas gdy on pojedzie do Compiègne z królem, aby ona udała się do Colomiers, pięknego domu o jeden dzień od Paryża, zbudowanego bardzo wygodnie. Pan de Clèves zgodził się; za czym udała się tam z zamiarem niewrócenia rychło, król zaś wyjechał do Compiègne, gdzie miał bawić załedwie kilka dni.

Pan de Nemours bolał wielce, że nie ujrzał pani de Clèves od owego poobiedzia, które spędził z nią tak przyjemnie i które pomnożyło jego nadzieje. Niecierpliwość ujrzenia jej znowu nie dawała mu spokoju: tak, iż kiedy król wrócił do Paryża, postanowił udać się do swej siostry, księżnej de Mercoeur, bawiącej na wsi niedaleko Colomiers. Namówił widama, aby się wybrał wraz z nim, co ten przyjął z ochotą; pan zaś de Nemours uczynił to w nadziei ujrzenia pani de Clèves i odwiedzenia jej wraz z widamem. Pani de Mercoeur przyjęła ich z wielką radością i troszczyła się jeno o to, aby ich rozerwać i dostarczyć im wszystkich uciech wiejskich. Gdy gonili za jeleniem, pan de Nemours zabląkał się w lesie. Pytając o powrotną drogę, dowiedział się, że jest blisko Colomiers. Na to słowo „Colomiers”, nie zastanawiając się zgoła i nie wiedząc, co zamierza, popędził w skok we wskazanym kierunku. Wjechał w

las i jechał przed siebie starannie wykonaną aleją, która widocznie prowadziła do zamku. Na końcu tej alei ujrzał domek: na dole była wielka sala, obok niej dwa pokoje, z których jeden miał drzwi na ogród, oddzielony od lasu jedynie palisadą, drugi zaś na aleję parkową. Pan de Nemours wszedł do domku i byłby się zatrzymał, aby oglądać jego piękność, gdyby nie ujrzał obojga państwa de Clèves zbliżających się aleją wraz z hurmą domowników. Ponieważ nie spodziewał się zastać pana de Clèves, którego zostawił przy królu, pierwszym jego odruchem było schować się: wszedł do pokoju wychodzącego na ogród w zamiarze wydostania się do lasu, ale widząc, że pani de Clèves i jej mąż usiedli pod domkiem, że domownicy zostali w parku i że nie mogli doń dotrzeć nie przechodząc miejscem, gdzie byli państwo de Clèves, nie mógł sobie odmówić przyjemności ujrzenia swej pani ani też oprzeć się ciekawości usłyszenia jej rozmowy z mężem, o którego bardziej był zazdrosny niż o któregokolwiek z rywalów. Usłyszał, jak pan de Clèves mówił do żony:

– Ale czemu nie chcesz wracać do Paryża? Co cię może zatrzymać na wsi? Masz od jakiegoś czasu upodobanie w samotności, które mnie dziwi i które mnie martwi, ponieważ nas rozdziela. Znajduję cię nawet smutniejszą niż zwykle i boję się, czy nie masz jakiego zmartwienia.

– Nie mam nic – odparła z zakłopotaniem – ale na dworze jest taki zgiełk, a u nas w domu tyle gości, że nie podobna nie być znużoną i nie szukać odpoczynku.

– Odpoczynek – odparł – to nie jest rzecz twojego wieku. Żyjesz w domu i na dworze w sposób nie dający powodu do zmęczenia; obawiam się raczej, czy nie jesteś rada żyć z dala ode mnie.

– Bardzo byłbyś niesprawiedliwy, gdybyś miał tę myśl – odparła z rosnącym zakłopotaniem – ale błagam, abys mnie zostawił tutaj. Gdybyś mógł tutaj zamieszkać, bardzo bym się cieszyła, bylebyś mógł być sam i nie sprowadzać owej niezliczonej mnogości ludzi, którzy cię nie opuszczają nigdy.

– Ha, żono! – wykrzyknął pan de Clèves – twoja mina i twoje słowa dowodzą mi, że masz przyczyny pragnąć samotności, przyczyny, których nie znam, i błagam, abys mi je wyznała.

Nalegał długo, nie mogąc jej skłonić; broniła się w sposób, który powiększał wciąż ciekawość męża, spuściła oczy, zapadła w głębokie milczenie, po czym nagle ozwała się patrząc nań:

– Nie przymuszaj mnie – rzekła – abym ci zwierzyła rzecz, której nie mam siły wyznać, mimo że nieraz miałam ten zamiar. Zrozum tylko, że roztropność nie pozwala, aby kobieta w moim wieku i będąca panią swoich postępów narażała się na życie dworu.

– Co pani powiadasz? – wykrzyknął pan de Clèves. – Ja nie śmiałybym ci tego rzec z obawy, by cię nie obrazić.

Pani de Clèves nie odpowiedziała nic: milczenie jej utwierdziło męża w jego mniemaniu.

– Nie odpowiadasz nic – podjął – to znaczy, że się nie mylę.

– Więc dobrze, panie – odparła rzucając się do kolan – wyznam ci coś, czego nigdy kobieta nie wyznała mężowi, ale niewinność mego życia i moich intencji dodaje mi siły. Prawdą jest, że mam przyczyny oddalić się od dworu i że chcę uniknąć niebezpieczeństw, grożących niekiedy osobom w moim wieku. Nie okazałam nigdy żadnej słabości i nie lękałabym się o siebie, gdybyś mi pozwolił usunąć się ze dworu lub gdybym miała jeszcze matkę ku pomocy.

Mimo wszystkich niebezpieczeństw mego postanowienia, powzięłam je z radością, aby pozostać godną ciebie. Błagam cię o przebaczenie: jeśli mam uczucia, które cię obrażają, przynajmniej nie obrażę cię nigdy uczynkiem. Pomyśl, że aby uczynić to, co ja czynię, trzeba mieć więcej przyjaźni i więcej szacunku dla męża, niż kto miał kiedykolwiek; prowadź mnie, miej litość nade mną i kochaj mnie jeszcze, jeżeli możesz.

Przez cały czas tej przemowy pan de Clèves siedział z głową wspartą na rękach, ledwie przytomny, i nie pomyślał o tym, aby podnieść żonę. Kiedy skończyła mówić, skoro obrócił na nią oczy, skoro ujrzał ją u swych kolan z twarzą zalaną łzami i tak cudownie piękną, myślał, że skona z boleści.

Ściskając ją i podnosząc, rzekł:

– To ty miej litość nade mną, jestem jej godzien; i przebacz, jeśli w pierwszej chwili tak ciężkiej zgryzoty nie odpowiem tak, jak powinienem, na postępowanie takie jak twoje. Wydajesz mi się bardziej godna szacunku i podziwu niż którakolwiek z kobiet, jakie były w świecie, ale też ja czuję się najniezwyklejszym człowiekiem, jaki był kiedy. Tchnęłaś we mnie namiętność od pierwszego spojrzenia; twoja oziębłość i posiadanie ciebie nie mogły jej ugasić, trwa jeszcze. Nigdy nie mogłem obudzić w tobie miłości i widzę, że obawiasz się pokochać innego. I kto jest, pani, ten szczęśliwy, który zrodził w tobie tę obawę? Jaka drogę znalazł do twego serca? W zgryzocie, żem go nie obudził, pocieszałem się poniekąd myślą, że może jest ono niezdolne do miłości: jednakże inny sprawia to, czego ja nie mogłem. Kaśa mnie wraz zazdrość męża i kochanka; ale nie podobna być zazdrosnym mężem po postąpieniu takim jak twoje. Zbyt jest szlachetne, aby mi miało nie dać zupełnej pewności; pociesza mnie nawet jako kochanka. Ufność i szczerłość, z jakimi sobie poczynasz, są bez ceny: szanujesz mnie na tyle, aby wierzyć, że nie nadużyję tego wyznania. Masz słuszność, pani, nie nadużyję go i nie umniejszą ono mej miłości. Czynisz mnie nieszczęśliwym, dając mi największy dowód wierności, jaki kiedykolwiek żona dała mężowi. Ale, pani, dokończ i powiedz mi, kto jest ten, kogo chcesz unikać.

– Błagam cię, nie pytaj o to – odparła – postanowiłam nie powiedzieć ci tego i sądzę, że roztropność nie chce, abym go nazwała.

– Nie lękaj się, pani – odparł pan de Clèves – zbyt dobrze znam świat, aby nie wiedzieć, że szacunek dla męża nie przeszkadza kochać się w jego żonie. Powinno się nienawidzić takich, a nie wyrzekać na nich; toteż jeszcze raz błagam cię, pani, abyś mi powiedziała to, co pragnę wiedzieć

– Nagliłbyś mnie daremnie – odparła – mam siłę zamilczeć to, czego nie powinnam powiedzieć. Wyznanie moje nie było słabością, trzeba więcej męstwa, aby wyznać taką prawdę niż aby ją zataić.

Pan de Nemours nie tracił ani słowa z tej rozmowy, a to, co powiedziała pani de Clèves, budziło w nim tyleż zazdrości co w mężu. Był w niej tak szalenie zakochany, iż sądził, że wszyscy żywią te same uczucia. Prawda, że w istocie miał wielu rywali, ale roił ich sobie jeszcze więcej; serce jego gubiło się w dochodzeniu, kogo pani de Clèves mogła mieć na myśli. Myślał wiele razy, że on nie jest jej niemiły, i opierał tę wiarę na rzeczach, które wydały mu się w tej chwili tak błahe, że nie mógł sobie wyobrazić, aby to on obudził uczucie, zaiste, bardzo gwałtowne, skoro się uciekało do takiego lekarstwa. Był tak wzruszony, że nie wiedział, co się z nim dzieje, i nie mógł przebaczyć panu de Clèves, że nie dość nagli żonę, aby mu powiedziała owo nazwisko.

Pan de Clèves dokładał wszakże wszelkich wysiłków po temu, ale naglił daremnie.

– Zdaje mi się – odparła – że powinienes się zadowolić mą szczerością; nie żądam więcej i nie każ mi żałować tego, co uczyniłam. Poprzestań na zapewnieniu, które ci daję raz jeszcze, że żaden czyn nie zdradził moich uczuć i że nie usłyszałam nic, co by mnie mogło obrazić.

– Ha, pani – odparł nagle pan de Clèves – nie mogę ci uwierzyć. Przypominam sobie zakłopotanie twoje w dniu, w którym zginął twój portret. Darowałaś, pani, darowałaś ów portret, który mi był tak drogi, który był tak prawą mą własnością. Nie mogłaś ukryć swoich uczuć; kochasz, on wie o tym; twoja cnota uchroniła cię dotąd od reszty.

– Czy podobna – wykrzyknęła księżna – abyś mógł podejrzewać jakiś fałsz w wyznaniu takim jak moje, do którego nic mnie nie zmuszało! Ufaj moim słowom; dość drogo okupiłam zaufanie, o które proszę. Wierzaj mi, zaklinam, że nie dałam mego portretu; prawda, że widziałam, jak on go brał; ale nie chciałam okazać, że widzę, aby się nie narazić na usłyszenie rzeczy, których nie śmiał mi jeszcze powiedzieć.

– Czym zatem okazał ci, że cię kocha – odparł pan de Clèves —i jakie dał ci oznaki miłości?

– Oszczędź mi – odparła – przykrości powtarzania szczegółów, które, jeśli zauważyłam, to ze wstydem i które aż nadto przekonały mnie o mej słabości.

– Masz słuszość, pani – odparł – jestem niesprawiedliwy. Odmów mi za każdym razem, kiedy będę pytał o podobne rzeczy; nie obrażaj się wszakże, jeśli będę o nie pytał.

W tej chwili kilku domowników, którzy zostali w alei, pośpieszyło oznajmić panu de Clèves, że przybył od króla dworzanin z rozkazem, aby się stawił wieczór w Paryżu. Pan de Clèves musiał odejść i nie mógł nic powiedzieć żonie prócz tego, iż błaga ją, aby wróciła nazajutrz, i że ją zaklina, aby wierzyła, iż mimo swej zgryzoty ma dla niej niewygasłą czułość i szacunek.

Kiedy księżę odjechał, kiedy pani de Clèves została sama, kiedy pomyślała, co zrobiła przed chwilą, przeraziła się tak bardzo, że zaledwie mogła sobie wyobrazić, że to jest prawda. Zrozumiała, iż pozbawiła się sama serca i szacunku męża i że wykopała przepaść, z której nie wydobędzie się nigdy. Pytała samej siebie, czemu uczyniła rzecz tak niebaczną, i spostrzegła, że stało się to prawie bez jej zamiaru. Osobliwość podobnego wyznania, którego przykładu zgoła nie widziała, ukazywała jej całe niebezpieczeństwo.

Ale kiedy pomyślała, że to lekarstwo, mimo iż tak gwałtowne, było jedynym, które mogło ją obronić od pana de Nemours, czuła, iż nie powinna niczego żałować i że krok jej nie był zbyt śmiały. Spędziła całą noc pełną niepewności, zamętu i obawy. Ale wreszcie spokój wrócił do jej duszy, znalazła nawet słodycz w tym, że dała ten dowód wierności mężowi tak zasługującemu na nią, który miał dla niej tyle szacunku i przyjaźni i który jeszcze teraz dał ich nowe świadectwa przez sposób, w jaki przyjął jej wyznanie.

Tymczasem pan de Nemours opuścił miejsce, w którym usłyszał rozmowę obchodzącą go tak żywo, i zapuścił się w las. To, co pani de Clèves powiedziała o swoim portrecie, wróciło mu życie świadcząc, że to na niego patrzyła życzliwie. Oddał się zrazu tej radości; ale nie trwała ona długo, skoro się zastanowił, że to samo, z czego się dowiedział, że trafił do serca pani de Clèves, powinno go zarazem upewnić, że nigdy nie otrzyma od niej żadnych ustępstw

i że niepodobieństwem jest zdobyć osobę, która uciekła się do tak niezwyklego lekarstwa. Czuł wszakże żywą rozkosz, że ją doprowadził do tej ostateczności. Dumny był, że zdobył serce istoty tak różnej od wszystkich kobiet; słowem czuł się wraz po stokroć szczęśliwy i nieszczęśliwy. Noc zaskoczyła go w lesie i z trudem przyszło mu odnaleźć drogę do domu pani de Mercoeur. Przybył tam o świcie, dość trudno mu było wytłumaczyć swą nieobecność; wykręcił się, jak umiał, i wrócił tego samego dnia z widamem do Paryża.

Książę był tak przepelniony miłością i tak zdziwiony tym, co usłyszał, że popadł w nieostrożność dość pospolitą, która polega na tym, aby mówić w ogólnych wyrazach o własnych uczuciach i opowiadać własne przygody pod zmyślnym mianem. Wracając, obrócił rozmowę na miłość i wysławiał rozkosz kochania osoby godnej takiego uczucia. Mówił o dziwnych skutkach tej miłości i wreszcie, nie mogąc zamknąć w sobie zdumienia, w jakie go wprawił postępek pani de Clèves, opowiedział go widamowi, nie wymieniając osoby i nie mówiąc mu, że on jest jego przedmiotem. Ale opowiadał z takim zapalem i z takim podziwem, że widam domyślił się z łatwością, iż cała ta historia dotyczy jego samego. Nalegał nań bardzo, aby się przyznał. Mówił, iż wie od dawna, że on chowa jakąś wielką miłość; nie godzi się, powiadał, nie zaufać człowiekowi, który mu powierzył tajemnicę swego życia. Pan de Nemours zbyt był zakochany, aby zwierzyć swą miłość. Zawsze ją ukrywał przed widamem, mimo że ze wszystkich na dworze jego kochał najwięcej. Odparł, że to jeden z przyjaciół opowiedział mu tę przygodę, kazawszy mu przyrzec, że jej nie powtórzy; toteż zaklął widam, aby ją zachował w tajemnicy. Widam upewnił go, że nie powie nikomu; mimo to pan de Nemours żałował, że i tyle mu powiedział.

Tymczasem pan de Clèves udał się do króla z sercem przepelnionym śmiertelną boleścią. Nigdy mąż nie kochał tak namiętnie własnej żony i tyle jej nie szanował. To, czego się dowiedział, nie zniszczyło jego szacunku, ale sprawiło, że szacunek ten był inny niż dotąd. Co go zaprzętało najwięcej, to chęć odgadnięcia nazwiska tego, który jej umiał być miły. Najpierw przyszedł mu na myśl pan de Nemours, jako kwiat wszystkiego, co było na dworze; i kawaler de Guise, i marszałek de Saint-Andre, jako dwaj ludzie, którzy starali się jej podobać i którzy wciąż zasługiwali się jej pilnie; tak iż zrozumiał, że to musi być jeden z tych trzech. Skoro przybył do Luwru, król wziął go do swego gabinetu, aby mu oznajmić, że jego wybrał dla odprowadzenia młodej królowej do Hiszpanii; uznał, że nikt nie wywiąże się tak dobrze z tego zlecenia i nikt też nie przyniesie tyle honoru Francji co pani de Clèves. Pan de Clèves przyjął ten zaszczyt tak, jak należało, widząc w tym nawet rzecz, która, nie ściągając uwagi, oddali żonę jego od dworu. Bądź co bądź, pora tego wyjazdu była jeszcze zbyt daleka, aby mu to było lekarstwem na kłopot, w jakim się znajdował. Napisał do pani de Clèves, zawiadamiając o postanowieniu króla i oznajmiając zarazem, że życzy sobie koniecznie, aby wróciła do Paryża. Wróciła, tak jak kazał, i kiedy się spotkali, oboje ujrzeni się w głębokim smutku.

Pan de Clèves przemówił do niej jak najzacniejszy człowiek w świecie i bardzo godny tego, co uczyniła.

– Nie mam najmniejszej obawy o twoje prowadzenie – rzekł – więcej masz siły i cnoty, niż sama myślisz. Nie obawa też o przyszłość mnie nęka. Gryzie mnie jedynie to, że masz dla kogo innego uczucia, których nie mogłem w tobie

obudzić.

– Nie wiem, co mam odpowiedzieć – rzekła – umieram ze wstydu, kiedy o tym mówię z tobą. Oszczędź mi, błagam, tak okrutnych rozmów; rozrządzaj moim życiem; spraw, abym nie widywała nikogo; to wszystko, o co proszę. Ale ścierp, abym nie mówiła ci o rzeczy, która mnie czyni tak niegodną siebie, a która mi się zdaje tak niegodną mnie samej.

– Masz słuszość, żono – odparł – nadużywam twojej słodyczy i ufności. Ale też miej nieco współczucia dla stanu, w jaki mnie wprowadziłaś, i pomyśl, że mimo wszystko, co mi wyznałaś, skrywasz przede mną imię budzące we mnie ciekawość, z którą nie podobna mi żyć. Nie żądam, byś ją zaspokoila, ale nie mogę się wstrzymać, aby ci nie powiedzieć, że ten, któremu winienem za zdrościć, to, mniemam, jest marszałek de Saint-Andre albo książę de Nemours, albo kawaler de Guise.

– Nie odpowiem ci nic w tej mierze – odparła płoniąc się – i nie dam żadnego pokarmu twoim podejrzeniom. Co więcej, jeżeli zechcesz je rozjaśnić śledząc mnie, wprowadzisz mnie w zakłopotanie, które stanie się widoczne wszystkim. Na imię Boga – ciągnęła – błagam, pozwól, abym pod pozorem jakiej choroby nie widywała nikogo.

– Nie, pani – odparł – odkryto by łatwo, że to jest udanie; a przy tym ja chcę polegać tylko na tobie samej; jest to droga, którą radzą mi obrać i serce, i rozum. Zważywszy twój charakter, zostawiając ci swobodę, zamykam cię w granicach ciasniej szych niż te, które ja bym ci mógł zakreślić.

Pan de Clèves nie mylił się: ufność, jaką okazywał żonie, umacniała ją bardziej przeciw panu de Nemours i rodziła w niej postanowienie surowsze, niżby to mógł uczynić jakikolwiek przymus. Udała się tedy jak zwykle do Luwru i do królewicowej; ale tak pilnie unikała obecności i oczu pana de Nemours, że odjęła mu niemal całą radość świadomości, że jest kochany. Wszystko w jej postępowaniu świadczyło o czymś wręcz przeciwnym. Nie wiedział prawie, czy to, co usłyszał, nie było snem, tak mało widział w tym prawdopodobieństwa. Jedyną rzeczą, która go upewniała, że się nie omylił, to bezmierny smutek pani de Clèves, mimo wszystkich jej wysiłków, aby go ukryć: lube spojrzenia i słowa nie byłyby może tak zwiększyły miłości pana de Nemours jak ta surowość.

Jednego wieczora, kiedy oboje państwo de Clèves byli u królowej, ktoś powiedział, że król ma podobno powołać jeszcze jednego magnata, aby odprowadził młodą królowę do Hiszpanii. Pan de Clèves wlepił oczy w żonę, w chwili gdy dodano, że to może być kawaler de Guise albo marszałek de Saint-Andre. Zauważył, że nie wzruszyły jej ani te dwa nazwiska, ani możliwość wspólnej podróży. To obudziło w nim mniemanie, że żaden z nich dwu nie jest przedmiotem jej lęku; pragnąc tedy rozjaśnić swoje domysły, wszedł do gabinetu królowej, gdzie znajdował się król. Zostawszy tam chwilę, wrócił i szepnął cicho żonie, że dowiedział się, iż to pan de Nemours pojedzie z nimi do Hiszpanii.

Nazwisko pana de Nemours i myśl, że ma być narażona na widywanie go co dzień w czasie długiej podróży, przypawiły panią de Clèves o wzruszenie, którego nie mogła ukryć; ale starała się dać mu inny pozór.

– To bardzo niemiły wybór dla ciebie, mężu – rzekła. – Będzie dzielił wszystkie honory; toteż zdaje mi się, że powinienes się postarać raczej o kogo innego.

– To nie troska o moją chwałę, pani – odparł pan de Clèves – każe ci się obawiać, aby pan de Nemours nie jechał ze mną. Niechęć twoja ma inne źródło. Ta niechęć przekonywa mnie o tym, o czym od innej kobiety dowiedziałbym się z jej radości. Ale nie obawiaj się; to, co rzekłem, to nieprawda; wymyśliłem to tylko, aby się upewnić o rzeczy, której byłem aż nadto pewny.

To rzekłszy wyszedł, nie chcąc powiększać swoją obecnością zakłopotania żony. W tej samej chwili wszedł pan de Nemours i spostrzegł od razu stan, w jakim znajdowała się pani de Clèves. Zbliżył się i rzekł z cicha, że nie śmie przez uszanowanie pytać jej o powód głębszej niż zwyczajnie zadumy. Głos pana de Nemours obudził ją, patrzyła nań nie rozumiejąc, co do niej mówi, pełna własnych myśli i obawy, aby mąż nie ujrzał go przy niej.

– Na miłość boską – rzekła – zostaw mnie książę w spokoju.

– Niestety, pani – odparł – zostawiam cię w spokoju aż nadto; na co możesz się skarżyć? Nie śmiem do ciebie mówić, nie śmiem nawet patrzeć: zbliżam się do ciebie ze drżeniem. Czym ściągnąłem na siebie tę wymówkę i czemu mi okazujesz, że mam jakiś udział w tej zgryzocie?

Pani de Clèves była bardzo nierada, że dała panu de Nemours sposobność wypowiedzenia się jaśniej niż kiedykolwiek. Oddaliła się bez odpowiedzi i wróciła do domu bardziej jeszcze wzruszona. Mąż zauważył łatwo jej stan. Spostrzegł, że ona lęka się, aby nie zaczął mówić z nią o tym, co zaszło. Udał się do alkierza.

– Nie unikaj mnie, pani – rzekł – nie powiem nic, co by cię mogło dotknąć; proszę cię o przebaczenie za pułapkę, jaką ci zastawiłem. Dość jestem ukarany tym, czegom się dowiedział. Pan de Nemours był ze wszystkich ludzi tym, którego się najwięcej obawiałem. Widzę niebezpieczeństwo, w jakim się znajdujesz; panuj nad sobą przez miłość dla siebie samej i, jeśli można, przez miłość dla mnie. Nie proszę cię o to jako mąż, ale jak człowiek, którego jesteś całym szczęściem i który kocha cię tkliwiej i mocniej niż ten, któregoś przełożyła nade mnie.

Wymawiając te ostatnie słowa, pan de Clèves rozczulił się tak, że z trudem ich dokończył. Księżna wzruszona zalała się łzami i uściskała go z czułością i bólem, które wprawiły go w stan mało różny od jej stanu. Trwali tak jakiś czas w milczeniu i rozstali się nie mając siły przemówić.

Ukończono przygotowania do ślubu królowny. Książę Alba przybył, aby ją zaślubić. Przyjęto go z całą wspaniałością i ze wszystkimi ceremoniami stosownymi w podobnej okazji. Król wysłał naprzeciw niemu księcia de Condé, kardynałów lotaryńskiego i Guise, książąt Lotaryngii, Ferrary, Aumale, Bouillon, Guise i Nemours. Mieli z sobą wielu dworzan i obfitość paziów, przybranych w ich barwy. Król oczekiwał sam księcia Alby u pierwszej bramy Luwru z dwustoma dworzanami i konetablen na ich czele. Zbliżywszy się do króla, książę chciał mu ucisnąć kolana; ale król nie pozwolił i kazał mu iść obok siebie aż do królowej i do królowny, której książę Alba wręczył wspaniały dar od swego władcy. Udał się następnie do Jejmości Małgorzaty, siostry króla Imci, aby jej przedłożyć służby pana Sabaudzkiego i upewnić, że przybędzie niebawem. Odbyły się wielkie asamble w Luwrze, aby księciu Albie i księciu Oranii, który mu towarzyszył, pokazać piękności dworu.

Pani de Clèves, mimo całej ochoty, nie śmiała się wymówić od tych uroczystości z obawy, aby nie obrazić męża, który kazał jej koniecznie być wszędzie. Jeszcze bardziej skłaniała ją do tego nieobecność pana de Nemours.

Udał się naprzeciw pana Sabaudzkiego, po przybyciu zaś owego księcia zmuszony był prawie ciągle pozostawać przy nim, aby mu pomagać we wszystkim, co tyczyło ceremonii weselnych. To sprawiło, że pani de Clèves nie spotykała księcia tak często jak zwykle, co jej wróciło nieco spokoju.

Widam de Chartres nie zapomniał swojej rozmowy z panem de Nemours. Przeświadczony był, że przygoda, którą mu książę opowiedział, jest jego własna, i przyglądał mu się tak pilnie, że byłby może przejrzał prawdę, gdyby przybycie księcia Alby i księcia Sabaudzkiego nie uczyniły na dworze dywersji, która nie pozwoliła mu się tym zbyt zajmować. Chęć rozjaśnienia sprawy lub raczej naturalna skłonność zwierzenia się ze wszystkim ukochanej istocie sprawiła, iż opowiedział pani de Martigues dziwny postępek osoby, która wyznała mężowi swą miłość dla innego. Upewnił ją, że to książę de Nemours obudził tę szaloną miłość i prosił, aby mu pomogła śledzić księcia. Pani de Martigues bardzo była rada z tej nowinki, zainteresowanie zaś, jakie królewicowa objawiała zawsze co do wszystkiego, co tyczyło pana de Nemours, pomnażało jeszcze jej ochotę rozjaśnienia tajemnicy.

Na krótko przed dniem ceremonii małżeństwa królewicowa dawała wieszak dla króla swego teścia i dla księżnej de Valentinois. Pani de Clèves, zajęta strojem, przysłała do Luwru później niż zazwyczaj. Idąc, spotkała dworzanina, który szedł po nią z polecenia królewicowej.

Skoro weszła do komnaty, królewicowa krzyknęła jej z łóżka, na którym siedziała, że oczekuje jej bardzo niecierpliwie.

– Sądzę, pani – odparła – że nie mam ci co dziękować za tę niecierpliwłość i że powodem jej jest z pewnością co innego niż moja osoba.

– Masz słuszość – odparła królewicowa – mimo to powinnaś mi być wdzięczna: opowiem ci historię, którą z pewnością będziesz rada usłyszeć.

Pani de Clèves uklękła przy łóżku tak, iż, szczęściem dla niej, twarz jej była w cieniu.

– Wiesz – mówiła królewicowa – jakieśmy były ciekawe wiedzieć, co jest przyczyną zmiany w panu de Nemours. Sądzę, że wiem, co to takiego; jest to coś, co cię zadziwi. Jest szalenie zakochany, z pełną wzajemnością, w jednej z najpiękniejszych pań na dworze.

Te słowa, których pani de Clèves nie mogła odnieść do siebie, ponieważ nie sądziła, aby ktoś wiedział, że ona kocha pana de Nemours, sprawiły jej ból łatwy do pojęcia.

– Nie widzę w tym nic – odparła – co by mogło dziwić u człowieka w wieku pana de Nemours i z jego zaletami.

– Toteż nie to – odparła królewicowa – powinno cię dziwić, ale to, że ta kobieta, która kocha pana de Nemours, nigdy nie dała mu żadnego świadectwa tej miłości i że lęk, iż nie zawsze mogłaby być panią swoich uczuć, sprawił, że je wyznała mężowi, aby ją zabrał ze dworu. Sam pan de Nemours opowiadał to, co ci mówię.

O ile pani de Clèves zrazu cierpiała na myśl, że ona nie ma żadnego udziału w tej przygodzie, ostatnie słowa królewicowej wtrąciły ją w rozpacz, dając jej pewność, że ma w niej aż nadto udziału. Nie umiała nic odpowiedzieć, siedziała z głową schyloną na łóżko, gdy królewicowa mówiła dalej, tak zajęta swoją historią, że nie zwracała uwagi na resztę. Skoro pani de Clèves ochłonęła trochę, odparła:

– Ta historia, pani, nie wydaje mi się prawdopodobna; chciałabym wiedzieć,

kto ci ją opowiedział.

– Pani de Martigues – odparła królewicowa – a dowiedziała się jej od widama de Chartres. Wiesz, że on się w niej kocha; zwierzył jej rzecz pod sekretem, a wie ją od samego księcia de Nemours. Prawda, że książę nie wymienił nazwiska damy i nie przyznał nawet, aby był przedmiotem jej uczuć; ale widam nie wątpi o tym.

Kiedy królewicowa domawiała tych słów, ktoś zbliżył się do łóżka. Pani de Clèves siedziała w ten sposób, że nie mogła widzieć, kto to taki, ale znikły jej wątpliwości, skoro królewicowa zawołała tonem wesołego zdziwienia:

— Oto on sam, oto on, zapytam go, jak było.

Pani de Clèves odgadła wnet, że to pan de Nemours; i tak było w istocie. Nie obracając się w jego stronę, pochyliła się żywo do królewicowej i szepnęła, że nie trzeba ani słowem wspominać mu o tej przygodzie; że zwierzył ją widamowi i że to byłaby rzecz zdolna ich poróżnić. Królewicowa odpowiedziała śmiejąc się, że jest zbyt przezorna, i zwróciła się do pana de Nemours.

Był wystrojony na wieczorną zabawę i rzekł z wdziękiem, który mu był wrodzony:

– Sądzę, pani, iż mogę myśleć bez zarozumienia, że panie mówiły o mnie, kiedy wszedłem, że Wasza Wysokość miałaś zapytać mnie o coś, a pani de Clèves sprzeciwia się temu.

– To prawda – odparła królewicowa – ale nie ustąpię jej tak łatwo jak zwykle. Chcę dowiedzieć się, czy pewna historia, którą mi opowiadano, jest prawdą i czy to nie pan jest owym człowiekiem kochanym przez kobietę, która ukrywa pilnie swą miłość i która wyznała ją mężowi.

Zmieszanie i zakłopotanie pani de Clèves przechodziło wszystko, co można sobie wyobrazić: gdyby śmierć zjawiała się, aby ją wyrwać z tego stanu, przyjęłaby ją z lubością. Ale pan de Nemours był, jeśli możebna, jeszcze bardziej zakłopotany. Słowa królewicowej, o której mógł mniemać, że go mile widzi, w obecności, pani de Clèves, do której ze wszystkich osób na dworze miała największe zaufanie i ona też do niej wzajem, wprawiły go w taki zamęt, że nie podobna mu było zapanować nad swym obliczem. Zmieszanie, w jakim go widziała pani de Clèves z jego winy, oraz myśl o słusznym powodzie do gniewu, jaki jej dawał, wzruszyły go tak, że nie mógł nic odpowiedzieć.

Widząc, jak bardzo jest nieprzytomny, królewicowa rzekła:

– Patrz na niego, patrz na niego i osądź, czy to nie on sam miał tę przygodę.

Tymczasem pan de Nemours, ochłonawszy nieco i widząc całe niebezpieczeństwo, zdołał się opanować.

– Wyznaję, pani, że nie podobna być bardziej zdziwionym i dotkniętym niedyskrecją widama de Chartres, który, jak widzę, rozpowiedział przygodę jednego z mych przyjaciół, słyszaną z moich ust. Potrafię się na nim zemścić – ciągnął z uśmiechem, który uspił podejrzania królewicowej. – Powierzył mi rzeczy, które są niemałej wagi! Ale nie wiem, pani, czemu mi czynisz ten zaszczyt, aby mnie mieszać w tę historię. Widam nie może twierdzić, że ona mnie dotyczy, skoro temu zaprzeczyłem stanowczo. Mogę uchodzić za zakochanego, ale co się tyczy wzajemności, nie sądzą, pani, abyś mogła mnie nią obdarzyć.

Książę był bardzo rad powiedzieć coś królewicowej, co by miało podobieństwo z dawnymi jego dla niej uczuciami, aby jej wybić z głowy inne myśli. I ona też sądziła, że rozumie jego słowa, ale nie odpowiadając, droczyła się z

nim dalej, wymawiając mu jego pomieszanie.

– Byłem zmieszany, pani – odparł – za mego przyjaciela i na myśl o słusznych wyrzutach, jakie mnie czekają za to, że powtórzyłem rzecz droższą mu nad życie. Zwierzył mi ją wszakże tylko półsłówkami i nie wymieniając osoby, którą kocha. Wiem tylko, że to jest człowiek najbardziej zakochany i najbardziej nieszczęśliwy.

– Czemu tak nieszczęśliwy – odparła królewicowa – skoro jest kochany?

– Czy sądzi pani, że jest nim w istocie – odparł – i że osoba, która by naprawdę kochała, mogłaby to powiedzieć swemu mężowi? Osoba ta nie wie z pewnością, co to miłość; to raczej błaha wdzięczność za jego przywiązanie. Mój przyjaciel nie może się łudzić żadną nadzieją; ale mimo iż tak nieszczęśliwy, szczęśliwy jest, że obudził w niej bodaj lęk przed miłością, i nie zamieniłby swego stanu z losem najszcześniejszego kochanka na ziemi.

– Miłość pańskiego przyjaciela łatwa jest do zaspokojenia – rzekła królewicowa – i zacznam wierzyć w istocie, że to nie o sobie pan mówi. Dość skłonna jestem – ciągnęła – podzielić zdanie pani de Clèves, która twierdzi, że ta przegródka nie może być prawdziwa.

– Nie sądzę w istocie, aby mogła być prawdą – odparła pani de Clèves, która dotąd się nie odezwała – a gdyby nawet to było możebne, skąd mógłby ktoś o niej wiedzieć? Nie ma podobieństwa, aby kobieta, zdolna do rzeczy tak niezwykłej, miała tę słabość, aby ją opowiedzieć; prawdopodobnie mąż również nie opowiedział, inaczej byłby mężem bardzo niegodnym jej postępuku.

Pan de Nemours, który ujrzał, iż pani de Clèves może podejrzewać męża, rad był skierować ją na tę drogę. Wiedział, że to jest najgroźniejszy rywal, jakiego ma do pokonania.

– Zazdrość – odparł – i ciekawość dowiedzenia się czegoś ponad to, co mu powiedziano, mogą pchnąć męża do wielu błędów.

Pani de Clèves doszła ostatnich granic siły swojej i męstwa. Nie mogąc dłużej znieść tej rozmowy, już miała powiedzieć, że się czuje niedobrze, kiedy, szczęściem dla niej, weszła księżna de Valentinois, aby oznajmić królewicowej, że król nadchodzi. Królewicowa przeszła do alkierza, aby się ubrać. W chwili gdy pani de Clèves chciała się udać za nią, pan de Nemours zbliżył się. – Dałbym życie – rzekł – za to, aby z panią pomówić przez chwilę; ale ze wszystkiego, co miałbym do powiedzenia, najważniejszym jest błagać panią, abys uwierzyła, że jeśli powiedziałem coś pod adresem królewicowej, uczyniłem to z przyczyn obcych jej osobie.

Pani de Clèves udała, że nie słyszy, odeszła nie patrząc nań i zbliżyła się do króla, który wszedł właśnie. Ponieważ był wielki ścisk, zaplątała się w suknię i potknęła się: użyła tego pozoru, aby opuścić miejsce, w którym nie miała siły zostać, i udając, że się nie trzyma na nogach, poszła do siebie.

Pan de Clèves przybył do Luwru i zdziwił się, że nie zastał żony; powiedziano mu o jej wypadku. Wrócił natychmiast do domu, aby się dowiedzieć o nią; zastał ją w łóżku i dowiedział się, że cierpienie jest nieznaczące. Spędziwszy jakiś czas przy niej, spostrzegł smutek jej tak głęboki, że aż się zdumiał.

– Co ci jest, żono? – spytał. – Zdaje mi się, że masz jakieś inne cierpienie niż to, na które się skarżysz?

– Mam najdotkliwszą zgryzotę, jaką można sobie wyobrazić – odparła. – Co za użytek zrobiłeś z bezgranicznego lub, aby rzec lepiej, szalonego zaufania, jakie w tobie położyłam? Czyż nie zasługiwałam na dyskrecję? Przez ciekawość

dowiedzenia się nazwiska, którego nie powinnam ci wyjawić, musiałeś się zwierzać komuś? Bo chyba tylko ta ciekawość kazała ci popełnić straszną nieostrożność, która wydała tak fatalne skutki. Przygoda się rozeszła, opowiedziano mi ją właśnie, nie wiedząc, że ja w niej gram główną rolę.

– Co mi powiadasz, żono? – odparł. – Oskarżasz mnie, że opowiedziałem to, co zaszło między nami, i powiadasz, że rzecz się rozeszła? Nie uniewinniam się z tego zarzutu, nie możesz po mnie czegoś podobnego przypuszczać; musiałaś chyba wziąć do siebie to, co mówiono o kim innym.

– Ha, mężu – odparła – nie ma w świecie drugiej podobnej przygody; nie ma kobiety zdolnej do podobnej rzeczy. Nikt tego nie mógł wymyślić przypadkiem, nikt nie byłby czegoś podobnego wyroił, ta myśl nigdy nie powstała w innej głowie niż mojej. Królewicowa opowiedziała mi przed chwilą całą przygodę, dowiedziała się o niej od widama de Chartres, który ją wie od pana de Nemours.

– Pan de Nemours! – wykrzyknął pan de Clèves z wybuchem rozpaczy. – Jak to! pan de Nemours wie, że ty go kochasz i że ja wiem o tym?

– Zawsze chcesz dopatrywać się pana de Nemours – odparła – powiedziałam ci, że nie odpowiem nigdy na twoje podejrzenia. Nie wiem, czy pan de Nemours zna udział mój w tej przygodzie i ten, który ty mi przypisujesz; ale opowiedział rzecz widamowi de Chartres, mówiąc, że wie ją od jednego z przyjaciół, który nie wymienił osoby. Musi ten przyjaciel pana de Nemours być i twoim i musiałeś mu się zwierzyć, aby wpaść na trop.

– Czy jest przyjaciel na świecie, któremu by się chciało zwierzyć z czymś podobnym – odparł pan de Clèves – i czyż może ktoś rozjaśnić swoje podejrzenia za cenę opowiedzenia tego, co chciałoby się ukryć przed samym sobą? Przypomnij sobie ty raczej, komu o tym mówiłaś. Bardziej prawdopodobne jest, że tobie niż że mnie wymknęła się tajemnica. Nie mogłaś dać sobie rady ze swoją zgryzotą i poszukałaś ulgi w skardze przed jakąś powiernicą.

– Nie gnęb mnie do reszty – krzyknęła – i nie bądź na tyle okrutny, aby mnie oskarżać o błąd, który sam popełniłeś. Czy możesz mnie o to podejrzewać? Ze mogłam powiedzieć tobie, czyż jestem zdolna powiedzieć komu innemu?

Wyznanie, jakie pani de Clèves uczyniła mężowi, było tak wielkim dowodem szczerości, a przeczyła tak stanowczo, aby się miała zwierzyć komu, że pan de Clèves nie wiedział, co myśleć. Z drugiej strony pewny był, że sam nic nie powiedział; to była rzecz, której nie można było zgadnąć; trzeba ją było wiedzieć; musiało zdradzić ją jedno z nich dwojga. Ale najdotkliwszy ból sprawiała mu świadomość, że tajemnica jest, w obcych rękach i że prawdopodobnie rychło się rozejdzie.

Pani de Clèves myślała mniej więcej to samo; uważała za jednakowo niemożliwe, aby mąż komu powiedział, jak to, aby nie powiedział. Słowa pana de Nemours, że ciekawość może popchnąć męża do takiej nieostrożności, wydawały się jej tak zgodne ze stanem pana de Clèves, że nie mogła uwierzyć, aby to było rzeczzone przypadkiem; i to prawdopodobieństwo utwierdziło ją w wierze, że pan de Clèves nadużył jej zaufania. Byli tak zajęci swymi myślami, że długi czas nie wyrzekli słowa; kiedy zaś przerwali milczenie, to jedynie, aby powtórzyć to samo, co już powiedzieli kilka razy; tak iż pozostali dalsi sercem i bardziej rozgoryczeni niż wprzód.

Łatwo pojąć, w jakim stanie spędzili noc. Pan de Clèves wyczerpał cały swój hart na ścierpienie myśli, że jego ubóstwiana żona kocha innego. Nie

zostało mu już cierpliwości: sądził, że nie godzi się jej mieć w rzeczy, w której cześć jego, sława były tak dotkliwie zranione. Nie wiedział już, co myśleć o żonie; nie wiedział, co ma jej nakazać ani jak sam ma postąpić; ze wszystkich stron widział same przepaści i otchłanie. Wreszcie po długiej rozterce i niepewności, widząc, iż niebawem trzeba mu jechać do Hiszpanii, postanowił nie czynić nic, co by mogło umocnić jego podejrzenia lub świadomość nieszczęścia. Udał się do pani de Clèves i rzeki, że nie chodzi o sprzeczki, kto zdradził tajemnicę, ale o dowiedzenie, że cała ta historia jest bajką, w której ona nie ma żadnego udziału; od niej zależy przekonać o tym pana de Nemours i innych; niech tylko postępuje z nim z całą surowością i chłodem, jaką się powinno mieć dla śmiałka, który jej okazuje miłość; tym sposobem zniweczy w nim rychło złudzenia. Nie ma co zatem trapić się tym, co on sobie mógł myśleć, bo jeżeli w dalszym ciągu ona nie okaże żadnej słabości, myśli jego odmienia się łatwo. Zwłaszcza zaś trzeba, aby chodziła do Luwru i na asamble, jak zwyczajnie.

Po tych słowach pan de Clèves opuścił żonę nie czekając odpowiedzi. Uznała wiele słuszności w tym, co mówił; żał zaś, jaki miała do pana de Nemours, nasunął jej myśl, że wykonanie polecenia przyjdzie jej bez trudu. Trudnym wydało się jej wszakże być na wszystkich ceremoniach weselnych i pokazywać się z pogodną twarzą i swobodną myślą. Mimo to, ponieważ miała nieść suknię królewicowej – rzecz, w której dano jej prym przed wielu innymi księżniczkami – nie było sposobu uchylić się od tego bez wielkiego hałasu i nie każąc dochodzić przyczyn. Postanowiła tedy przemóc się; ale obróciła cały dzień na to, aby się przygotować i aby się oddać wszystkim uczuciom, które nią miotały. Zamknęła się sama w swoim gabinecie. Ze wszystkich cierpień najwięcej dręczyło ją to, że musi potępiać pana de Nemours i że nie znajduje nic na jego usprawiedliwienie. Nie mogła wątpić, że on opowiedział tę przygodę widamowi: przyznał się do tego; i nie mogła też wątpić ze sposobu, w jaki mówił o tym, że on wie, iż przygoda tyczyła się jej. Jak wytłumaczyć taką nieopatrność i w co się obróciła owa dyskrecja księcia, która ją wprzód tak ujęła?

„Był dyskretny – mówiła sobie – dopóki sądził, że jest nieszczęśliwy; ale myśl o szczęściu, bodaj niepewnym, położyła kres jego dyskrecji. Ledwie mógł przypuszczać, że ja go kocham, a już chciał, aby o tym wiedziano. Powiedział tyle, ile tylko mógł; ja nie powiedziałam, że to jego kocham, on się domyślił i zdradził swoje domysły. Gdyby miał pewność, postąpiłby sobie tak samo. Złe uczyniłam wierząc, że istnieje mężczyzna zdolny ukryć to, co mu schlebia. A wszakże to dla tego człowieka, którego mniemałam tak różnym od innych, stałam się taką jak inne kobiety, mimo że tak daleko od podobieństwa z nimi! Straciłam serce, szacunek męża, który powinien być mym szczęściem. Niebawem wszyscy będą we mnie widzieć kobietę opętaną i szaloną z miłości. Ten, kto jest jej przedmiotem, wie o niej, i to, aby uniknąć tych nieszczęść, naraziłam cały mój spokój, a nawet życie.”

Tym smutnym myśłom towarzyszył potok łez; ale mimo całego bólu księżna czuła, że wszystko byłaby zdolna znieść, gdyby nie musiała źle myśleć o panu de Nemours.

On znajdował się w nielepszym stanie. Nieopatrność, jaką popełnił zwierając się widamowi, oraz okrutne skutki tej nieopatrności przejmowały go śmiertelną zgryzotą. Męki cierpiał przypominając sobie pomieszanie i zgry-

zotę, w jakich widział panią de Clèves. Był niepokieszony, że jej powiedział w tym przedmiocie rzeczy, które mimo że dworne same w sobie, zdawały mu się w tej chwili grube i niegrzeczne, ponieważ dawały poznać pani de Clèves, że on wie, iż ona jest ową zakochaną bez pamięci kobietą, a on sam tej miłości przedmiotem. Ponad wszystko pragnąłby rozmowy z nią; ale czuł zarazem, że raczej trzeba mu się obawiać tej rozmowy.

„Cóż bym jej mógł powiedzieć? – wykrzyknął. – Czy jeszcze mam jej okazać to, co już jej ukazałem aż nazbyt dotkliwie? Czy jej zdradzę, że wiem, że ona mnie kocha, mnie, który nigdy nawet nie ośmieliłem się wyznać jej mych uczuć? Czy zacznę jej otwarcie mówić o swej miłości, aby się jej wydać człowiekiem rozzuchwalonym nadzieją? Czy mogę myśleć nawet o tym, aby się zbliżyć do niej, i czy śmiałybym ją przyprawiać o zmieszanie mym widokiem? Czym mógłbym się usprawiedliwić? Nie mam wymówki, jestem niegodny spojrzenia pani de Clèves i nie spodziewam się też, aby kiedy na mnie spojrziała. Błędem moim dałem jej lepszy sposób obrony niż wszystkie te, których szukała, których by może szukała daremnie. Tracę przez swoją nieostrożność szczęście i chwałę posiadania miłości najmilszej i najcnotliwszej osoby na ziemi; ale gdybym był stracił to szczęście bez zadania jej cierpień i bez jej śmiertelnej boleści, byłoby to dla mnie pociechą. Bardziej czuję w tej chwili ból, jaki jej zadałem, niż krzywdę, jaką sobie wyrzodziłem w jej oczach.”

Długo pan de Nemours trapił się i obracał te same myśli. Chęć pomówienia z panią de Clèves wciąż wracała mu do głowy. Myślał nad sposobami, chciał pisać do niej; ale wreszcie uznał, że po błędzie, jakiego się dopuścił, i wobec jej stanu, najlepsze, co może uczynić, to okazywać jej głęboki szacunek swoją zgryzotą, swoim milczeniem, okazać zgoła, że nie śmie się zjawić przed jej obliczem, i czekać, co sprawić na jego korzyść. Postanowił także nie czynić wymówek widamowi za jego niedyskrecję z obawy, aby nie utwierdzić jego podejrzeń.

Zaręczyny królowy, które miały się odbyć nazajutrz, oraz ślub, który przypadł dzień potem, zaprzętały tak bardzo cały dwór, że pani de Clèves i pan de Nemours łatwo ukryli światu swój smutek i swą rozterkę. Królewicowa wspomniała jedynie mimochodem pani de Clèves o rozmowie ich z panem de Nemours, a pan de Clèves starał się nie mówić z żoną o wszystkim, co się zdarzyło: tak iż położenie jej mniej było kłopotliwe, niż przypuszczała.

Zrękowiny odbyły się w Luwrze, po uczcie zaś i balu cały dom królewski udał się na nocleg do biskupstwa, jak było w zwyczaju. Rano książe Alba, który zawsze nosił się bardzo skromnie, przywdział strój ze złotogłowia mieszanego z kolorem ognistym, żółtym i czarnym, cały pokryty klejnotami, na głowie zaś miał koronę. Książe Oranii, ubrany również wspaniale i ze swoim orszakiem, oraz wszyscy Hiszpanie w otoczeniu dworzan przyszli po księcia Albę do pałacu Villeroy, gdzie mieszkali, i ruszyli czwórkami do biskupstwa. Skoro tylko przybył, udano się w porządku do kościoła; król prowadził królową, która również miała koronę, suknię zaś niosły jej panny de Montpensier i de Longueville. Królowa szła za nimi, ale bez korony. Później szły królewicowa, Jejmość siostra królewska, pani lotaryńska i królowa Nawarry, a suknie ich niosły księżniczki. Królowe i księżniczki wiodły wszystkie swoje dworki wspaniale przybrane w te same barwy co ich panie: tak iż poznawało się, do kogo należą dworki z ich ubrania. Za czym weszli wszyscy na trybunę ustawioną w kościele i dopełniono ceremonii zaślubin. Wrócili następnie na

obiad do biskupstwa, a o piątej ruszono, aby się udać do pałacu, gdzie odbywała się uczta, na którą zaproszono parlament, Izby wyższe i magistrat. Król, królowe, książęta i księżniczki krwi jedli na stole marmurowym w wielkiej sali pałacowej; książę Alba siedział koło nowej królowej hiszpańskiej. Poniżej stopni marmurowego stołu, po prawej ręce króla był stół dla ambasadorów, arcybiskupów i kawalerów orderu, a po drugiej stronie stół dla rajców parlamentu.

Książę de Guise, przybrany złotogłowiem, służył królowi za marszałka, książę do Condé za cześnika, książę de Nemours za podczaszego. Skoro sprzątnięto stoły, zaczął się bal, przerywany baletami i nadzwyczajnymi widowiskami. Podjęto go następnie na nowo; wreszcie po północy król i cały dwór wrócili do Luwru. Mimo swego smutku pani de Clèves uderzyła wszystkich, a zwłaszcza pana de Nemours, niepospolitą pięknnością. Nie śmiał do niej mówić, mimo że rozgwar ceremonii dal mu wiele sposobności po temu; ale okazywał tyle smutku i tak pełną szacunku obawę zbliżenia się do niej, że wydał się jej mniej winnym, mimo iż nie rzekł nic na swe usprawiedliwienie. Tak samo zachowywał się dni następnych, i to zachowanie tak samo oddziaływało na serce pani de Clèves.

Wreszcie nadszedł dzień turnieju. Królowe udały się na galerię i na trybuny, które były dla nich przeznaczone. Czterej szermierze ukazali się w szrankach z obfitością koni i ludzi w ich barwach, co czyniło najwspanialsze widowisko, jakie kiedy widziano we Francji.

Król nie miał innych barw prócz białej i czarnej; nosił je zawsze z przyczyny pani de Valentinois, która była wdową. Pan z Ferrary i cała jego świta – żółte i czerwone. Pan de Guise ukazał się w szkarłacie i bieli. Nie wiedziano zrazu, czemu te kolory; ale przypomniano sobie, że są to kolory pewnej piękności, którą kochał wówczas, gdy była panną, i którą kochał jeszcze, mimo że nie śmiał jej już tego okazywać. Pan de Nemours miał barwy żółte i czarne; czego daremnie szukano przyczyny. Pani de Clèves odgadła ją bez trudu; przypomniała sobie, iż powiedziała przy nim, że lubi kolor żółty i żałuje, że jest blondynką, bo nie może go nosić. Książę sądził, że może pojawić się w tych kolorach bez niedyskrecji; skoro pani de Clèves ich nie nosiła, nikt nie mógł go posądzać, że to są jej barwy.

Nigdy nie widziano tyle zręczności, ile jej rozwinęli czterej szermierze. Mimo że król był najlepszym jeźdźcem w królestwie, nie wiedziano, komu dać pierwszeństwo. Pan de Nemours miał we wszystkich poruszeniach wdziek, który mógł przeważać na jego korzyść nawet osoby bezstronniejsze niż pani de Clèves. Skoro tylko go ujrzała w szrankach, uczuła nadzwyczajne wzruszenie, i przy wszystkich biegach księcia z trudem mogła ukryć radość, skoro rzecz wypadła dlań szczęśliwie.

Skoro nad wieczorem wszystko było prawie skończone i kiedy wszyscy mieli już wracać, nieszczęście kraju chciało, że król zapragnął skruszyć jeszcze jedną kopię. Wezwał hrabiego, de Montgomery, który był nadzwyczaj zręczny, aby stanął w szrankach. Hrabia błagał króla, aby go zwolnił od tego, wymawiał się, czym tylko mógł; ale król, niemal gniewny, rzekł, iż żąda tego bezwarunkowo. Królowa kazała powiedzieć królowi, że zaklina go, aby się nie potykał; spisał się tak dobrze, że powinien być zadowolony; toteż błaga go, aby wrócił do niej. Odpowiedział, że przez miłość dla niej chce jeszcze gonić; i wjechał w szranki. Posłała doń pana Sabaudzkiego z nowymi prośbami, aby

wrócił; wszystko nadaremnie. Zaczęli gonić; kopie się skruszyły, odłamek kopii hrabiego de Montgomery wpadł królowi w oko i tam utkwiał. Monarcha zwałił się; giermkowie jego oraz pan de Montmorency, który był jednym z marszałków pola, przybiegli do niego. Byli zdumieni, że go ujrzeni tak ciężko rannym; ale król nie dziwił się. Powiedział, że to drobnostka i że przebacza hrabiemu de Montgomery. Można osądzić, co za zamęt i rozpacz spowodował tak nieszczęsny wypadek w dniu przeznaczonym na wesele. Skoro tylko zaniecono króla do łóżka i chirurgowie zbadali jego ranę, uznali, że jest bardzo znaczna. Pan konetabi przypomniał sobie w tej chwili wróżbę przepowiadającą królowi, że polegnie w pojedynczej walce, i nie wątpił, że wróżba się spełniła.

Król hiszpański, który był wówczas w Brukseli, uprzedzony o wypadku, posiał swego lekarza, człowieka wielkiej reputacji, ale ten uznał stan króla za beznadziejny.

Dwór podzielony na partie i pełen sprzecznych interesów niemało był poruszony w wilię tak wielkiego zdarzenia; bądź co bądź, wszystkie zabiegi były ukryte i wszyscy zdawali się przejęci troską jedynie o zdrowie króla. Królowa, księżęta i księżniczki krwi nie opuszczali prawie jego przedpokoju.

Pani de Clèves, wiedząc, że trzeba jej tam być, że ujrzy tam pana de Nemours i że nie zdoła ukryć mężowi swego pomieszenia, przekonawszy się zarazem, że sama obecność księcia uniewinnia go w jej oczach i niweczy wszystkie postanowienia, zamyśliła udać chorą. Dwór był zbyt zajęty, aby zwracać uwagę na nią i dochodzić, czy jej stan jest udany czy prawdziwy. Jedynie mąż mógł odgadnąć prawdę, ale niemal życzyła sobie, aby ją odgadł. Tak więc została u siebie, niezbyt zajęta wielką zmianą, która się gotowała; pełna własnych myśli, mogła się im swobodnie oddać. Wszyscy byli u króla. Pan de Clèves przychodził o pewnych godzinach, aby jej przynieść nowiny. Był dla niej taki jak zawsze, z tą różnicą, iż kiedy byli sami, panowała między nimi pewna oziębłość i skrepowanie. Nie wspominał jej o tym, co zaszło; ona zaś nie miała siły, a nawet nie uważała za właściwe wracać do tej rozmowy.

Pan de Nemours, który spodziewał się znaleźć sposobność bodaj chwili rozmowy z panią de Clèves, był wielce zdziwiony i mocno strapiony, że nie ma nawet szczęścia ujrzenia jej. Choroba króla okazała się tak groźna, że siódmego dnia odstąpili go lekarze. Przyjął pewność śmierci z nadzwyczajnym hartem, tym godniejszym podziwu, iż tracił życie przez tak nieszczęsny przypadek, iż umierał w kwiecie wieku, szczęśliwy, uwielbiany przez swoje ludy, kochany przez ubóstwianą kochankę. W przeddzień śmierci kazał dopełnić małżeństwa Jejmości swojej siostry z panem Sabaudzkim, bez wszelkiej pompy. Można osądzić, w jakim stanie była księżna de Valentinois. Królowa nie pozwoliła jej odwiedzić króla i posłała do niej, aby odebrać pieczęć monarchy oraz klejnoty koronne, które ta pani miała w przechowaniu. Księżna zapytała, czy król umarł; kiedy jej powiedziano, że nie:

– Nie mam więc jeszcze pana – odparła – i nikt nie może mnie zmusić do oddania tego, co zaufanie króla złożyło w moje ręce.

Skoro tylko oddał ducha w zamku des Tournelles, książę Ferrary, książę de Guise i książę de Nemours zawiedli do Luwru królowę matkę, króla i młodą królowę. Pan de Nemours prowadził królowę matkę. Kiedy mieli iść, cofnęła się o kilka kroków i rzekła do synowej, że jej należy się pierwszy krok; ale łatwo było poznać, że więcej było kwasu niż uprzejmości w tym

ustępstwie.

C Z Ę Ś Ć C Z W A R T A

Kardynał lotaryński zyskał wszechwładny wpływ na królowę matkę; widam de Chartres nie miał już żadnego udziału w jej łaskach, miłość zaś, jaką żywił dla pani de Martigues, zarówno jak miłość swobody, nie dały mu uczuć tej straty tyle, ile by należało. Kardynał ów przez dziesięć dni choroby króla miał czas obmyślić swoje postępowanie i skłonić królowę do postanowień zgodnych z jego zamiarami: tak, iż skoro tylko król umarł, królowa nakazała konetablowi pozostać w Tournelles przy ciele nieboszczyka króla dla dopełnienia zwykłych ceremonii. To zlecenie oddalało go od wszystkiego i odbierało mu swobodę działania. Posiał umyślnego do króla Nawarry, aby go sprowadzić w te pędy, iżby się sprzeciwili razem temu awansowi panów de Guise. Oddano dowództwo wojsk księciu de Guise, a skarb kardynałowi. Księżnę de Valentinois wypędzono ze dworu; sprowadzono kardynała de Tournon, zdeklarowanego wroga konetabla, oraz kanclerza Oliviera, niemniejszego wroga księżnej de Valentinois. Słowem, dwór zmienił całkowicie fizjonomię. Książę de Guise zajął miejsce obok książąt krwi, niosąc płaszcz królewski na pogrzebie. On i jego bracia stali się całkowicie panami nie tylko dzięki wpływowi kardynała na królowę, ale dlatego, że ta monarchini sądziła, iż będzie mogła ich oddalić, o ileby jej byli nie po myśli, nie mogłaby zaś oddalić konetabla mającego poparcie książąt krwi.

Skoro ukończono obrzędy żałobne, konetabl przybył do Luwru, gdzie król przyjął go bardzo chłodno. Chciał mówić z królem na osobności, ale król przywołał panów de Guise i powiedział mu przy nich, że radzi mu odpocząć; że skarb i hetmaństwo są już rozdane i że kiedy będzie potrzebował jego rad, wezwie go do swojej osoby. Królowa matka przyjęła go jeszcze chłodniej; obсыpała go wręcz wyrzutami o to, co powiedział nieboszczykowi królowi, że dzieci nie są podobne do niego. Przybył król Nawarry i też go nielepiej przyjął. Książę Kondeusz, mniej cierpliwy od brata, skarżył się głośno; skargi jego były daremne, oddalono go ze dworu pod pozorem wysłania go do Flandrii dla podpisania układów o pokój. Pokazano królowi Nawarry fałszywy list króla Hiszpanii, który go oskarżał o zakusy na jego fortece; nastraszone go o jego ziemie; wreszcie poradzono mu usunąć się do Béarn. Królowa dała mu pozór po temu polecając odprowadzić panią Elżbietę i skłoniła go nawet, aby odjechał przed tą księżniczką; w ten sposób nie został na dworze nikt, kto by mógł przeciwważyć wpływ domu Guise.

Mimo że to była przykra rzecz dla pana de Clèves, że nie odwoził pani

Elżbiety, nie mógł się wszakże uskarżać, a to dla majestatu osoby, którą na-
deń przełożono: ale żałował tego zlecenia mniej dla czci, jaką by mu przynio-
sło, ile dlatego, że to była rzecz, która oddalała jego żonę od dworu, bez
umyślnego i jawnego zamiaru z jego strony.

Wkrótce po śmierci króla postanowiono udać się do Reims na koronację.
Skoro tylko zaczęto mówić o tej podróży, pani de Clèves, która wciąż sie-
działa w domu udając chora, prosiła męża, aby pozwolił jej nie jechać ze
dworem, ale udać się do Colomiers dla zaczerpnięcia powietrza i ratowania
zdrowia. Odparł, że nie chce wchodzić, czy to troska o zdrowie odwodzi ją od
tej podróży, ale zgadza się na jej prośbę. Łatwo mógł się zgodzić na coś, co
już był postanowił: mimo najlepszego mniemania o cnotcie żony, rozumiał
dobrze, że ostrożność nie pozwala wystawiać jej dłużej na widok ukochanego
człowieka.

Pan de Nemours dowiedział się niebawem, że pani de Clèves nie jedzie ze
dworem; nie mógł się zdobyć na to, aby odjechać nie ujrzawszy jej, i w
przeddzień wyjazdu udał się do niej tak późno, jak tylko przystojność zezwa-
ła, aby ją zastać samą. Los sprzyjał jego zamiarom. Kiedy wchodził w dzie-
dziniec, spotkał panią de Neyers i panią de Martigues, które wychodziły i
które mu powiedziały, że ją zostawiły samą. Wszedł tedy pomieszany i prze-
jęty wzruszeniem, które można porównać jedynie ze wzruszeniem pani de
Clèves, kiedy jej oznajmiono pana de Nemours. Lęk, aby jej nie mówił o swo-
jej miłości, obawa, aby mu nie odpowiedziała zbyt przychylnie, niepokój, o
jaki te odwiedziny mogły przyprawić męża, przykrość opowiedzenia mu o
nich lub utajenia ich, wszystko to przyszło jej równocześnie na myśl i wpra-
wiło ją w takie zakłopotanie, że postanowiła uniknąć rzeczy, której może naj-
bardziej pragnęła. Posłała jedną ze swych dworek do pana de Nemours, który
czekał w przedpokoju, z odpowiedzią, że czuje się cierpiąca i że z wielkim
swym żalem nie może przyjąć zaszczytu, jaki jej czyni. Cóż za boleść dla
księcia nie widzieć pani de Clèves, i to nie widzieć z własnej jej woli! Odjeź-
dzał nazajutrz; nie mógł się niczego spodziewać od przypadku. Nie mówił z
nią od czasu owej rozmowy u królewicowej i mógł przypuszczać, że owo nie-
baczne zwierzenie zniweczyło wszystkie jego nadzieje; słowem odchodził uno-
sząc wszystko, co mogło zaognić jego dotkliwą boleść.

Skoro tylko pani de Clèves ochłonęła nieco, wszystkie racje, które kazały
jej odprawić księcia, pierzchły; uważała nawet, że źle zrobiła, i gdyby śmiała
lub gdyby był jeszcze czas, kazałaby go odwołać.

Wyszedszy od niej, panie de Nevers i de Martigues udały się do królewi-
cowej; był tam pan de Clèves. Królewicowa spytała ich, skąd idą; odpowie-
działy, że były u pani de Clèves, gdzie spędziły popołudnie w licznym towa-
rzystwie i zostawiły tam jedynie pana de Nemours.

Te słowa, obojętne dla nich, nie były obojętne dla pana de Clèves. Mimo iż
musiał rozumieć, że pan de Nemours łatwo może znaleźć sposobność mówie-
nia z jego żoną, mimo to myślał, że on jest u niej, że jest z nią sam i że może jej
mówić o swojej miłości, zdała mu się w tej chwili tak nową i tak nieznośną,
że zazdrość rozpalila się w jego sercu gwałtowniej niż kiedykolwiek. Nie po-
dobna mu było zostać u królowej; wrócił nie wiedząc nawet, czemu wraca i
czy ma zamiar zaskoczyć pana de Nemours. Zbliżając się do domu rozejrzał
się, zali nie spostrzeże nic, z czego by mógł wnioskować, czy księżę jest tam
jeszcze: doznał ulgi widząc, że go już nie ma i miło mu było pomyśleć, że nie

mógł zostawać długo. Wyobraził sobie, że to może nie o pana de Nemours trzeba być zazdrosnym: chociaż nie wątpił o tym, silił się wątpić; ale tyle go o tym przekonywało, że niedługo pozostawał w upragnionej niepewności. Udał się najpierw do pokoju żony i po krótkiej rozmowie o rzeczach obojętnych nie mógł się wstrzymać, aby jej nie spytać, co robiła i kogo widziała; zdała mu relację. Widząc, że nie wymienia pana de Nemours, spytał ze drżeniem, czy to wszyscy, których widziała, aby jej dać sposobność wymienienia księcia i nie mieć tej zgryzoty, że ona go podeszła. Ponieważ go nie przyjęła, nie wymieniła go; na co pan de Clèves ozwał się tonem nabrzmiałym goryczą:

– A pana de Nemours – rzekł – nie widziałas czy zapomniałaś o tym?

– Nie widziałam go w istocie – odparła – czułam się niedobrze i kazałam go przeprosić.

– Czułaś się zatem niedobrze tylko dla niego – odparł pan de Clèves. – Skoro przyjęłaś wszystkich, czemu to wyróżnienie dla pana de Nemours? Czemu on nie jest dla ciebie tym samym co wszyscy? Czemu trzeba ci się lękać jego widoku? Czemu mu okazujesz, że się go obawiasz? Czemu dajesz mu poznać, że czynisz użytek z władzy, jaką jego miłość daje ci nad nim? Czy śmiałybyś go nie przyjąć, gdybyś nie wiedziała, że on odróżnia twoją surowość od niegrzeczności? Ale czemu musisz być srogą dla niego? Ze strony osoby takiej jak ty wszystko jest łaską, wyjąwszy obojętność.

– Nie sądziłam – odparła pani de Clèves – choćbyś nawet miał podejrzenia co do pana de Nemours, abyś mi miał czynić wyrzuty, że go nie przyjęła.

– Owszem – odparł – i są one bardzo uzasadnione: czemu go nie chcesz widzieć, jeśli ci nic nie wyznał? Ale on wyznał ci swą miłość; gdyby jedynie milczenie zdradziło jego uczucia, nie zrobiłaby ona na tobie takiego wrażenia. Nie mogłaś mi powiedzieć całej prawdy, ukryłaś mi z niej wiele; pożałowałaś nawet tej trochy, którą mi wyznałaś, i nie miałaś siły iść tą drogą dalej. Jestem nieszczęśliwszy, niż mniemałem, najnieszczęśliwszy z ludzi. Jesteś moją żoną, kocham cię jak kochankę i widzę, że kochasz innego. Ten inny to najmiłszy człowiek na całym dworze i widuje cię co dzień, i wie, że go kochasz. Ha! jak mogłem myśleć – wykrzyknął – że ty przewycięzysz swą miłość? Musiałem chyba rozum stracić, aby wierzyć, że to jest możliwe.

Nie wiem – odparła smutno pani de Clèves – czy zbłądziłeś sądząc przychylnie postępek tak niezwykajny jak mój; ale nie wiem, czy ja się nie omyliłam wierząc, że mi oddasz sprawiedliwość?

– Nie wątp o tym – odparł pan de Clèves – omyliłaś się, oczekiwałaś po mnie rzeczy niemożliwych jak te, których ja oczekiwałem po tobie. Jak mogłaś się spodziewać, że ja zachowam rozum? Zapomniałaś tedy, że kocham cię bez pamięci i że jestem twoim mężem? Jedna z tych rzeczy może przywieść do ostateczności, cóż dopiero obie razem? I czegoż w istocie nie czynią! – ciągnął. – Miotają mną same gwałtowne i mętne uczucia, których nie jestem panem. Nie czuję się już godny ciebie; ty nie wydajesz mi się godną mnie. Ubóstwiam cię i nienawidzę; obrażam cię i błagam o przebaczenie; podziwiam cię i wstyd mi, że cię podziwiam. Słowem, nie ma już we mnie spokoju ani rozsądku. Nie wiem, jak mogłem żyć od naszej rozmowy w Colomiers i od dnia, gdy dowiedziałaś się od królewicowej, że twoją przygodę znają. Nie mogę zgadnąć, w jaki sposób ją znają ani co zaszło między panem de Nemours a tobą w tej mierze; ty nie powiesz mi tego nigdy, a ja cię nie proszę o to. Proszę jedynie, abyś pamiętała, że uczyniłaś mnie najnieszczęśliwszym człowie-

kiem na ziemi.

Po tych słowach pan de Clèves opuścił żonę i wyjechał nazajutrz nie widząc jej; ale zostawił list pełen smutku, zacności i słodyczy. Odpisała mu, a odpowiedź jej była tak wzruszająca i uspokajająca co do jej postępowania w przeszłości i na przyszłość, że ponieważ jej zapewnienia oparte były na prawdzie i zgodne z jej uczuciami, list ten uczynił wrażenie na panu de Clèves i uspokoił go nieco; tym bardziej iż skoro pan de Nemours pośpieszył do króla równocześnie z nim, dawało to pewność, że nie będzie w pobliżu jego żony. Za każdym razem, kiedy pani de Clèves mówiła z mężem, jego miłość, zacność, przyjaźń, jaką miała dla niego i ta, którą mu była powinna, zaprzętały jej serce, osłabiając myśl o panu de Nemours; ale to było tylko na jakiś czas; ta myśl wracała niebawem, jeszcze żywsza i przytomniejsza niż wprzód.

Przez pierwsze dni po wyjeździe księcia nie czuła niejako jego nieobecności, potem ta rozłąka wydała jej się okrutna. Od czasu jak go kochała, nie minął dzień, w którym by się nie obawiała albo nie spodziewała spotkania; gorzką wielce była jej myśl, że nie jest już w mocy przypadku sprawić, aby go spotkała, Wyjechała do Colomiers; udając się tam, zabrała z sobą wielkie obrazy, które dała skopiować z oryginałów wykonanych na żądanie pani de Valentinois do jej pałacyku w Anet. Wszystkie znaczne czyny, spełnione za panowania króla Henryka, znajdowały się na tych obrazach. Było tam, między innymi, oblężenie Metz i wszyscy, którzy się tam odznaczyli, byli wymalowani z wielkim podobieństwem. Pan de Nemours był w ich liczbie, i to może obudziło w pani de Clèves chęć posiadania tych obrazów.

Pani de Martigues, która nie mogła jechać ze dworem, przyrzekła jej spędzić kilka dni w Colomiers. Łaska królowej, którą dzieliły obie, nie zrodziła w nich zawiści ani niechęci; były w przyjaźni, nic zwierając sobie wszakże swych uczuć. Pani de Clèves wiedziała, że pani de Martigues kocha widamą, ale pani de Martigues nie wiedziała, że pani de Clèves kocha pana de Nemours ani że on ją kocha. To, że była siostrzenicą widamą, czyniło jej panią de Clèves tym droższą; a pani de Clèves kochała ją również jak osobę, która kocha tak jak ona i która kocha serdecznego przyjaciela jej ukochanego.

Pani de Martigues przybyła do Colomiers, jak przyrzekła pani de Clèves; zastała ją pędzącą życie nader samotne. Księżna szukała wręcz zupełnej samotności i spędzała wieczory w ogrodzie bez otoczenia domowników. Zachodziła do owego domku, w którym pan de Nemours ją podsłuchiwał; szła do pokoju wychodzącego na ogród. Dworki jej i służba zostawali w drugim pokoju albo wpodłe domku i nie zjawiali się, aż zawezwani. Pani de Martigues nie widziała nigdy Colomiers, zdziwiły ją wszystkie cudzy, jakie tam ujrzała, a zwłaszcza ten luby domek. Spędzały tam z panią de Clèves wszystkie wieczory. Swoboda, samotność, noc w najpiękniejszym ustroniu w świecie, wszystko to było przyczyną, że gawędy młodych kobiet trwały bez końca. Każda z nich kryła w duszy miłość; mimo że nie dochodziło do zwierzeń, lubiły rozmawiać ze sobą. Pani de Martigues byłaby z żalem opuszczała Colomiers, gdyby, odjeżdżając stamtąd, nie miała się udać w miejsce, gdzie był widam. Odjechała spiesząc do Chambord, gdzie dwór znajdował się w tej chwili.

Koronacji dokonał w Beims kardynał lotaryński; resztę lata dwór miał spędzić w zamku Chambord, który świeżo zbudowano. Królowa ucieszyła się bardzo widząc panią de Martigues; nacieszywszy się nią do syta, spytała o panią de Clèves i o to, co robi na wsi. Pan de Nemours i pan de Clèves byli w

tej chwili u królowej. Pani de Martigues, która opuściła Colomiers zachwycona, opisała wszystkie piękności, opowiadając zwłaszcza o domku w lesie i o upodobaniu pani de Clèves w tym, aby się tam przechadzać samotnie do późnej nocy.

Pan de Nemours, który znalazł na tyle to miejsce, aby sobie uprzytomnić opowiadanie pani de Martigues, pomyślał, że nie byłoby może niepodobieństwem ujrzeć panią de Clèves, będąc widziany tylko przez nią. Zadał pani de Martigues kilka pytań, aby się jeszcze upewnić, a pan de Clèves, który nań ciągle patrzył w czasie tej rozmowy, miał wrażenie, że wie, co jemu powstało w myśli. Pytania księcia utwierdziły go jeszcze w tym mniemaniu, tak iż nie wątpił, że on będzie się starał ujrzeć jego żonę. Nie mylił się. Zamiar ten wbił się tak silnie w duszę pana de Nemours, że, spędziwszy noc na rozmyślaniu nad sposobami, zaraz rano udał się do króla, prosząc o pozwolenie jazdy do Paryża pod jakimś zmyślonym pozorem.

Pan de Clèves nie miał wątpliwości co do celu tej podróży, ale postanowił wyświecić postępowanie żony i nie pozostawać w okrutnej niepewności. Miał ochotę wyjechać równocześnie z panem de Nemours i śledzić po kryjomu, jaki skutek odniesie ta podróż; ale lękając się, aby jego wyjazd nie wydał się niezwykły i aby pan de Nemours, uprzedzony o nim, nie zmienił planu, postanowił zwierzyć się jednemu z dworzan, którego znał roztropność i oddanie. Odkrył mu swoje kłopoty; powiedział o dotychczasowej cnotce pani de Clèves i kazał mu ruszyć w trop pana de Nemours, śledzić go pilnie, przekonać się, czy nie pojedzie do Colomiers i czy nie zakradnie się w nocy do ogrodu.

Szlachcic ów, człowiek bardzo zręczny do takiego zlecenia, wywiązał się zeń najściślej. Jechał za panem de Nemours aż do pewnej wioski o pół mili od Colomiers, gdzie księżę się zatrzymał; odgadł łatwo, że zamierza tam doczekać nocy. Nie uważał za właściwe stanąć tam również; minął wieś i udał się w las, w miejsce, przez które, jego mniemaniem, pan de Nemours miał przejeżdżać; nie omylił się ani na jotę. Ledwie zapadła noc, usłyszał kroki i mimo ciemności poznał z łatwością pana de Nemours. Ujrzał, jak okraża ogród, jak gdyby nadśluchując, czy nie usłyszy nikogo, i wybierając miejsce, gdzie mógłby najłatwiej przejść. Palisada była bardzo wysoka, a za nią była jeszcze jedna, aby nikt nie mógł wejść; tak że trudno było znaleźć dostęp. Pan de Nemours uporał się z tym wszakże; znalazłszy się w ogrodzie, łatwo mógł rozpoznać, gdzie jest pani de Clèves. Ujrzał wiele świateł w oknach, które wszystkie były otwarte; przemykając się wzdłuż palisady, zbliżył się do domku z łatwym do pojęcia wzruszeniem i obawą. Przystanął za oszklonymi drzwiami, aby zobaczyć, co robi pani de Clèves. Ujrzał, że jest sama: ale zdała mu się tak cudownie piękna, że zaledwie zdołał opanować swoje uniesienie. Było ciepło, nie miała nic na głowie i ramionach prócz niedbale związanych włosów. Siedziała na sofie; na stoliku tuż obok stało kilka koszyków pełnych wstążek; wybrała z nich kilka, przy czym pan de Nemours zauważył, że były tych samych kolorów, jakie on miał na turnieju. Ujrzał, że robiła z nich kokardki do indyjskiej trzciny, bardzo rzadkiej, którą nosił czasami i którą dał siostrze. Księżna wzięła ją pani de Mercoeur, nie zdradzając, że poznaje własność pana de Nemours. Skoro ukończyła robotę z wdziękiem i słodyczą, w których odbijały się jej uczucia, wzięła pochodnię i podeszła do stołu na wprost obrazu oblężenia Metz, gdzie był portret pana de Nemours. Usiadła i zaczęła patrzeć na ten portret z uwagą i rozmarzeniem, jakie może

tchnąć tylko miłość.

Nie podobna wyrazić uczuć pana de Nemours w tej chwili. Widzieć w nocy, w najpiękniejszym miejscu w świecie, ubóstwianą osobę; widzieć ją bez jej wiedzy i zajęta wyłącznie rzeczami, które miały związek z jej skrywaną przed nim miłością, oto czego nie smakował ani nie wyobraził sobie żaden inny kochanek.

Książę tak dalece nie wiedział, co się z nim dzieje, że stał nieruchomy patrząc na panią de Clèves, nie myśląc, że chwile są drogie. Kiedy nieco ochłonał, pomyślał, że trzeba czekać, aż ona przejdzie do ogrodu; sądził, że tam będzie mógł z nią mówić bezpieczniej, gdyż będzie dalej od dworek. Ale widząc, że ona nie opuszcza pokoju, postanowił wejść. Jakież wzruszenie, w chwili gdy miał to uczynić! Jaka obawa obrażenia jej! Jakiż lęk, że odmieni się twarz tak pełna słodyczy i że zjawi się na niej wyraz srogości i gniewu!

Uczuł, że to było szaleństwo; nie to, aby oglądać panią de Clèves bez jej wiedzy, ale aby się jej pokazać; zrozumiał wszystko to, czego sobie wprzód nie uprzytomnił. Wydało mu się bezmiernym zuchwalstwem zaskakiwać w nocy osobę, której nigdy nawet nie mówi o swej miłości. Uczuł, że nie może marzyć o tym, aby go zechciała wysłuchać, i że ona poweźmie słuszny gniew za niebezpieczeństwo, na jakie ją naraża. Cała odwaga opuściła go; już gotów był się oddalić, nie pokazując się jej na oczy. Party wszakże pragnieniem mówienia z nią i mamiony nadziejami, jakie mu dawało to, co widział, posunął się o kilka kroków, ale tak wzruszony, że szarfa, którą miał na sobie, zahaczyła się o okno, robiąc nieco hałasu. Pani de Clèves obróciła głowę i, czy to, że duszę miała pełną księcia, czy że znajdował się w miejscu dostatecznie oświetlonym, aby go mogła poznać, zdało się jej, że go widzi. Nie wahając się ani odwracając się w jego stronę, weszła do sali, gdzie znajdowały się dworki. Weszła tak pomieszana, że aby to ukryć, musiała powiedzieć, że jej jest słabo; powiedziała to także, aby zatrudnić swoich ludzi i zostawić panu de Nemours czas na ucieczkę. Zastanowiwszy się nieco, pomyślała, że się omyliła i że to jeno w wyobraźni widziała pana de Nemours. Wiedziała, że jest w Chambord; i nie mogła uwierzyć, aby się odważył na rzecz tak zuchwałą; już miała ochotę cofnąć się do izby i iść do ogrodu zobaczyć, czy tam kto jest. Może tyleż pragnęła, ile się lękała ujrzeć tam pana de Nemours. Ale w końcu rozsądek i przezorność przeważyły; uznała, że lepiej jest zachować wątpliwości niż narażać się na ich rozjaśnienie. Długo nie mogła się zdobyć na opuszczenie miejsca, którego – myślała – książę był może blisko. Był już niemal dzień, kiedy wróciła do zamku.

Pan de Nemours pozostał w ogrodzie, póki widział światło; nie mógł się rozstać z nadzieją ujrzenia pani de Clèves, mimo że był przekonany, że ona go poznała i że wyszła jedynie dlatego, aby go uniknąć; wreszcie widząc, że zamykają drzwi, zrozumiał, iż nie ma się już czego spodziewać. Wrócił po swego konia, tuż obok miejsca, gdzie czatował dworzanin pani de Clèves. Szlachcic ów jechał za nim aż do tej samej wioski, z której książę wyruszył wieczorem. Pan de Nemours postanowił tam spędzić dzień, aby wrócić w nocy do Colomiers, przekonać się, czy pani de Clèves będzie na tyle okrutna, aby uciec przed nim lub też nie pokazać się jego oczom. Mimo iż wielce szczęśliwy, że ją zastał tak pełną myśli o nim, trapił się wszakże, że tak łatwo jej przyszło uciec przed nim.

Nigdy nikt nie czuł miłości namiętniejszej i tkliwszej niż książę w tej

chwili. Udał się pod wierzby, nad strumyk płynący za chatką, w której był ukryty. Oddalił się, ile tylko mógł, iżby go nikt nie widział i nie słyszał; oddał się uniesieniom swej miłości, która tak rozpierała mu serce, że musiał uronić kilka łez; ale nie były to łzy samego bólu; były pomieszane ze słodyczą i z owym czarem, jaki istnieje tylko w miłości.

Zaczął w myśli przechodzić postęпки pani de Clèves od czasu, jak ją kocha; jakże uczciwą i skromną okazała się zawsze wobec niego, mimo że go kochała! „Bo przecież ona mnie kocha – mówił – kocha mnie, nie mogę wątpić o tym; największe zakłęcia i największe łaski nie są tak pewnym świadectwem jak to, które ja miałem od niej. A jednak obchodzi się ze mną równie srogo, co gdyby mnie nienawidziła; liczyłem na czas, niczego już się po nim nie mogę spodziewać; wciąż jednak się broni przeciw mnie i przeciw sobie samej. Gdyby mnie nie kochała, starałbym się jej być miły; ale jestem jej miły, kocha mnie i kryje to przede mną. Czegóż się tedy spodziewać, jakiej odmiany oczekiwać w mym losie? Jak to? Kochany przez najmiłszą istotę w świecie, czuję ów bezmiar ogniów, jaki rodzi się z pierwszych oznak wzajemności, jedynie po to, aby lepiej czuć mękę wzdargy. Okaż mi, że mnie kochasz, piękna księżniczko – wykrzyknął – okaż mi swoje uczucia; byłem je poznał z ust twoich raz jeden w życiu, godzę się, byś wróciła na zawsze do tej srogości, którą mnie gnębisz. Popatrz na mnie bodaj tymi samymi oczyma, jakimi tej nocy patrzałaś na mój portret; mogłaś nań patrzeć z taką słodyczą, a uciekać przede mną samym tak okrutnie? Czegóż się lękasz? Czemu moja miłość jest ci tak straszna? Kochasz mnie, kryjesz mi to nadaremnie; ty sama dałaś mi tego mimowolne dowody. Znam moje szczęście; pozwól mi się nim cieszyć, przestań mnie unieszczęśliwiać. Czy podobna – powtarzał – być kochanym przez panią de Clèves i być nieszczęśliwym? Co to była za cudna noc! Jak mogłem się opanować, aby się nie rzucić do jej stóp! Gdybym to był uczynił, byłbym ją może wstrzymał od ucieczki; szacunek mój byłby ją uspokoił; ale może mnie nie poznała; trapię się więcej niż trzeba. Po prostu widok człowieka, o godzinie tak niezwykłej, przestraszył ją.”

Te same myśli zaprzętały pana de Nemours przez cały dzień; czekał niecierpliwie nocy; kiedy zaś nadeszła, znów udał się do Colomiers. Dworzanin pana de Clèves, który się przebrał, aby mniej zwracać na siebie uwagi, podążał za nim aż do miejsca, do którego go prowadził wczoraj, i ujrzał, że tak samo wchodzi do ogrodu. Książę poznał rychło, że pani de Clèves nie chce się wystawiać jeszcze na jedną próbę; wszystkie drzwi były zamknięte. Obchodził ze wszystkich stron, aby zbadać, czy nie ujrzy światła; ale nadaremnie.

Pani de Clèves, podejrzewając, że pan de Nemours mógłby wrócić, została w pokoju; bała się, że nie zawsze będzie miała siłę uciekać przed nim, nie chciała się narażać na to, że może się zachować w sposób niezgodny z dotychczasowym jej postępowaniem.

Mimo że pan de Nemours nie miał żadnej nadziei ujrzenia jej, nie mógł się zdobyć na to, aby opuścić miejsce, w którym ona bywała tak często. Spędził całą noc w ogrodzie i znalazł nieco pociechy w tym, aby widzieć bodaj przedmioty, które ona oglądała co dzień. Słońce wstało, nim on pomyślał o tym, aby odejść, ale wreszcie obawa, by go nie odkryto, skłoniła go do odwrotu.

Nie podobna mu było oddalić się bez ujrzenia pani de Clèves; udał się do pani de Mercoeur, która bawiła wówczas u siebie w sąsiedztwie. Bardzo się zdziwiła zjawieniem brata. Wymyślił dość prawdopodobną przyczynę swej

podróży, słowem pokierował rzecz tak zręcznie, że sama mu poddała odwiedzenie pani de Clèves. Wybrali się tam tegoż samego dnia, przy czym pan de Nemours powiedział siostrze, że ją pożegna w Colomiers, aby wracać pilno do króla. Umyślił rozstać się z nią w Colomiers, aby jej dać odjechać pierwszej, i sądził, że znalazł niezawodny sposób mówienia z panią de Clèves.

Kiedy przybyli, przechadzała się w alei obiegającej trawnik. Widok pana de Nemours niemało ją wzruszył; nie mogła już wątpić, że to jego widziała poprzedniej nocy. Pewność ta zrodziła w niej nieco gniewu, krok ten musiał się jej wydać zuchwały i nieostrożny. Książę zauważył na jej twarzy chłód, który go przejął dotkliwym bólem. Rozmowa toczyła się o rzeczach obojętnych; mimo to zdołał rozwinąć tyle dowcipu, uprzejmości i tyle podziwu dla pani de Clèves, iż mimo jej woli rozproszył znacznie ów chłód, w jaki oblekła się zrazu.

Kiedy uspokoił pierwsze swe obawy, okazał się wielce ciekaw ujrzeć domek w lesie. Mówił o nim jako o najmilszej rzeczy w świecie, opisał go nawet tak dokładnie, że pani de Mercoeur rzekła, iż chyba musiał być tam wiele razy, aby znać tak dobrze wszystkie jego piękności.

– Nie sądzę – odparła pani de Clèves – aby pan de Nemours był tam kiedy; skończono budowę niedawno temu.

– Toteż niedawno tam byłem – odparł pan de Nemours patrząc na nią – i nie wiem, czy nie powinienem być bardzo rad, iż pani zapomniała, że mnie tam widziała.

Pani de Mercoeur, która oglądała piękności ogrodu, nie zwróciła uwagi na słowa brata. Pani de Clèves spłonila się, spuściła oczy nie patrząc na pana de Nemours i rzekła:

– Nie przypominam sobie, abym tam pana widziała; jeśli pan był, to bez mojej wiedzy.

– To prawda, pani – odparł pan de Nemours – że byłem tam bez pani rozkazu i spędziłem tam najśłodsze i najokrutniejsze chwile mego życia.

Pani de Clèves rozumiała zbyt dobrze słowa księcia, ale nie odpowiedziała nic; myślała, jak przeszkodzić, aby pani de Mercoeur nie zaszła do tego domku, ponieważ był tam portret pana de Nemours: nie chciała, aby go widziano. Postarała się, aby czas zbiegł niepostrzeżenie, aż pani de Mercoeur zaczęła mówić o powrocie. Ale kiedy pani de Clèves spostrzegła, że pan de Nemours i jego siostra nie odjeżdżają razem, zrozumiała, co jej grozi; znalazła się w tym samym kłopotcie co w Paryżu i powzięła to samo postanowienie. Obawa, aby te odwiedziny nie stały się znowu potwierdzeniem podejrzeń męża, niemało przyczyniła się do jej decyzji; chcąc uniknąć, by pan de Nemours nie został z nią sam na sam, oświadczyła pani de Mercoeur, że ją odwiezie aż na skraj lasu, i nakazała, aby karoça jechała za nią. Ból, jaki uczuł książę, widząc wciąż tę samą srogość pani de Clèves, był tak gwałtowny, że w jednej chwili zbladł. Pani de Mercoeur spytała, czy mu nie słabo; ale on patrzył na panią de Clèves niepostrzeżenie dla wszystkich i powiedział jej swoimi oczyma, że jedynym jego cierpieniem jest rozpacz. Musiał wszakże pozwolić paniom odjechać, nie śmiejąc jechać za nimi, po tym zaś, co powiedział, nie mógł już wracać z siostrą; za czym pośpieszył do Paryża i opuścił go nazajutrz.

Dworzanin pana de Clèves śledził księcia ciągle: wrócił też do Paryża i kiedy ujrział, że pan de Nemours odjeżdża do Chambord, wziął pocztę, aby przybyć przed nim i zdać sprawę ze swej podróży. Pan de Clèves oczekiwał

jego powrotu jak rzeczy, która miała rozstrzygnąć o nieszczęściu całego jego życia.

Skoro tylko go ujrzał, osądził z jego twarzy i milczenia, że ma dlań same przykre wieści. Siedział jakiś czas, przejęty zgryzotą, ze spuszczoną głową, nie mogąc mówić; wreszcie dał mu znak ręką, aby wyszedł.

– Idź – rzekł – widzę, co mi masz do powiedzenia; ale nie mam siły słuchać.

– Nie mam ci, panie, nic do powiedzenia – odparł dworzanin – co by pozwa-
lało na jakiś pewny sąd. Prawda, że pan de Nemours wszedł dwa razy w nocy
do ogrodu i że był następnego dnia w Colomiers z panią de Mercoeur.

– To dosyć – odparł pan de Clèves dając mu jeszcze raz znak, aby odszedł –
to dosyć, nie trzeba mi bliższych wyjaśnień.

Dworzanin musiał zostawić swego pana pogrążonego w boleści. Nie było mo-
że sroższej rozpacz i mało który z ludzi o sercu tak wielkim i namiętym jak
pan de Clèves odczuł równocześnie ból, jaki sprawia niewierność kochanki, i
wstyd, że się jest zdradzonym przez żonę.

Pan de Clèves nie mógł się oprzeć przygnębieniu, jakie nim owładnęło.
Gorączka chwyciła go tej samej nocy z tak ciężkimi przypadłościami, że od
razu choroba wydała się bardzo niebezpieczna. Uprzedzono panią de Clèves;
zjechała pilno. Kiedy przybyła, mąż miał się jeszcze gorzej: uczuła w nim taki
lodowaty chłód, że ją to bardzo zdziwiło i zmartwiło. Wydało się jej nawet, że
z niechęcią przyjmuje jej usługi, ale myślała, że to może skutek choroby.

Skoro tylko zjawiła się w Blois, gdzie dwór znajdował się w tej chwili, pan
de Nemours nie mógł się wstrzymać od radości na wieść, że ona jest tam
gdzie i on. Próbował ją widzieć, zachodził co dzień do pana de Clèves pod po-
zorem dowiadywania się o jego zdrowie; ale na próżno. Nie wychodziła z po-
koju męża, gnębił ją strasznie stan, w jakim go znalazła. Pan de Nemours
zrozpaczony był jej strapieniem; rozumiał, jak bardzo to strapienie musiało
odnowić przywiązanie jej do męża i jak niebezpieczne jest to przywiązanie dla
innych jej uczuć. Świadomość ta przejęła go „na jakiś czas śmiertelną zgry-
zotą; ale ciężki stan pana de Clèves ukazał mu nowe nadzieje. Ujrzał, że pani
de Clèves zyska może swobodę pójścia za swoją skłonnością i że może go
czeka jeszcze pasmo rozkoszy i szczęścia. Nie mógł znieść tej myśli, tyle w
nim rodziła wzruszenia i szału, oddalał ją od siebie z obawy, aby nie popaść
w zbytnią rozpacz, w razie gdyby postradał te nadzieje.

Tymczasem pana de Clèves lekarze niemal odstępili. Jednego z ostatnich
dni, spędziwszy bardzo złą noc, powiedział rano, że chce odpocząć. Pani de
Clèves została sama w swoim pokoju; zdawało się jej, że zamiast odpoczywać
mąż jest bardzo niespokojny. Zbliżyła się i wsparła się o jego łóżko z twarzą
zroszoną łzami. Pan de Clèves zamierzał nie okazywać ciężkiego żalu, jaki ma
do niej, ale opieka, jaką go otaczała, i zmartwienie jej, które zdawało się nie-
kiedy szczere, a czasem znowuż zdawało mu się dziełem udania i przewrot-
ności, budziły w nim uczucia tak sprzeczne i tak bolesne, że nie mógł ich
zdławić w sobie.

– Wylewasz, pani, wiele łez – rzekł – z powodu śmierci, którą sama sprawiłaś
i która nie może budzić w tobie smutku, jaki okazujesz. Nie jestem już zdolny
czynić ci wymówek – ciągnął głosem osłabłym z choroby i bólu – ale umieram
z okrutnej zgryzoty, jaką mi sprawiłaś. Trzebaż, aby postępek tak niezwy-
czajny, jak ów w Colomiers, tak mało miał wpływu na przyszłość? Czemuś
mi się zwierzała z miłości do pana de Nemours, jeśli cnota twoja nie miała

już siły mu się opierać? Kochałem cię do tego stopnia, że chętnie dałbym się oszukać, wyznaję to ku memu wstydu; żałowałem tego zwodnego spokoju, z którego mnie wyrwałaś. Czemuś mnie nie zostawiła w spokojnym zaślepieniu, którym cieszy się tylu mężów? Byłbym może całe życie nie wiedział, że ty kochasz pana de Nemours. Umrę – dodał – ale wiedz, że czynisz mi śmierć lubą i że po stracie szacunku i tkliwości, jakie miałem dla ciebie, życie byłoby mi wstrętne. Co by mi to było za życie – ciągnął – spędzić je z istotą, którą tak kochałem i która mnie tak okrutnie oszukała, lub też żyć w rozłączeniu i dojść do wybuchów i gwałtów, tak sprzecznych z moją naturą i z moją dawną miłością dla ciebie? Była ona większa, niż myślałaś; kryłem się z nią nawet przeważnie przed tobą z obawy, aby nie być ci natrętem lub nie umniejszyć twego szacunku zachowaniem, które nie byłoby właściwe dla męża. Słowem, wart byłem twego serca; jeszcze raz mówię, umieram bez żalu, skoro nie mogłem go mieć i skoro nie mogę go już pragnąć. Żegnaj, pani; pożałujesz kiedy człowieka, który cię kochał uczuciem szczerym i prawym. Poznasz zgryzoty, jakie znajdują osoby cnotliwe w takich związkach, i poznasz różnicę między miłością taką jak moja a uczuciami tych, którzy, okazując ci miłość, szukają jedynie chwały uwiedzenia cię. Ale śmierć moja zostawi ci swobodę – dodał – będziesz mogła uszczęśliwić pana de Nemours nie uciekając się do zbrodni. Cóż mi znaczy – dodał – co się stanie, gdy mnie już nie będzie; cóż za niegodna słabość myśleć jeszcze o tym.

Pani de Clèves była tak daleka od myśli, że mąż ją podejrzewa, iż słuchała tych słów nie rozumiejąc ich, sądząc, że on jej wyrzuca tylko skłonność do pana de Nemours. Nagle, wyrwana z osłupienia, krzyknęła:

– Ja, zbrodni! sama myśl o tym jest mi nie znana. Najsurowsza cnota nie może wskazać innego postępowania niż to, którego ja się trzymałam; nigdy nie uczyniłam nic, czego bym nie pragnęła, abys był świadkiem.

– Czy byłabyś pragnęła – odparł pan de Clèves patrząc na nią ze wzgardą – abym był świadkiem nocy, które spędziłaś z panem de Nemours? Ha! pani, czy ja o tobie mówię, kiedy mówię o kobiecie, która spędzała noce z mężczyznami?

– Nie, mężu – rzekła – nie, nie o mnie mówisz. Nigdy nie spędziłam ani nocy, ani nawet chwili z panem de Nemours. Nigdy nie widział mnie na osobności; nigdy nie ścierpiałam ani nie słuchałam go i mogę przysiąc na wszystko...

– Nie mów więcej – przerwał pan de Clèves – fałszywe przysięgi czy wyznanie sprawiłyby mi może jednaką przykrość.

Pani de Clèves nie mogła nic odpowiedzieć; łzy i ból odejmowały jej mowę; wreszcie rzekła z wysiłkiem:

– Popatrz na mnie bodaj, wysłuchaj mnie. Gdyby szło tylko o mnie, zniosłabym te wymówki, ale tu idzie o twoje życie. Wysłuchaj mnie przez miłość samego siebie; nie podobna, abym będąc tak szczerą, nie przekonała cię o mej niewinności.

– Dałby Bóg, abys mnie mogła przekonać! – wykrzyknął – ale co możesz mi powiedzieć? Czy pan de Nemours nie był w Colomiers wraz z siostrą? I czy nie spędził dwóch poprzednich nocy z tobą w ogrodzie?

– Jeśli to jest moja zbrodnia – rzekła – łatwo się usprawiedliwię. Nie proszę cię, abys mi wierzył; ale uwierz wszystkim swoim ludziom i spytaj, czy chodziłam do ogrodu w wilię dnia, w którym pan de Nemours przybył do Colomiers, czy nie wróciłam wieczór do domu o dwie godziny wcześniej niż zwy-

kle.

Opowiedziała mu następnie, jak jej się zdawało, że widzi kogoś w ogrodzie. Wyznała nawet, że sądziła, iż to jest pan de Nemours. Mówiła o tym z taką pewnością, i tak łatwo jest przekonać o prawdzie, nawet gdy nie jest prawdopodobna, że pan de Clèves był niemal przekonany o jej niewinności.

– Nie wiem – rzekł – czy powinienem ci uwierzyć. Czuję się tak bliski śmierci, że nie chcę nic wiedzieć, co by mi kazało żałować życia. Oświeciłaś mnie zbyt późno; ale zawsze będzie mi ulgą unieść z sobą myśl, że jesteś godną mojej czci dla ciebie. Proszę cię jeszcze o tę pociechę, abym mógł wierzyć, że pamięć moja będzie ci droga i, że gdyby to zależało od ciebie, byłabyś miała dla mnie uczucia, które żywisz dla innego.

Chciał mówić dalej, ale niemoc odjęła mu głos. Pani de Clèves przywołała lekarzy, znaleźli go niemal bez życia. Kwękał mimo to jeszcze kilka dni, wreszcie umarł z cudownym męstwem.

Pani de Clèves była pogrążona w tak gwałtownej zgryzocie, że niemal postradała rozum. Królowa przybyła ją odwiedzić i zawiozła ją do klasztoru; nie wiedziała, dokąd ją prowadzą. Kiedy bratowe odwiozły ją do Paryża, jeszcze nie była zdolna opatrzeć się w swej boleści. Skoro zaczęła ją sobie uprzytamniać, skoro ujrzała, jakiego męża straciła i że to ona była przyczyną jego śmierci, i że spowodowała ją namiętność jej dla innego mężczyzny, nie podobna wyobrazić sobie wstrętu, jaki uczuła dla siebie samej i do pana de Nemours.

Książę nie śmiał w pierwszych chwilach okazywać jej więcej względów ponad te, jakie mu zalecała przystojność. Znał na tyle panią de Clèves, aby wiedzieć, że większa skwapliwość byłaby jej niemiła; ale to, czego się dowiedział później, pouczyło go, że długi czas winien się trzymać tej samej drogi.

Giermek jego powtórzył mu, iż dworzanin pana de Clèves, z którym był zażyły, powiadał w pierwszym żalu po śmierci pana, że podróż pana de Nemours była przyczyną tego zgonu. Pan de Nemours zdziwił się wielce tą mową; ale po zastanowieniu domyślił się po trosze prawdy. Zrozumiał, jakie muszą być pierwsze uczucia pani de Clèves i jaką odrazę musi mieć do niego, jeżeli przypuszcza, że choroba męża wynikała z zazdrości. Pomyślał, że nie trzeba nawet tak rychło przypominać jej swego istnienia i mimo całej przykrości trzymał się tego postępowania.

Bądź co bądź wybrał się do Paryża i nie mógł się wstrzymać, aby nie spytać odźwiernego o zdrowie pani. Powiedziano mu, że nie przyjmuje nikogo i że zabroniła nawet wymieniać tych, którzy ją będą odwiedzać. Może ten tak surowy rozkaz był wydany przez wzgląd na niego i aby nie słyszeć o nim? Pan de Nemours nadto był zakochany, aby móc żyć tak zupełnie pozbawiony widoku pani de Clèves. Postanowił znaleźć sposoby, choćby najtrudniejsze, aby wydobyć się ze stanu, który mu się zdawał nieznośny.

Boleść księżnej przechodziła granice rozsądku. Ten mąż umierający, i to umierający z jej przyczyny, i z taką czułością dla niej, nie schodził jej z myśli. Rozważała bezustannie w duchu wszystko, co mu była winna, i czyniła sobie zbrodnię z tego, że nie kochała go namiętnie, jak gdyby to była rzecz będąca w jej mocy. Jedyłą jej pociechą była myśl, że go żałuje tak, jak na to zasługiwał, i że przez resztę życia będzie czyniła tylko to, z czego on byłby rad, gdyby jeszcze żył.

Zastanawiała się często, w jaki sposób on się dowiedział, że pan de Ne-

mours był w Colomiers; nie posądzała księcia, aby to rozpowiadał, ale gdyby nawet tak było, było jej to obojętne; tak dalece czuła się wyleczoną i daleką od dawnej dłań miłości. Sprawiało jej wszakże dotkliwy ból uprzytamniać sobie, że on jest przyczyną śmierci męża, i z przykrością przypominała sobie obawę umierającego, aby nie wyszła za pana de Nemours; ale wszystkie te cierpienia spływały się w żalu po stracie męża tak, iż sądziła, że to jest jej jedyna boleść.

Po upływie kilku miesięcy ustąpiła ta gwałtowna zgryzota i przeszła w stan smutku i omdlenia. Pani de Martigues przybyła do Paryża i odwiedzała ją pilnie w czasie swego pobytu. Opowiadała jej o dworze i o wszystkim, co się tam działo; i mimo że pani de Clèves nie objawiała ciekawości, pani de Martigues robiła, co mogła, aby ją rozerwać.

Opowiadała jej nowiny o widamie, o panu de Guise i o wszystkich osobach, które wyróżniały się swoją osobą lub swymi zaletami.

– Co do pana de Nemours – rzekła – nie wiem, czy polityka zajęła w jego sercu miejsce miłości; ale wydaje mi się o wiele mniej wesoły, niż bywał, i trzyma się dosyć daleko od kobiet. Często jeździ do Paryża, sądzę nawet, że jest tu w tej chwili.

Nazwisko pana de Nemours zaskoczyło panią de Clèves i przypawiło ją o rumieniec. Odmieniła rozmowę, a pani de Martigues nie zauważyła jej pomieszania.

Nazajutrz księżna, która szukała zajęć zgodnych ze swoim stanem, udała się w pobliże swego domu odwiedzić pewnego człowieka, który wykonywał roboty jedwabiem z osobliwą zręcznością; poszła tam w zamiarze wyuczenia się podobnych. Skoro jej pokazano wszystko, ujrzała drzwi wiodące do pokoju, gdzie myślała, że jeszcze są inne roboty; kazała sobie otworzyć. Mistrz odpowiedział, że nie ma klucza i że pokój ten zajmuje człowiek, który przychodzi tam czasami we dnie, aby rysować piękne domy i ogrody widoczne z jego okien.

– To bardzo urodziwy mężczyzna – dodał – i nie wygląda na człowieka, który by musiał zarabiać na życie. Za każdym razem, kiedy tu przychodzi, widzę zawsze, jak patrzy na domy i ogrody, ale nigdy nie widziałem, aby coś rysował.

Pani de Clèves słuchała tych słów z wielką uwagą. To, co jej powiedziała pani de Martigues, że pan de Nemours bywa niekiedy w Paryżu, połączyło się w jej wyobraźni z owym urodziwym człowiekiem, który przesiaduje w pobliżu niej, i obudziło w niej myśl o panu de Nemours silącym się ją widzieć; wszystko to wprawiło ją w dziwne pomieszanie, którego sama nie знаła przyczyny. Podeszła do okien, aby zobaczyć, gdzie wychodzą; ujrzała, że widać z nich cały jej ogród i front mieszkania. I kiedy się znalazła w swoim pokoju, z łatwością zauważyła to samo okno, w którym powiadano jej, że przesiaduje ów człowiek. Myśl, że to jest pan de Nemours, zmieniła całkowicie stan jej duszy; pierchnął ów smętny spokój, w którym zaczynała smakować, uczuła się niespokojna i wzburzona. Wreszcie, nie mogąc usiedzieć w domu, wyszła zaczerpnąć powietrza w ogrodzie za miastem, gdzie myślała, że będzie sama. Zaszedłszy tam, sądziła, iż będzie tak w istocie: nie ujrzała żadnego śladu ludzkiej istoty i przechadzała się dość długo.

Przebywszy mały lasek, spostrzegła na końcu alei, na samym skraju ogrodu, altanę; zbliżywszy się ujrzała człowieka leżącego na ławce i pograżo-

nego w głębokiej zadumie; poznała, że to pan de Nemours. Na ten widok stanęła jak wryta. Ale ludzie jej, idący za nią, uczynili nieco zgielku, który wyrwał pana de Nemours z zadumy. Nie patrząc, kto jest przyczyną hałasu, podniósł się, aby uniknąć zbliżającej się ku niemu kompanii, i przeszedł w inną aleję, składając bardzo niski ukłon, który nie pozwolił mu nawet widzieć, komu się kłania.

Gdyby wiedział, kogo unika, z jakimż zapalem wróciłby z drogi! Ale szedł dalej przed siebie i pani de Clèves ujrzała, jak wychodzi tylną bramą, gdzie go czekała karoca. Jakież wrażenie uczynił ten przelotny widok na pani de Clèves! Jak uśpiona namiętność obudziła się w jej sercu, i jak gwałtownie! Usiadła w miejscu, skąd wyszedł pan de Nemours; była jakoby bezwładna. Książę zjawił się jej myślom, luby nad wszystko w świecie, kochający ją od dawna miłością pełną czci i wiary, gardzący wszystkim dla niej, szanujący nawet jej boleść, starający się ją widzieć nie narzucając się jej oczom, unikający dworu, którego był rozkoszą, aby iść patrzeć na mury jej domu, aby dumać w miejscu, gdzie nie mógł się spodziewać, że ją spotka; słowem człowiek godny, by go kochać bodaj dla jego przywiązania i do którego miała skłonność tak gwałtowną, że byłaby go kochała, gdyby nawet on jej nie kochał; co więcej, człowiek wysokiego stanu, stosowny dla niej. Żaden obowiązek, żadna cnota nie sprzeciwiała się jej uczuciom; wszystkie zapory runęły; z poprzedniego ich stanu została tylko miłość pana de Nemours do niej i jej miłość do niego.

Wszystkie te myśli były nowe dla księżnej. Zgryzota z powodu śmierci pana de Clèves dosyć ją zaprzętała, aby przesłonić wszystko inne. Widok pana de Nemours przywiódł tłumnie owe myśli; ale kiedy ją napęłniły całkowicie i kiedy sobie także przypominała, że ów człowiek, na którego patrzyła z myślą o małżeństwie, był tym, którego kochała za życia męża i który był przyczyną jego śmierci, że jeszcze umierając mąż wyraził lęk, by go nie zaślubiła, surowa jej cnota tak się wzdrygnęła przed tymi myślami, że zaślubić pana de Nemours wydało się jej zbrodnią nie mniejszą niż kochać go za życia męża. Podała się myślom tak wrogim jej szczęściu; umocniła je jeszcze rozmaitymi racjami tyczącymi jej spokoju i nieszczęść, które przewidywała, w razie gdyby zaślubiła księcia. Wreszcie, przetrwawszy dwie godziny w tym zaciszu, wróciła do domu, przekonana, że powinna unikać jego widoku, jako rzeczy wręcz przeciwnej jej obowiązkowi.

Ale to przekonanie, będące wynikiem jej rozumu i cnoty, nie zagarnęło jej serca. Serce pozostało oddane panu de Nemours, z gwałtownością, która wtrącała ją w stan godny współczucia i nie zostawiała jej już spokoju; spędziła noc jedną z najokrutniejszych w życiu. Rano pierwszym jej odruchem było sprawdzić, czy nie ma kogo w oknie wychodzącym na jej okna; podeszła i ujrzała pana de Nemours. Widok ten zaskoczył ją, cofnęła się z szybkością, która zdradziła księciu, że go poznano. Często pragnął tego, od czasu jak jego miłość podsunęła mu ten sposób widywania pani de Clèves; kiedy zaś nie spodziewał się tej rozkoszy, wówczas szedł dumać w owym ogrodzie, w którym go zastała.

Zmęczony wreszcie tak nieszczęśliwym i niepewnym stanem, postanowił pokusić się o jakiś sposób wyjaśnienia swego losu.

„Czegóż mam czekać – powiedział – od dawna już wiem, że ona mnie kocha; jest wolna, nie dzieli jej ode mnie żaden obowiązek. Czemuż mam się skazy-

wać na to, aby ją widywać niewidziany i nie mówiąc do niej? Czy podobna, aby miłość odjęła mi do szczętu rozsądek i odwagę i aby mnie uczyniła tak różnym od tego, jakim byłem wprzód? Powinienem był uszanować boleść pani de Clèves; ale szanuję ją zbyt długo i daję jej możliwość ugaszenia skłonności do mnie.”

Za czym myślał nad sposobami, jakimi należało się posłużyć, aby ją zobaczyć. Sądził, że nic go już nie zmusza do ukrywania swej miłości przed widamem de Chartres; postanowił mu się zwierzyć oraz wyznać mu zamiary, jakie miał na jego siostrzenicę.

Widam był wówczas w Paryżu; wszyscy tam przybyli, aby przygotować pojazdy i suknie na podróż z królem, który miał odprowadzić królowę hiszpańską. Pan de Nemours udał się tedy do widama i wyznał mu szczerze wszystko, co mu ukrywał dotąd, z wyjątkiem uczuć pani de Clèves, których nie chciał się okazać świadomy.

Widam przyjął jego zwierzenia z wielką radością i upewnił go, iż, nie znając jego uczuć, często, od czasu jak pani de Clèves była wdową, myślał, że ona jest jedyną osobą godną jego. Pan de Nemours prosił widama, aby mu ułatwił widzenie się z nią i wybadanie jej intencji.

Widam ofiarował się zaprowadzić go do niej; pan de Nemours lękał się, aby jej to nie uraziło, ile że nie widywała jeszcze nikogo. Uznali, że najlepiej będzie, jeśli widam zaprosi ją pod jakimś pozorem do siebie, a pan de Nemours przybędzie tam ukrytymi drzwiami, niewidziany przez nikogo. Stało się, jak postanowili: pani de Clèves przysłała, widam wyszedł na jej przyjęcie i zaprowadził ją do sali na końcu mieszkania. W jakiś czas potem wszedł pan de Nemours, jak gdyby sprowadzony przypadkiem. Pani de Clèves zdziwiła się bardzo jego widokiem; zaczerwieniła się i próbowała ukryć rumieniec. Widam mówił zrazu o rzeczach obojętnych i wyszedł pod pozorem dania jakichś rozkazów. Poprosił panią de Clèves, aby zechciała robić honory domu, mówiąc, że wróci za chwilę.

Nie podobna wyrazić tego, co czuli pan de Nemours i pani de Clèves, kiedy się znaleźli sami, pierwszy raz w możliwości mówienia z sobą. Przez jakiś czas nie mówili nic; wreszcie pan de Nemours przerwał milczenie.

– Czy daruje pani widamowi – rzekł – że mi dał sposobność widzenia pani i pomówienia z panią, tę sposobność, której mi pani zawsze tak okrutnie broniła?

– Nie powinnam mu darować – odparła – iż zapomniał o stanie, w jakim się znajduję, i naraził moją reputację.

Wyrzekłszy te słowa, chciała odejść; ale pan de Nemours zatrzymał ją.

– Niech się pani niczego nie obawia – odparł – nikt nie wie, że ja tu jestem i niczego nie potrzebujesz się lękać. Wysłuchaj mnie, pani, wysłuchaj mnie; jeżeli nie przez dobroć, to przynajmniej przez miłość siebie samej i aby cię uchronić od szaleństw, do jakich popchnęłaby mnie niechybnie namiętność, której nie jestem już panem.

Pani de Clèves uległa po raz pierwszy skłonności swej do pana de Nemours i patrząc nań oczyma pełnymi słodyczy i uroku, rzekła:

– Ale jakie nadzieje pan wiąże z ustępstwem, którego żądasz? Będzie pan może żałował, żeś je uzyskał, a ja będę żałowała na pewno, że go panu użyczyłam. Zasługuje pan na szczęśliwszy los niż ten, który miałeś dotąd, i ten, który cię czeka w przyszłości, o ile go nie poszukasz gdzie indziej!

– Ja, pani – rzekł – miałbym szukać szczęścia gdzie indziej! Czyż istnieje inne szczęście niż być kochanym przez ciebie? Mimo że nigdy pani o tym nie mówiłam, nie mogę uwierzyć pani, abyś nie wiedziała o mej miłości i nie czuła, że ta miłość jest najszczerza i najmocniejsza, jaka była w świecie. Na jakie próby wystawiły ją okoliczności, o których pani nie wie! A na jakież próby wystawiła ją pani sama swą srogością!

– Skoro pan chce, abym mówiła z panem, i skoro godzę się na to – odparła pani de Clèves siadając – uczynię to ze szczerością, jaką niełatwo by pan znalazł u osób mojej płci. Nie powiem panu, że nie widziałam pańskiej skłonności; może by pan nie uwierzył, gdybym tak mówiła. Wyznaję zatem nie tylko, że ją widziałam, ale że ją widziałam tak dobrze, jakby pan mógł tego pragnąć.

– Jeżeli więc pani ją widziała – przerwał – czy podobna, aby nie wzruszyła pani? I czy wolno mi spytać, zali nie przemówiła wcale do pani serca?

– Mógł pan osądzić o tym z mego postępowania – odparła – ale rada bym wiedzieć, co pan o tym rozumiał?

– Musiałbym się znajdować w szczęśliwszym położeniu, aby pani śmieć na to odpowiedzieć – odparł – niestety, mój los zbyt mało ma podobieństwa z tym, co bym powiedział. Wszystko, co mogę rzec, to, iż byłbym gorąco pragnął, aby pani nie była wyznała panu de Clèves tego, co mi skrywałaś, i abyś mu skrywała to, co byś mi okazała.

– Ale jakim cudem mógł pan wiedzieć – odparła rumieniąc się – że ja coś wyznałam panu de Clèves?

– Wiem to od pani samej – odparł – ale aby mi wybaczyć śmiałość, jaką okazałem podsłuchując pani, niech pani sobie przypomni, czy nadużyłem tego, com usłyszał, czy moje nadzieje się wzmożyły i czy więcej okazałem śmiałości wobec pani?

Zaczął opowiadać, w jaki sposób usłyszał jej rozmowę z panem de Clèves, ale przerwała mu.

– Niech mi pan nie mówi więcej – odparła – widzę już, w jaki sposób wiedział pan wszystko tak dobrze. Uważałam to już aż nadto u królewicowej; wszak dowiedziała się o tej przygodzie od osób, którym pan ją zwierzył.

Pan de Nemours opowiedział wówczas, w jaki sposób rzecz się stała.

– Niech się pan nie tłumaczy – odparła – od dawna już panu to przebaczyłam bez pańskich wyjaśnień. Ale skoro się pan dowiedział ode mnie samej tego, co zamierzałam ukrywać panu całe życie, wyznaję, że zbudził pan we mnie uczucia, których nie znałam przed ujrzeniem pana i o których nawet tak mało miałam pojęcia, iż przejęły mnie zrazu zdumieniem, potęgującym jeszcze zamęt mej duszy. Robię panu to wyznanie z mniejszym wstydem, ponieważ czynię je w dobre, gdy mogę je uczynić bez zbrodni, i skoro się pan przekonał, że uczucia moje nie kierowały moimi postępkami.

– Czy myśli pani – rzekł pan de Nemours rzucając się do jej kolan – że ja nie ginę u twych stóp z uniesienia i radości?

– Powiadam panu – odrzekła z uśmiechem – jedynie to, o czym wiedziałeś aż nadto.

– Ach, pani – odparł – co za różnica dowiedzieć się przypadkiem, a dowiedzieć się od ciebie samej i widzieć, że chcesz, abym wiedział o tym!

– To prawda – rzekła – chcę, aby pan wiedział, i słodko mi jest zwierzyć to panu. Nie wiem nawet, czy nie mówię panu tego bardziej przez miłość samej

siebie niż przez miłość do pana. Bo, ostatecznie, wyznanie to nie będzie miało następstw i pójdę drogą surowych zasad, jakie mi nakłada obowiązek.

– Jak to! – odparł pan de Nemours – nie wiąże już pani żaden obowiązek, jest pani wolna; gdybym śmiał, powiedziałbym nawet, że od ciebie zależy sprawić, by obowiązek nakazał ci uczucia twoje dla mnie.

– Mój obowiązek – odparła – zabrania mi myśleć o tym, a bardziej o panu niż o kimkolwiek w świecie, z racji, które są panu nie znane.

– Nie są mi może nie znane – odparł – ale to nie są słuszne racje. Zdaje mi się, że pan de Clèves uważał mnie za szczęśliwszego, niż byłem w istocie, i wyobraził sobie, że pani pochwała szaleństwa, do jakich miłość popchnęła mnie bez twojej wiedzy.

– Nie mówmy o tym wydarzeniu – rzekła – nie mogę znieść ani myśli o nim; przejmuję mnie ono wstydem, a nie mniej bolesne mi jest przez swoje następstwa. To pewna, niestety, że pan jest przyczyną śmierci pana de Clèves; podejrzenia, w jakie go wtrącił pański niebacznym postępkiem, kosztowały go życie, tak jakby mu pan je odjął własnymi rękoma. Zważ pan, co powinna bym uczynić, gdybyście byli doszli do tej ostateczności i gdyby się zdarzyło to samo nieszczęście. Wiem dobrze, że to nie jest to samo wobec świata; ale w moim sumieniu nie ma żadnej różnicy, skoro wiem, że on umarł przez pana i z mojej przyczyny.

– Ach, pani – rzekł pan de Nemours – cóż za majak obowiązku przeciwstawiasz memu szczęściu? Jak to! czcza i dowolna myśl wzbroni ci uczynić szczęśliwym człowieka, któremu sprzyjasz? Pomyśl! powzięłem nadzieję spędzenia życia z tobą; los mój mnie rzucił do stóp osoby najgodniejszej w świecie; widzę w niej wszystkie uroki ubóstwianej kochanki; ona mi sprzyja i równocześnie znajduję w jej postępowaniu jedynie to, czego mógłbym pragnąć w żonie? Tak, pani, jesteś może jedyną osobą, w której te dwie rzeczy skojarzyły się w tym stopniu. Każdy, kto zaślubia oddaną kochankę, drży czyniąc to i rozważa z lękiem ze względu na przyszłość postępowania jej z nim samym; ale w tobie, pani, niczego nie trzeba się lękać, pozostaje jedynie podziwiać cię. Miałebym ujrzeć, powiadam, tak wielkie szczęście jedynie po to, abyś ty sama stawiała mu zapory? Ha, pani, zapominasz, żeś mnie wyróżniła spośród innych lub raczej nie; omyliłaś się, a ja się łudziłem.

– Nie łudził się pan – odparła – głos mego obowiązku nie przemawiałby może tak silnie, gdyby nie ta skłonność, o której pan wątpi; ona to właśnie każe mi widzieć nieszczęścia wiszące nad naszym związkiem.

– Nic nie odpowiem pani, kiedy mówisz, że lękasz się nieszczęścia; ale wyznaję, że po wszystkim, coś mi raczyła powiedzieć, nie spodziewałem się tak okrutnej racji.

– Jest tak pochlebna dla pana – odparła pani de Clèves – że nawet z trudem przychodzi mi ją wyznaczyć.

– Ach, pani – odparł – czym możesz się, pani, lękać nadto mi pochlebić po tym, coś mi oto powiedziała?

– Pragnę mówić z panem nadal równie szczerze jak z początku – odparła – pominię wszelkie względy skromności i delikatności, jakie winny by mnie wstrzymywać w pierwszej rozmowie; ale zaklinam, wysłuchaj mnie spokojnie.

Sądzę, że winna jestem pańskiemu oddaniu tę słabą nagrodę, aby nie skrywać przed panem żadnego z mych uczuć i objawić je tak, jak są. Jedyny to raz w życiu pozwolę sobie ukazać je panu; mimo to nie umiałabym wyznaczyć

bez wstydu, że pewność niezachowania pańskiej miłości takiej, jaką jest dzisiaj, wydaje mi się tak strasznym nieszczęściem, iż gdyby nawet nie niezłomny nakaz obowiązku, wątpię, czy zdołałabym się kiedy narazić na to nieszczęście. Wiem, że pan jest wolny, ja również; rzeczy stoją tak, że świat nie miałby powodu ganić pana ani mnie, gdybyśmy się połączyli na zawsze. Ale czy mężczyzna umie wytrwać w tych wieczystych związkach? Czy mam się spodziewać cudu i czy mogę się narażać na to, aby patrzeć na pewny zgon tej miłości, która była całym moim szczęściem? Pan de Clèves był może jedynym mężczyzną w świecie zdolnym zachować miłość w małżeństwie. Mój los nie chciał, abym mogła korzystać z tego szczęścia; może też i jego namiętność przetrwała jedynie dlatego, że nie znalazł jej we mnie. Ale nie miałabym tego samego sposobu, aby zachować pańską miłość; sądzę nawet, że to przeszkody zrodziły pańską stałość. Napotkałeś ich dosyć, aby to obudziło w tobie żądzę zwycięstwa; a moje mimowolne postęпки lub to, o czym pouczył cię przypadek, obudziły w tobie dość nadziei, aby cię nie zniechęcić.

– Ach, pani – odparł pan de Nemours – nie podobna mi dochować milczenia, które mi nakazałaś; jesteś dla mnie zbyt niesprawiedliwa i widzę, jak daleka jesteś od przychylności.

– Wyznaję – rzekła – że uczucia mogą mną powodować; ale nie są zdolne mnie zaślepić. Nic nie może mi przysłonić świadomości, że pan zrodziłeś się ze skłonnością do miłostek i ze wszystkimi przymiotami zdolnymi zapewnić w nich powodzenie. Kochałeś już wiele razy, będziesz kochał jeszcze; przestałabym być twoim szczęściem, ujrzałabym cię dla innej takim, jakim byłeś dla mnie. Zadałoby mi to śmiertelny ból; nie jestem nawet pewna, czy nie popadłabym w niedole zazdrości. Zbyt wiele już powiedziałam, aby panu ukrywać, że dałeś mi ją poznać i że cierpiałam tak okrutne męki tego wieczora, gdy królowa dała mi ów list pani de Thémines, rzekomo pisany do pana, iż myślę od tego czasu, że to jest największe ze wszystkich nieszczęść.

Przez próżność czy z miłości wszystkie kobiety chcą pana zdobyć. Mało jest takich, którym by się pan nie podobał; moje doświadczenie uczy mnie, że nie ma takiej, której by się pan nie mógł podobać. Zawsze przypuszczałabym, że pan jest zakochany, kochany, i myliłabym się rzadko. W tym położeniu nie pozostawałoby mi nic, jak tylko cierpieć; nie wiem nawet, czy ośmieliłabym się nawet skarżyć. Można robić wymówki kochankowi, ale czy można je robić mężowi, gdy mu się ma do zarzucenia tylko to, że już nie kocha? A gdybym mogła oswoić się z tego rodzaju nieszczęściem, czy mogłabym się oswoić z myślą, że wciąż pan de Clèves oskarża pana o swoją śmierć, że mi wyrzuca, iż pana pokochałam, że pana poślubiłam i że mi daje uczuć różnicę między swoim przywiązaniem a pańskim? Nie podobna – ciągnęła – przejść mimo tak potężnych racji: trzeba mi pozostać w stanie, w którym się znajduję, i w postanowieniu nieodmieniania go nigdy.

– Czy sądzisz, pani, że zdołasz to uczynić? – wykrzyknął pan de Nemours. – Czy myślisz, że twoje postanowienia ostoją się wobec człowieka, który cię ubóstwia i który jest dość szczęśliwy, aby posiadać twą wzajemność? Trudniej jest, niż pani myśli, oprzeć się komuś, kto kocha i jest kochany. Uczyniłaś to przez surową cnotę, która prawie nie ma przykładu; ale ta cnota nie sprzeciwia się już twoim uczuciom i mam nadzieję, że poddasz się im wbrew swej woli.

– Wiem dobrze, że nie ma trudniejszej rzeczy, niż to, co podejmuję – odparła

pani de Clèves – lękam się o moje siły wśród moich racji. Myśl o obowiązku wobec pana de Clèves byłaby wątpliwa, gdyby jej nie podtrzymywała troska o mój spokój; racje zaś mego spokoju potrzebują podpory w racjach mej powinności. Ale mimo że nie ufam samej sobie, sądzę, że nie zwycięzę nigdy mych skrupułów, a nie spodziewam się także zwyciężyć skłonności, jaką mam dla pana. Unieszczęśliwi mnie ona i wyrzeknę się pańskiego widoku, choćby mnie to miało nie wiem ile kosztować. Zaklinam pana na całą władzę, jaką mam nad tobą, abys nie szukał żadnej sposobności ujrzenia mnie. Jestem w położeniu, które mi każe widzieć zbrodnię we wszystkim, co by mogło być dozwolone w innym czasie, i prosta przystojność broni wszelkich stosunków między nami.

Pan de Nemours rzucił się do jej stóp, wydany na pastwę wszystkich sprzecznych uczuć, jakie nim miotają. Wyraził jej i słowami, i płaczem najżywszą i najtkliwszą miłość, jaka kiedykolwiek wypełniała czyjeś serce. Serce pani de Clèves nie było nieczułe; patrzyła na księcia z oczyma nieco nabrzmiałymi od łez.

– Czemuż – wykrzyknęła – muszę cię winić o śmierć pana de Clèves? Czemuż cię nie poznałam dopiero wówczas, gdy jestem wolna, lub czemuż cię nie poznałam, zanim byłam związana? Czemu los nas rozdziela tak niezwyciężoną przeszkodą?

– Nie ma żadnej przeszkody, pani – odparł pan de Nemours. – Ty jedna sprzeciwiasz się memu szczęściu; ty jedna nakładasz sobie obowiązki, których cnota i rozsądek nie mogłyby ci nałożyć.

– To prawda – odparła – że wiele poświęcam dla obowiązku, który istnieje jedynie w mej wyobraźni. Niech pan zaczeka, co czas zdoła sprawić. Pan de Clèves dopiero co umarł; przedmiot żałoby jest jeszcze zbyt bliski, aby mi dać widzieć rzeczy jasno i wyraźnie. Ciesz się tymczasem szczęściem, iż obudziłaś miłość w osobie, która nie byłaby nikogo pokochała, gdyby nie ujrzała ciebie; wierzaj, że uczucia moje dla ciebie będą wieczne i że przetrwają, co bądź bym czyniła. Żegnam pana – rzekła – ta rozmowa przejmuje mnie wstydem: powtórz ją widamowi, zgadzam się i proszę o to.

To rzekłszy wyszła, zanim pan de Nemours zdołał ją zatrzymać. Zastała widama w sąsiednim pokoju. Widząc jej wzruszenie, nie śmiał nic mówić; odprowadził ją do powozu w milczeniu. Wrócił do pana de Nemours, który był tak pełen radości, smutku, zdumienia i podziwu, słowem wszystkich uczuć, jakie może dać miłość pełna obawy i nadziei, że nie władał swoim rozumem. Długo musiał czekać widam, zanim mu zdał sprawę z rozmowy. Uczynił to wreszcie; i pan de Chartres, mimo że nie zakochany, nie mniej od samego pana de Nemours musiał podziwiać cnotę, rozum i charakter pani de Clèves. Rozważali, czego księżę może się spodziewać, i mimo wszelkich obaw zrodzonych z miłości on sam zgodził się z widamem, że nie podobna, aby pani de Clèves wytrwała w postanowieniu. Zrozumieli wszakże, że trzeba być posłusznym jej rozkazom z obawy, by ona – gdyby świat spostrzegł jego uczucia – nie poczyniła oświadczeń i nie przyjęła zobowiązań, których by dotrzymała później z obawy, aby jej nie posądzono, że kochała go za życia męża.

Pan de Nemours zdecydował się jechać z królem. Była to zresztą podróż, z której się nie mógł zwolnić; postanowił odjechać nie siląc się nawet ujrzeć pani de Clèves, tak jak widywał ją niekiedy. Prosił widama, aby z nią pomó-

wił. Czegóż nie kazał jej powiedzieć? Cóż za niezliczona mnogość racyj, aby przewyciężyć jej skrupuły! Późna już była noc, gdy pan de Nemours opuścił go wreszcie.

Pani de Clèves nie mogła znaleźć spoczynku: było dla niej rzeczą tak nową, że wyszła z trybu, jaki sobie nałożyła, że zniosła, pierwszy raz w życiu, aby jej ktoś wyznał miłość i usłyszał jej wyznanie, iż nie poznawała samej siebie. Zdumiona była tym, co uczyniła; żałowała tego i cieszyła się; wszystkie jej uczucia były pełne zamętu i miłości. Rozważyła jeszcze racje swych obowiązków, które sprzeciwiały się jej szczęściu: z bólem uczuła ich siłę i żałowała, że je tak wyraźnie ukazała panu de Nemours. Mimo że myśl o małżeństwie przysła jej do głowy natychmiast, skoro go ujrzała w ogrodzie, nie uczyniła na niej wrażenia równego temu, jakie odniosła z tej rozmowy; były chwile, w których trudno jej było pojąć, aby mogła być nieszczęśliwa wyszedłszy za niego. Byłaby chciała móc sobie powiedzieć, że jest w błędzie i w skrupułach swoich co do przeszłości i w obawie o przyszłość. To znów rozum i obowiązek ukazywały jej rzeczy zgoła przeciwne i popychały ją nagle ku postanowieniu niewyjścia za mąż i nieoglądania już pana de Nemours. Ale była to decyzja bardzo ciężka dla serca tak rozkochanego i tak świeżo wydanego urokom miłości. Wreszcie, aby zdobyć nieco spokoju, pomyślała, że nie jest może jeszcze konieczne zadawać sobie gwałt takiego postanowienia; przystojność dawała jej czas dość znaczny na decyzję; ale postanowiła wytrwać w tym, aby nie mieć żadnych stosunków z panem de Nemours. Widam zaszedł do niej i bronił sprawy księcia z całą możliwą przebiegłością i oddaniem. Nie zdołał skłonić jej do zmiany postępowania ani rozkazów, jakie dała panu de Nemours. Oznajmiła mu, że zamiarem jej jest wytrwać w obecnym stanie; wie, iż zamiar ten trudny jest do wykonania; ale ma nadzieję znaleźć potrzebne siły. Przedstawiła mu tak wymownie przeświadczenie swoje, iż pan de Nemours spowodował śmierć jej męża, i to, jak bardzo wykroczyłaby przeciw swym obowiązkom zaślubiając go, iż widam zląkł się, że niełatwo będzie zmienić te pojęcia. Nie powiedział wszakże księciu, co o tym myśli, i, zdając sprawę z tej rozmowy, zostawił mu całą nadzieję, jaką rozsądek musi budzić w człowieku pewnym czyjejś miłości.

Wyjechali nazajutrz i pośpieszyli do króla. Na prośbę pana de Nemours widam napisał do pani Clèves wspominając jej o nim; w drugim liście, który nastąpił niebawem po pierwszym, pan de Nemours dopisał kilka słów. Ale pani de Clèves, nie chcąc przekroczyć prawideł, jakie sobie nałożyła, i obawiając się wypadków, na jakie listy bywają narażone, odpowiadała widamowi, że nie będzie przyjmować jego listów, jeśli jej zechce pisać o panu de Nemours; a oświadczyła to tak stanowczo, że sam książę prosił widama, aby go nawet nie wymieniał.

Dwór odprowadził królowę hiszpańską aż do Poitou. Podczas tej nieobecności pani de Clèves zostawiona była samej sobie i w miarę jak oddalała się od pana de Nemours i wszystkiego, co o nim przypominało, wskrzeszała w myśli pamięć pana de Clèves, którą poczytywała sobie za zaszczyt pielęgnować. Racje przeciw małżeństwu z panem de Nemours jawiły się jej, silne z punktu widzenia obowiązku, a niezwycone z punktu widzenia jej spokoju. Zmierzch miłości księcia oraz niedole zazdrości, które się jej zdawały w małżeństwie niechybne, ukazywały jej pewne nieszczęście; ale niemniej niemożliwą rzeczą zdało się jej opierać obecności człowieka najmilszego w świecie,

którego kochała i który ją kochał, i opierać mu się w rzeczy, która nie obrażała cnoty ani przystojności. Osądziła, że jedynie nieobecność i oddalenie mogłyby jej dać niejaką siłę; ujrzała, że potrzeba jej tego nie tylko, aby udźwignąć postanowienie niewyjścia za męża, ale nawet aby sobie wzbronić widzenia pana de Nemours. Umyśliła dosyć długą podróż, aby wypełnić cały czas, jaki obyczajność nakazywała jej żyć z dala od świata. Znaczne majątki, jakie miała w pobliżu Pirenejów, zdały się jej najsposobniejszym miejscem. Wyjechała na kilka dni przed powrotem dworu; wyjeżdżając napisała do wiodama, zaklinając, aby się nie starał dowiadywać o nią ani też pisać do niej. Pan de Nemours strapił się tą podróżą, tak jak mógłby się strapić śmiercią kochanki. Myśl, że ma być na długo pozbawiony widoku pani de Clèves, była mu dotkliwą boleścią, zwłaszcza w chwili gdy poznał rozkosz widzenia jej i słodycz jej wzajemności. Nie mógł uczynić nic innego, jak tylko trapić się, ale strapienie jego wzmoгло się znacznie. Po tak gwałtownych wzruszeniach, za ledwie przyszedłszy do siebie, pani de Clèves popadła w ciężką chorobę. Wiadomość ta przysła do dworu. Pan de Nemours był niepokieszony; boleść jego dochodziła rozpacz i szaleństwa. Widam miał wiele trudu z tym, aby go powstrzymać od jawnego okazywania swej rozpacz; wiele też miał kłopotu, aby mu wybić chęć pośpieszenia samemu po wiadomości. Krewieństwo i przyjaźń widama dostarczyły pozoru wysyłania licznych gońców; przysła wreszcie wiadomość, że niebezpieczeństwo minęło, ale że chora popadła w stan omdłałości, który niewiele zostawiał nadziei.

Ten tak długi i tak bliski obraz zgonu ukazał pani de Clèves rzeczy tego świata w postaci wielce odmiennej od tej, pod jaką widzi się je w zdrowiu. Konieczność śmierci, którą widziała tak blisko, przyzwyczaiła ją patrzeć na wszystko z oddalenia; długi zaś bieg choroby uczynił to nawykiem. Kiedy ocknęła się z tego stanu, ujrzała wprawdzie, że pan de Nemours nie zatarł się w jej sercu, ale aby się bronić przeciw niemu, przywołała znowu na pamięć wszystkie poprzednie racje. Stoczyła w duszy wielką walkę. Pokonała wreszcie resztki tej namiętności, osłabionej uczuciami, jakie obudziła w niej choroba. Myśl o śmierci wyrzucała jej pamięć pana de Clèves. Wspomnienie to, które godziło się z jej obowiązkiem, wyrło się silnie w jej sercu. Ujrzała namiętności i więzy świata tym okiem, jakim oglądają je osoby mające szersze i dalsze spojrzenie. Stan zdrowia, które pozostało znacznie osłabione, pomógł jej zachować te uczucia; że jednak widziała, jaki wpływ mają okoliczności na najroztropniejsze postanowienia, nie chciała się narażać na zniweczenie swej decyzji ani też wracać w miejsce, gdzie żył ten, którego była kochała. Pod pozorem zmiany klimatu schroniła się do klasztoru, nie objawiając stanowczego zamiaru usunięcia się ze dworu.

Na pierwszą wieść o tym pan de Nemours uczuł wagę i doniosłość tego postanowienia. Zrozumiał w tej chwili, że nie ma się już czego spodziewać; ale strata nadziei nie przeszkodziła mu poruszyć wszystkiego, aby wyrwać stamtąd panią de Clèves. Postarał się o pismo królowej, kazał pisać wiodamowi, kazał mu jechać; ale wszystko na próżno. Widam widział się z nią; nie powiedziała mu o swoim postanowieniu; zrozumiał wszakże, że nie wróci nigdy. Wreszcie pan de Nemours odwiedził ją sam pod pozorem udania się do kąpiel. Przybycie jego zaskoczyło księżnę i wzruszyło bardzo. Kazała mu powiedzieć przez godną osobę, którą kochała i którą miała wówczas przy sobie, że prosi, aby się nie dziwił, iż nie chce się wystawiać na niebezpieczeństwo

widzenia go i zniszczenia jego widokiem uczuć, jakie sobie nakazała; pragnie, aby wiedział, iż skoro obowiązek jej i spokój sprzeciwiają się jej chęciom, inne rzeczy wydają się jej tak obojętne, że wyrzekła się ich na zawsze; myśli już tylko o sprawach przyszłego życia i nie zostało jej żadne inne uczucie prócz chęci ujrzenia go w tym samym stanie duszy.

Pan de Nemours myślał, że skona z bólu w obecności osoby, która mu to mówiła. Błagał ją po dwadzieścia razy, aby wróciła do pani de Clèves i uzyskała, by mógł ją widzieć; ale ta osoba oświadczyła mu, że pani de Clèves nie tylko zabroniła powtórzyć sobie czegokolwiek od księcia, ale nawet zdać sprawy z tej rozmowy. W końcu musiał odjechać, przygnieciony boleścią, jak człowiek, który stracił nadzieję ujrzenia kiedykolwiek osoby ukochanej miłością najnamiętniejszą, najbardziej naturalną i najbardziej usprawiedliwioną, jaka kiedy istniała. Mimo to jeszcze się nie zraził i uczynił wszystko, co było możliwe, aby wpłynąć na zmianę jej postanowień. Skoro wreszcie upłynęły całe lata, czas i rozłąka strawiły jego boleść i przygasiły uczucia. Pani de Clèves żyła w sposób, który nie zostawiał nadziei, aby miała kiedy wrócić. Spędzała część roku w klasztorze, a drugą część u siebie, ale w zamknięciu i w praktykach świętszych od najsurowszej reguły klasztornej; i życie jej, które było dość krótkie, pozostawiło niedoścignione wzory cnoty.

K O N I E C